

**KEN FOLLETT
RENE L. MAURICE**

Pod ulicami Nicei

PROLOG

Zapowiadał się gorący dzień.

Po godzinie szóstej słońce grzało już mocno i do śniadania miasto pogrążyło się w skwarze. Wczasowicze zabrali swoje pekt dejeuner w cień balkonów, kierowcy pootwierali dachy swych kabrioletów, kelnerzy opuścili markizy nad ulicznymi kafejkami. Ranne ptaszki były gotowe do plażowania; wysmukłe brązowe dziewczyny zdejmowały już góry od bikini, odsłaniając jędrne piersi, na co miejscowi spoglądali z nieukrywanym pożądaniem, do czasu aż goście dali im do zrozumienia, iż topless w słonecznej kąpieli nie jest dla nich niczym nowym.

Wzdłuż promenady - sześciopasmowej autostrady -wrzało od ruchu, który zanieczyszczał potwornie gorące śródziemnomorskie powietrze. Robiło się gorąco wczasowiczom, kierowcom i kelnerom, a szczególnie gorąco Pierre'owi Bigou...

Słupek rtęci na termometrze minął już czterdziesty stopień, ale dla pana Bigou dzień zapowiadał się na jeszcze bardziej gorący...

Bigou był kierownikiem personalnym w oddziale głównym francuskiego banku Societe Generale przy 8 Avenue Jean Medecin, w Nicei. Dla niego ten dziewiętnasty dzień lipca 1976 roku zaczął się normalnie, jak każdy poniedziałkowy ranek. W wysokiej sali głównej banku było chłodno i spokojnie.

Kasjerzy w koszulach z długimi rękawami byli już gotowi na przyjęcie pierwszych klientów z chwilą otwarcia drzwi punktualnie o ósmej trzydzieści.

O 8:28 Bigou porównał czas na swoim zegarku z dużym zegarem ściennym w głównej sali i nim wszedł do swego biura, nakazał otworzyć drzwi, a potem zaczął przeglądać poranną prasę. Był związany z tym bankiem od wielu lat, osiągając poważaną pozycję, i nikt nie śmiałby zwrócić mu uwagi, że czyta gazetę w czasie godzin pracy.

Van Impe zwyciężył w 64. Wyścigu kolarskim Tour de France. Amerykański prom kosmiczny Viking 1 był w drodze na Marsa. Prognozy pogody przewidywały, że będzie ciepło i słonecznie. Po prostu wspaniale!

Był to dzień Świętego Arsena. Nic wspólnego nie łączyło jednak tego Arsena - świątobliwego wyznawcy Kościoła Katolickiego - z Arsenem Lupinem - francuskim Robin Hoodem, "patronem" dżentelmenów - włamywaczy.

Punktualnie o 8:30 dwóch pracowników banku minęło drzwi biura Bigou i zeszło po schodkach do podziemi. Obsada otwierająca drzwi do podziemnego skarbcza każdego ranka była inna i wybierana spośród szeregowych pracowników banku.

Na ten tydzień przypadła ich kolejka. Każdy z nich strzegł swojego wielkiego klucza z odciskiem: F. B. - Od Fchet-Bauche, największej francuskiej fabryki kluczy i zamków.

Szczęk stalowych drzwi i odgłosy kroków na schodach miękko odbijały się od grubych betonowych ścian. Jak dotąd wszystko działało bez zarzutu.

Wewnątrz były jeszcze jedne stalowe drzwi. Ściśle biorąc te miały specjalne znaczenie. Wiekowe, grube prawie na metr, ważące dwadzieścia ton, odporne nawet na laser.

Dyrekcja banku przedyskutowała z londyńskim przedstawicielem towarzystwa ubezpieczeniowego Lloyda ewentualne kwestie zainstalowania nowoczesnego systemu alarmowego, ale obydwie strony zgodziły się, iż potężne drzwi są nie do pokonania, a wszelki nowoczesny sprzęt w postaci ukrytych kamer, hałaśliwych alarmów czy też fotokomórek w tym wypadku jest raczej zbyteczny.

Co prawda jeden z klientów, użytkujących skrytkę sejfową w tym skarbcu, narzekał na niedostatek zabezpieczeń, ale był to przecież emerytowany policjant, który naczytał się zbyt wiele bzdur i nasłuchał za dużo plotek.

O 8:34 dwaj mężczyźni równocześnie włożyli klucze w zamek. Mechanizm, skonstruowany ze staromodną dokładnością, składał się z dwóch połączonych razem prętów. Gdy klucze były już w środku, pręty można było odłączyć poprzez obrócenie zestawu trzech wielkich kół na drzwiach; każde z nich było przesuwane o ćwierć obrotu w prawo, poziomo do prętów, potem ćwierć obrotu w lewo, pionowo do prętów. Po dokładnym wykonaniu tej procedury mężczyźni mogli usłyszeć przez drzwi delikatny odgłos puszczającego mechanizmu.

O 8:35 drzwi puściły na dobre i jeden z obecnych lekko popchnął je, by otwarły się na całą szerokość.

Tak się jednak nie stało.

Dwudziestotonowe drzwi odmówiły posłuszeństwa.
Od tego właśnie momentu zaczął się czarny dzień dla Pierre'a Bigou.

Dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie, wzruszyli ramionami i zaczęli operację od początku.

Dwa klucze do środka.

Koło numer 1: ćwierć obrotu w lewo, ćwierć obrotu w prawo.

Koło numer 2: to samo.

Koło numer 3: to samo.

Jeden z mężczyzn szepnął: - Sezamie, otwórz się...

Lekkie pchnięcie. Żadnej reakcji.

- Co się dzieje?! - odezwał się głos z boku.

Mężczyźni odwrócili się gwałtownie widząc jednego z klientów stojącego przy schodach i obserwującego ich uważnie.

- To nic poważnego - uspokoił go mężczyzna z dołu. - Drzwi się trochę zacinają...

Klient zaśmiał się szeroko.

- Jeśli wy nie potraficie tam się dostać, to można być pewnym, że i złodzieje nie mieliby szans!

Mężczyźni uśmiechnęli się słabo i wrócili do rutynowych czynności po raz trzeci. W tym czasie przy schodach zdążył się już zebrać mały tłum. Złośliwe uwagi powoli zaczęły irytować dwóch przedstawicieli banku, ale znosili to ze stoickim spokojem, ze względu na szacunek dla takiego banku jak Societe Generale, jak i z uwagi na zasadę głoszącą, iż klient ma zawsze rację.

O 8:50 obaj uznali swoją porażkę. Drzwi ani drgnęły.

Przepraszając stojących klientów przeszli schodami do góry, aby poinformować o sytuacji przełożonych.

Temperatura wewnątrz budynku osiągnęła trzydziesty szósty stopień i ciągle rosła.

Dyrektor banku pojawił się osobiście, by przeprosić oczekujących klientów. Jacques Guenet był człowiekiem spokojnego usposobienia: sześćdziesięciolatek, potężnie zbudowany, ogólnie szanowany wiceprezydent miejscowego Rugby Club, miał w sobie to, co Francuzi określają jako nerfs solides - stalowe nerwy.

Uśmiechając się uspokajająco, przemówił do klientów opanowanym głosem, ważąc przy tym każde słowo. Sytuacja stała się trochę kłopotliwa - przyznał - ale zablokowane drzwi do skarbcza nie oznaczają przecież jeszcze końca świata - dodał delikatnie. Specjaliści, którzy powinni pojawić się lada moment, rozwiążą cały problem z tymi drzwiami, ale on nie potrafi w tym momencie powiedzieć, jak dużo czasu im to zajmie...

Odchodząc w stronę schodów powiedział jeszcze: - Jeżeli nie sprawi to państwu kłopotu, zapraszam ponownie do naszego banku po godzinie czternastej. Sądzę, że do tej pory wszystko będzie już w należyтым porządku. To jest z pewnością niewielka usterka, którą - jak sądzą - spowodował panujący upał...

Kiedy odwrócił się w stronę drzwi biura Pierre'a Bigou, jego podwładny stał tam, obserwując uważnie dwóch mężczyzn próbujących kolejny raz poradzić sobie z zamkiem. Ani Guenet, ani Bigou nie byli przesadnie zakłopotani tą sytuacją; zamek miał prawo zablokować się po blisko półwiecznej używalności. Ślusarzowi wystarczy pewnie kropelka oleju, by go uruchomić.

Strażnicy uwijali się jak mogli, tracąc Bóg wie ile czasu, ale rezultat był ciągle taki sam.

Wybiła akurat dziewiąta, gdy Pierre Bigou wszedł z powrotem do swojego biura, podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił 809761, lokalny numer biura Ftchet-Bauche. Numer był jednak zajęty. Przez moment wpatrywał się w gazetę leżącą przed nim. Dwóch niemieckich turystów zostało zastrzelonych, jakiś alfons miał zapłacić dwieście czterdzieści tysięcy starych franków swojej dziwce. Bigou, który dorobił się przydomka Świętoszek, z uwagi na jego ewidentny brak zainteresowania młodą kadrą żeńską banku, aż wzdrygnął się odruchowo.

Nicea lat siedemdziesiątych tego wieku okazywała się mało przyjemną reminiscencją Chicago w latach trzydziestych.

Burmistrz Jacques Medecin dodał miastu renomy, ale nie był w stanie przeszkodzić czy przejąć kontroli nad marsylczykami w ich międzynarodowym przemyśle narkotyków. Podziemna organizacja - mili. Eu - podzieliła się na dwie frakcje: Włochów i Korsykanów, i regularnie co dwa lata właściciele dwunastu nocnych klubów wyrzynali się wzajemnie. Na Promenade des Anglais można było dostać wszystko: od działki kokainy do nieletnich prostytutek. Dookoła słyszało się już opinie, że Nicea stała się najbardziej zepsutym i skorumpowanym miastem we Francji.

Bigou znowu zdrygnął się odruchowo - wystarczy już tych zbrodni! Może drzwi do skarbcza zostały w tym czasie odblokowane... Niestety, realia pokazywały co innego: nikt nie potrafił ich otworzyć bez fachowej pomocy.

Taka była prawda... Mimo że nawet towarzystwo ubezpieczeniowe nigdy nie zwróciło im uwagi na ewentualne ulepszenie tego niezawodnego systemu.

Bigou sięgnął po telefon i ponownie wykręcił numer. Tym razem był wolny i od razu ktoś podniósł słuchawkę.

- Czy to biuro Ftchet-Bauche? Dzień dobry, dzwonię z banku Societe Generale. Czy możecie przysłać tu kogoś, i to możliwie szybko?... Nie, zamek wygląda na sprawny, ale drzwi się blokują... Tak, będziemy czekać na kogoś od was...

Kwadrans po dziewiątej żółtozarny renault 4L zatrzymał się przy Avenue Jean Medecin. Na drzwiach miał wypisaną nazwę Ftchet-Bauche. Bigou odetchnął z ulgą. Jego kłopoty powinny niebawem się skończyć.

Bigou i Guenet zeszli po schodach razem z dwoma ślusarzami z firmy Ftchet-Bauche. Fachowcy sprawiali wrażenie doświadczonych w swej profesji. Pewnym krokiem skierowali się do drzwi skarbcza, aby uważnie im się przyjrzeć. Nie widząc żadnych powierzchniowych śladów, poprosili o kompletną ciszę, gdy wkładali klucze w zamek. Przekręcając je z niesłychaną ostrożnością powtórzyli całą procedurę otwierania zamka, przysłuchując się uważnie pracy mechanizmu.

Mieli przy tym głowy uniesione tak wysoko, że stali się teraz podobni do pary ptaków czekających na swoją karmę.

Wreszcie jeden z nich odwrócił się do Gueneta:

- Klucz pracuje w zamku prawidłowo. Mogę pana zapewnić, że cały mechanizm jest sprawny, zapadki poruszają się zupełnie swobodnie.

Na moment zapadła wokół cisza. Wreszcie Guenet odezwał się pierwszy: - I co teraz? Ślusarz wzruszył ramionami.

- Więc dlaczego drzwi nie chcą się otworzyć? - ciągnął Guenet.

- Tylko jedno wyjaśnienie przychodzi mi do głowy: coś blokuje je od środka - odparł ślusarz.

Dyrektor banku wytrzeszczył oczy, z niedowierzaniem wpatrując się w ślusarza. Przecież to było nie do pomyślenia - Nie, nie wierzę w to! - wymamrotał pod nosem.

Potem odwrócił się i zauważył, że schody zapełniały się zaintrygowanymi pracownikami.

- Proszę państwa, proszę wracać do pracy! - rzucił nerwowo. - Nie chcę widzieć nikogo na tych schodach!

Pracownicy rozeszli się pospiesznie. Pozostali jedynie w czwórce, w milczeniu wpatrując się w drzwi skarbcza. To wszystko było zbyt proste i w żaden sposób nie do pojęcia.

Przecież cały mechanizm został tak zaprojektowany, aby uniknąć tego rodzaju sytuacji!

Dla ślusarza jego oświadczenie było jednak najzupełniej oczywiste:

- To jest jedyna odpowiedź. Jeżeli nie możemy dostać się do skarbcza przez drzwi, musimy przejść obok. Trzeba wykuć dziurę w ścianie.

Wszyscy patrzyli wyczekująco na Gueneta. Ten myślał intensywnie, mając na uwadze nie tylko koszty, hałas czy inne kłopoty, ale i przerwę w działalności banku.

- Naprawdę nie ma innej alternatywy? - zapytał.

- Nie ma.

Guenet westchnął.

- Dobrze, rozwalajcie ścianę.

Bigou wspinał się po schodach i wrócił po chwili z kompletem światłokopii planów skarbcza. Fachowcy z Ftchet-Bauche studiowali przez dłuższy moment te plany i w końcu jeden z nich wyrysował czarny krzyżyk na prawo od drzwi, gdzie ściana powinna być najcieńsza.

O 9:30 obaj włączyli swoje elektryczne wiertarki.

Zapowiadało się na dłuższą robotę.

Najpierw wywiercili siedem czy osiem małych dziur, oddalonych od siebie o kilka centymetrów. Potem używając młota i dłuta odłupywali beton między otworami. Cały obszar u stóp schodów szybko zapełnił się pyłem, a podłoga zawalona została kawałkami betonu. Po pewnym czasie obaj ślusarze byli zakurzeni, spoceni i wyczerpani. Naprawdę mieli wszystkiego dosyć.

To także był wystarczający powód dla ewentualnego zniechęcenia, nawet zdecydowanych na wszystko, złodziei bankowych.

Punktualnie o dwunastej w południe odłożyli narzędzia.

Dziura była teraz na dobre ćwierć metra szeroka. W następnej kolejności należało powiększyć tę przestrzeń, aż stanie się tak duża, by mógł przeczołgać się przez nią człowiek. Jednak do środka można już było zajrzeć.

Guenet zszedł na dół, aby zobaczyć, jak daleko posunęły się prace.

Jeden ze ślusarzy włożył akurat głowę do dziury i zaglądał do środka.

- Putain de merde - rzucił przyciszonym głosem. Było to typowe, wyjątkowo wulgarne przekleństwo Francuzów.

Wyciągnął głowę z powrotem i spojrzał na Gueneta.

- Obrabowano was... - poinformował.

Temperatura osiągnęła czterdziesty stopień i ciągle rosła.

Jacques Guenet, były gracz w rugby, imponującej budowy, ale o spokojnych manierach, stanął przy dziurze w ścianie i podskakując na palcach zajrzał do środka.

- To nie może być prawda! -, wyrzucił z siebie zdanie, które zabrzmiało w tym miejscu idiotycznie. Powtórzył je jeszcze dwukrotnie.

Skarbiec był po prostu zbezczeszczone. Podłoga zawalona była złożonymi w banku czekami, umowami, akcjami. Różne kosztowności porzucane były jak śmieci: bransolety, naszyjniki, metalowe szkatułki. Pośrodku tego spustoszenia leżała para butli gazowych.

Dwóch ślusarzy wpatrywało się w osłupiałego dyrektora banku. Zdawał się być w tym momencie niezdolnym do jakiegokolwiek racjonalnego myślenia. Jeden z fachowców dotknął jego ramienia i łagodnie odezwał się, chcąc wyprowadzić go z szoku:

- Proszę nam zostawić resztę. Pan niech lepiej zadzwoni po policję...

Guenet odwrócił się gwałtownie.

- Ależ panowie, to się nie może wynieść na zewnątrz!

Wiedziony ślepą furią trzymał się jeszcze kurczowo jakiejś nikłej nadziei, że może ci intruzi nabałaganili tylko trochę w skarbcu i nie wynieśli niczego. Może...

Stojący obok mężczyźni wiedzieli jednak lepiej.

- Pan musi zawiadomić policję... - powtórzył jeden ze ślusarzy.

Guenet niemo potrząsnął głową. Realia mówiły za siebie.

Wspinał się po schodach i wszedł od razu do swojego biura, nie informując po drodze nikogo o wypadkach. Zignorował tych wszystkich, którzy w zaintrygowaniu pytali go o szczegóły.

Opadł ciężko na fotel, podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer komendy policji, mieszczącej się w odległości zaledwie stu pięćdziesięciu metrów od budynku bankowego, przy Avenue du Marschal Foch.

Po drugiej stronie telefon odebrał komisarz Albertin.

Guenet powiedział do niego: - Dzwonię z Societe Generale.

Właśnie nas ograbiono...

- Proszę niczego nie dotykać! - odparł Albertin. - Zaraz tam będziemy.

Jacques Albertin wyglądał bardziej na świeżo upieczonego urzędnika niż na rasowego detektywa. Trzydziestopięć letni, szczupły, wysoki, w okularach, ubierał się zgodnie z trendami obowiązuj-

ącymi akurat w modzie męskiej, a jego krótko przystrzyżone włosy miały przedziałek na lewą stronę.

W momencie gdy przybył do banku, w towarzystwie dwóch młodych detektywów, fachowcy z FtChet - Bauche powiększyli już dziurę w ścianie na szerokość pół metra.

Guenet objaśnił mu, że z samego rana stwierdzono, iż drzwi do skarbcza zacięły się i ekipa ślusarska nie była w stanie ich otworzyć, wobec czego wykuto dziurę w ścianie obok.

Albertin zajrzał przez dziurę do środka i po chwili odwrócił się do swoich asystentów.

- Lecocq, ty jesteś najchudszy - zawyrokował - więc zobacz, czy dasz radę przecisnąć się przez tę dziurę.

Inspektor Lecocq włożył najpierw bardzo ostrożnie głowę do dziury, potem skulił się jak mógł w ramionach i wcisnął dalej.

Był już w połowie drogi, gdy nagle coś go zatrzymało: jego spodnie zaczepiły o coś w nierównym betonie i nijak nie chciały puścić. Zawahał się na moment, ale po chwili dźwignął się znowu, wydając przy tym gwałtowne dźwięki.

Ze wrokiem pełnym rezygnacji rozpiął spodnie i nie wiedząc, czy czasem nie powinien w tym momencie zaczerwienić się ze wstydu, pozostawił je za sobą wciskając się dalej.

Gdy był już w środku przyszło mu na myśl, że złodzieje przecież mogą jeszcze buszować po skarbcu, i wyciągnął z kabury pod pachą swój rewolwer.

Pierwszą rzeczą, jaką odkrył, był zapach: przyprawiająca o mdłości mieszanka dymu, spalonej gumy i ludzkich ekskrementów.

Potem zauważył cały stos różnych narzędzi: wiertarki, młotki, lampy, butle gazowe, a do tego jeszcze rękawice i maski. Na podłodze wałały się pierścionki, ozdoby ze srebra, zrealizowany czek na pięćdziesiąt tysięcy franków, gruby plik pięćsetfrankowych weksli, prywatne listy, pakiety akcji i różne inne dokumenty.

Ten cały bałagan na wypalanej gumie podłogowego linoleum był wart jakieś dwa miliony dolarów!

I to było wszystko, co zostało po złodziejach.

Lecocq przeszedł się dalej po skarbcu ściskając rewolwer w dłoni. Obszedł dwa razy dookoła sejf, wdrapał się na metalowy stolik obok i próbował jak najdalej sięgnąć do wnętrza jego komory.

Wzdychał przy tym ciężko. Sam niewiele mógł zrobić.

Jedna z frontowych ścian skrytek depozytowych odchyłona była do przodu. Lecocq zajrzał za nią. Zobaczył tam górkę z piasku i kamieni, a obok szeroką na metr dziurę w ścianie.

Z niej zdawał się prowadzić gdzieś dalej mroczny tunel.

Teraz wiedział już, jak tamci dostali się do skarbcza.

Rozejrzał się znowu wokoło i jego wzrok odkrył kolejną niespodziankę. Nie wierzył wręcz własnym oczom! W kunsztownie wygrawerowanym drogocennym pucharze znajdowały się gówna! Poczul, jak zbiera mu się na wymioty.

W następnej chwili był już przy wejściu do skarbcza. Przełożył głowę przez dziurę w ścianie. Na zewnątrz komisarz Albertin i Guenet stali w wyczekujących pozach.

- Co za burdel - rzucił Lecocq. - Oni przyszli tunelem od strony rue Gustave Deloye...

- Kanał ściekowy - skwitował Albertin. - Musieli wykorzystać kanał ściekowy! - Zastanawiał się przez moment. - Zostań tam - powiedział do Lecocq. - Wyślę dwóch ludzi, żeby spróbowali tam się dostać od strony ulicy.

Na rogu rue de l'Hotel dez Postes i rue Gustave Deloye, naprzeciw parkingu dla pracowników banku, dwaj policjanci podnieśli ciężki wąż do kanału i zeszli w dół.

Opuścili się po szczeblach metalowej drabinki i po chwili już stąpali w wodzie, kierując się na północ, pod rue Gustave Deloye. Ledwie przeszli kilka metrów, światła ich latarek odkryły wejście do złodziejskiego tunelu.

To była naprawdę fachowa robota! Strop był podtrzymywany przez drewniane stemple wzmocnione blachą. Ściany były dokładnie wyrównane. Ziemia została wyłożona sznurkową wykładziną.

Pochylając się dwaj policjanci weszli do tunelu. Od razu zauważyli elektryczne kable ciągnące się wzdłuż wykładziny.

Jeden z nich potknął się po chwili o tlenowoacetylenowy palnik, do którego przyczepiona była jeszcze mała butla gazowa.

Po przejściu jakichś dziesięciu metrów tym tunelem weszli już do bankowego skarbcu. Tam czekał na nich inspektor Lecocq. O mało nie parsknęli śmiechem na jego widok. Stał tam ubrany tylko w koszulę, slipy, skarpety i buty, a do tego w ręku ścisnął rewolwer.

Bank nie mógł już dłużej być we władaniu Jacquesa Gueneta. Tego popołudnia pod swoją opiekę przejęła go policja.

Brygada Albertina, która stawiała się na wezwanie, połączyła swe siły z zespołem dowodzonym przez komisarza Tholance'a z Wydziału Kryminalnego. Pieczę nad całością objęła Komenda Główna i sztab ludzi z Surete Urbaine. Na szefa całej operacji wyznaczono nadkomisarza Claude'a Bessona. Ten nie rzucający się w oczy, skromny czterdziestolatek zasłynął przede wszystkim po błyskotliwej akcji mającej na celu wykrycie i skazanie na długoletni pobyt w więzieniu dziewięciu skorumpowanych prawników.

Jego pierwszym ruchem było sfotografowanie wszystkiego.

Inspektor Jacob, policyjny fotograf, już błyskał fleszem swojego etatowego rolleiflea. Otyły, wąsaty Jacob do złudzenia wręcz przypominał telewizyjnego glinę, komisarza Bourrela, i był przez to nagminnie nagabywany przez wszystkich dookoła.

Po sfotografowaniu zebrano wszystkie dowody. Były ich dosłownie setki!

W skarbcu bankowym i w kanale policja odkryła po kolei: 40 butli z tlenem 3 tlenowoacetylenowe palniki 10 par kombinerek 2 dmuchane łódki przemysłowy pochłaniacz dymu z kilkudziesięciometrową elastyczną rurą 20 piłek do metalu wodoszczelne kombinezony używane przez szambornurków gumowe buty, rękawice i płaszcze butelkę po winie Margnat - Village butelkę po wodzie mineralnej okulary spawalnicze mnóstwo resztek żywności turystyczną kuchenkę gazową zapasową butlę gazową do tej kuchenki kilka pudełek cygar.

Jeden zespół policjantów spisywał te przedmioty, w czasie gdy drugi wkładał to wszystko do plastikowych worków. Była to mordercza praca dla dużej grupy osób okupujących skarbiec bankowy przez cały weekend, bez zbędnych przerw na ewentualny odpoczynek. Taka obowiązywała ich procedura.

Policjanci musieli zajmować się nawet takimi detalami, które w rubrykach spisu określano jako "gówno". Smród był taki, że od czasu do czasu musieli wyjść na świeże powietrze i zakosztować czystsze oddechu.

Na koniec trzydzieści pięć dużych plastikowych worków napełniono złodziejskim ekwipunkiem, rozrzuconymi dokumentami i kosztownościami.

Otwarte skrytki depozytowe przyniosły kolejne, osobliwe rewelacje.

Znaleziono tam kolekcję pornograficznych zdjęć, zrobionych amatorsko, pokazujących nagie kobiety i mężczyźni kopulujących parami i w całych grupach. Kilka osób "pozujących" do tych zdjęć zostało szybko rozpoznanych, bo należeli oni do wyższych sfer Nicei. Kilka z tych fotografii złodzieje pozwolili sobie przykleić do ściany.

Równie intrygującym odkryciem była torba wypełniona produktami spożywczymi: puszkami zupy, torebkami cukru, herbatnikami i tabliczkami czekolady. Dlaczego ktoś trzymał takie rzeczy w sejfowym depozycie?!

Personel bankowy wyjaśnił jednak szybko tę kwestię: Wielu rencistów zamieszkujących Niceę ma w tym banku swoje skrytki. Czasami przychodzą tutaj popołudniem, żeby zjeść w spokoju zakazane łakocie czy popalić ukradkiem papierosa. A te puszki z zupą? Wielu z tych ludzi pamięta wojnę i brak żywności na rynku... Jest też taki klient, który przychodzi tutaj spisywać swoje wspomnienia. Zjawia się z samego rana, pracuje cały dzień i przed końcem dnia chowa zapisane strony do sejfu... Skoro ludzie mają naprawdę różne dziwaczne upodobania, czemu nie wyjść im naprzeciw?

Jeden z młodych detektywów poprosił do skarbcu nadkomisarza Bessona.

- Proszę zobaczyć, nadkomisarzu, zostawili nam wiadomość...

Siedem słów widniało nabazgranych na ścianie wielkimi, wyraźnymi literami: Sans armes, sans haine, et sans violence.

Bez karabinów, bez nienawiści i bez gwałtu. Obok namalowany był Krzyż Celtycki, symbol nielegalnej prawicowej organizacji ekstremistów skrywających się pod nazwą "Zachód".

Besson zanotował sobie te słowa i znaki, a Jacob wykonał ich zdjęcie.

Natomiast tajemnica zatrzaśniętych drzwi została bardzo szybko rozwiązana. Złodzieje po prostu zespawali obie strony od wewnątrz. Było to dla nich pewne zabezpieczenie przed ewentualną możliwością, że jednak jakiś nadgorliwy strażnik mógłby zejść do podziemi w ciągu całego weekendu.

Więcej odkryć dokonali w kanałach. Ślepo zakończony tunel pod rue de l'Hotel des Postes okazał się idealnym śmietnikiem dla wykopywanej ziemi i kamieni. Białe elektryczne kable, podwieszane na hakach w stropie ciągnęły się przez cały kanał, na długości trzystu metrów, przechodząc przez tzw. "syfonowy zaułek" - używany przez miasto do pomiarów opadów - aż do podziemnego parkingu ulokowanego pod Place Massena. Tam właśnie kabel podłączono do najzwyklejszego w świecie elektrycznego gniazdka. Tym samym prąd niezbędny złodziejom do włączenia wiertarek i innych sprzętów dostarczała gratis sieć miejska!

Inni policjanci ruszyli śladem porzuconych gumowych butów, latarek, aparatów do spawania i innych narzędzi znalezionych na całej długości kanału między rue Gustave Deloye, rue St. Michel, na lewo od rue Gioffredo i na prawo pod rue Chauvain, aż do połączenia z rue Felix Faure: Na wysokości tej ulicy odkryli już nie klasyczny kanał ściekowy, a szeroką podziemną drogę!

Przez Niceę przepływa spora rzeka, Paillon, która latem prawie wysycha, ale zimą czterema szerokimi podziemnymi kanałami płynie przez miasto w kierunku morza. Kanały są rozdzielone na dwa podziemne korytarze, których nurkowie używają w trakcie rutynowych kontroli. Te drogi są tak szerokie, że zmieściłyby się na nich dwa samochody jadące naprzeciw siebie. Ci, którzy okradli bank Societe Generale, dotarli kanałami ściekowymi aż do tego miejsca.

Jeden z policjantów ruszył tą trasą dalej na północ i milę dalej odkrył miejsce, gdzie tunel wynurzał się do góry przy halach wystawowych. Tutaj też, na piasku suchego teraz łożyska rzeki, odkrył ślady kół, które należały do land-rovera.

Cały obraz sytuacji stał się nagle przejrzysty...

W skarbcu próbowano wstępnie oszacować wartość łupu, jaki stał się własnością złodziei. Do liczenia zasiedli więc: Jacques Guenet, Pierre Bigou i nadkomisarz Claude Besson.

Skarbiec składał się z trzech pomieszczeń. W największej sali depozytów trzysta siedemnaście skrytek, z łącznej ich liczby czterech tysięcy, zostało otwarte. Skarbiec bankowy, sąsiadujący z salą depozytów, do którego prowadziły jeszcze jedne stalowe drzwi, także był otwarty i wszelkie rezerwy bankowe w postaci sztab złota i gotówki zniknęły. Trzeci, najmniejszy pokój, był tzw. sejfem nocnym, do którego właściciele miejscowych lokali i sklepów wrzucali swoje utargi po zamknięciu banku. Te pieniądze składano w specjalnych pojemnikach i wpychano je przez klapę w ścianie na zewnątrz budynku, skąd podziemnym szybem docierały do tego pomieszczenia. Z tego miejsca złodzieje zabrali cały zysk największych domów towarowych Nicei, które prowadziły działalność przez weekend.

Razem mogło być tutaj około sześćdziesięciu milionów franków. Blisko dwanaście i pół miliona dolarów!

To był na pewno największy skok na bank wszechczasów!

Claude Besson, z wyglądu nie wyróżniający się specjalnie pośród policyjnej braci, miał jednak niesamowitego nosa do wszelkiego rodzaju oszustw. Nigdy nie poddawał się zbyt szybko. Nawet cwani prawnicy reprezentujący ludzi z wyższych sfer czuli przed nim respekt, i to nawet może bardziej niż drobni kieszonkowcy czy handlarze narkotyków. Ci, którzy mieli coś na sumieniu, byli może sprytni na swój sposób, ale on był sprytniejszy od nich.

Teraz jednak Claude Besson sam był pod wrażeniem.

Ten skok na bank zaplanowany został z drobiazgową dokładnością. Sprzęt, zaopatrzenie w energię, sposób, w jaki wykorzystano podziemne drogi... Jezu Chryste, oni ściągnęli nawet przemysłowe pochłaniacze dymu tam na dół! I żywność, napoje, wina... To była dobrze przemyślana i spraw-

nie wykonana robota. I do niego należało rozwikłanie zagadki tego największego skandalu w historii napadów na banki. Musiało ich być z dziesięciu, może dwunastu... tyle wyposażenia... miesiące przygotowań... setki godzin drążenia samego tunelu... tyle hałasu... i nic!

Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał, żadnego cynku od "zaprzyjaźnionych" złodziei...

Człowiek stojący za tym skokiem musiał być niesamowitym geniuszem: wielki złodziej, znakomity szef, przedsiębiorczy organizator, a do tego wszystkiego po prostu: mózg!

A przy tym jeszcze był bardzo ostrożny: pierwsze godziny śledztwa nie ujawniły prawie nic, znikome tropy mogące prowadzić do ustalenia jego tożsamości.

Tutaj, teraz nad Claudem Bessonem górę brały przeciwności. Miał twardego przeciwnika przed sobą...

CZŁOWIEK STOJĄCY ZA NAPADEM

Zauważam coraz bardziej odważne i wojownicze oznaki nowej epoki, jaka właśnie się zaczęła. Epoki, która nade wszystko znowu cenić będzie honor i męstwo...

Friedrich Nietzsche, ulubiony filozof Alberta Spaggiari

Albert Spaggiari urodził się w wiosce niedaleko Laragne, w Alpach Francuskich, w 1932 roku. Jego ojciec zmarł, gdy chłopiec miał dwa i pół roku.

Matka, zaradna i niezależna kobieta, przeniosła się wtedy razem z małym Albertem do Hyeres, blisko portu w Toulon. Otworzyła tam mały sklepik z bielizną pod nazwą Kaprysy Dam. Interes rozwijał się nieźle, ale mimo swej finansowej niezależności matka ponownie wyszła za mąż.

Albert nie cierpiał swego ojczyzna.

Najpierw uczęszczał do miejscowej szkoły im. Anatole'a France'a, ale nie zagrzał tam miejsca zbyt długo. Ojczym wysłał go więc do St. Joseph Institute, prywatnej szkoły słynącej z rygoru. Albert nie czuł się tam dobrze.

W wieku dwunastu lat uciekł stamtąd.

Kiedy policja odprowadziła go do domu, matka próbowała bronić syna przed jego wychowawcą. "Bert to bardzo wrażliwe dziecko - mówiła. - To szczerzy, odważny i dobry chłopiec.

On nie jest żadnym zbrojcem, ale muszę przyznać, iż jest bardzo impulsywny".

Gdy skończył piętnaście lat, wysłano go do gimnazjum Jeana Aicarda. Był tam przeciętnym uczniem, ale odkrył w sobie pasję do czytania książek. Jego szczególne zainteresowania budziła lektura awanturnych opowieści i... politycznych esejów.

Już wtedy miał niezwykle rozwiniętą wyobraźnię. Posiadając wiatrówkę nie strzelał z niej, jak wszyscy chłopcy w jego wieku, do ptaków, ale ustawiał stare blaszane puszki i celował do nich wyobrażając sobie, że są to postacie ludzkie.

Zafascynowała go mocno postać Salvatore'a Giuliano, sycylijskiego rzezimieszka i romantycznego bohatera z końca osiemnastego wieku. Pochłaniał wszystko, co napisano o Giuliano, wyobrażając sobie nawet spotkanie z nim. W wieku szesnastu lat po raz kolejny uciekł z domu. Celem jego ucieczki były Włochy.

Dostał się tam okrężną drogą, przepływając na łodzi do Tunezji, stamtąd przez wybrzeże Afryki Północnej, gdzie dostał się na kolejną łódź, dotarł do portu na Sycylii. Nie udało mu się jednak przejść przez włoską kontrolę imigracyjną. Po spędzeniu kilku dni w miejscowym więzieniu wrócił na rodzinne łono, cały pokryty wszami.

Zdanie, jakie przed ucieczką wyrył na kuchennym stole, zapowiadało już zasady, jakimi miał kierować się w przyszłości: La cause en uault ies moyens. Cel uświęca środki...

Wielu dorastających chłopców ma niesforną naturę i marzy o przygodach. Dojrzewanie przynosi jednak kłam tym marzeniom i brutalnie sprowadza na ziemię, temperując tym samym charakter i ucząc samodyscypliny życiowej. Albert Spaggiari był jednak inny, w pewnym sensie nie rozwijał się wcale.

W roku 1950 skończył osiemnaście lat i mógł już wstąpić do armii. Zaciągnął się jako ochotnik do korpusu ekspedycyjnego do Indochin. Francja nie zamierzała opuszczać Wietnamu, a Amerykanie popierali jej dążenia.

Azja okazała się wymarzonym krajem dla Alberta Spaggiari. Uwielbiał przecież podróże, a jego pragnienie przeżycia wielkiej przygody mogło się tu ziścić. Tutaj też zaczął rozwijać swoje polityczne zapatrywania, w środowisku kolonialistów żywiących się prawicowym ekstremizmem.

Został przydzielony do Trzeciego Batalionu Desantowego.

Okazał się nad wyraz zdolnym żołnierzem, otrzymując trzy odznaczenia, ale było coś, czego nie znosił: rozkazy wydawane mu przez innych. Ta niesubordynacja wykluczała wszelkie wyższe awanse i już do końca działań pozostał w stopniu kaprala.

W roku 1954 udowodniono mu kradzież i wyrokiem sądu wojskowego skazany został na cztery lata więzienia.

To stało się wtedy, gdy razem z kilkoma innymi kompanami znalazł się w burdelu w Sajgonie. Między żołnierzami a burdel - mamą wywiązała się w pewnym momencie sprzeczka.

Grupa żołnierzy darowała więc sobie uciechy i wszyscy opuścili lokal. Wszyscy z wyjątkiem Alberta... Ten został i wyczyścił całą kasę, jaka tam była. Jego kompani twierdzili potem, że czuli się oszukani i Spaggiari po prostu odebrał ich własne pieniądze, co było normalną reakcją. Sąd wojskowy nie dał jednak wiary tym wyjaśnieniom.

To był także rok bitwy w Dien Blen Phu, jednej z największych klęsk, jakie ponieśli Francuzi w swej militarnej historii. Poległo w niej dwanaście tysięcy świetnie wyszkolonych żołnierzy, których pokonały partyzanckie oddziały miejscowych wieśniaków. Spaggiari na szczęście nie brał w niej udziału.

W tym czasie, zakutego w łańcuchy, eskortowano go na statku Pasteur do rodzinnego kraju.

Wieżenie opuścił w roku 1957, gdy darowano mu część kary. Wrócił wtedy w rodzinne strony i zaszył się na poddaszu domu swojej matki, w Hyeres. Tam spotkał też Marcelle Audi, młodą pielęgniarkę, z którą wkrótce wziął ślub.

Audi - wolał tak się do niej zwracać, zamiast po imieniu - była drobną, zwyczajną dziewczyną o brązowych włosach i ciemnych oczach. Była bardzo typową pielęgniarką, bystrą i dokładną, z tendencjami do nieoczekiwanych wybuchów złości. Ubierała się skromnie ale gustownie, mając przeświadczenie o sile własnej osobowości i nieodpartym wdzięku. W przeciwieństwie do męża była bardzo zapobiegliwa, ale i zamknięta w sobie. Wolała raczej być obserwatorką życia niż brać w nim czynny udział.

Tworzyli parę może niezbyt namiętnych kochanków, ale z pewnością oddanych sobie przyjaciół, związek osób bardziej lojalnych wobec siebie niż wiernych sobie. Co ważne w tym układzie: podzielali te same poglądy polityczne i filozoficzne idee. Audi była emocjonalną kotwicą w burzliwym życiu Alberta. Kiedy jego akcje spadały, ona potrafiła zarobić na oboje swoją pracą w zawodzie pielęgniarki.

Wraz z upływem czasu mogło się здаwać, że Spaggiari utemperował swoją naturę. W rzeczywistości jednak spokojne małomiasteczkowe powietrze dusiło go. Zew przygody wreszcie przemógł wszystko i któregoś wiosennego poranka małżeństwo Spaggiarich wsiadło na statek płynący do Dakaru, francuskiej kolonii w Senegalu.

Gdy dotarli tam, Albert znalazł pracę w kopalni, a Audi dostała etat pielęgniarki. Liczyli, że tutaj szybciej się dorobią.

Tak się jednak nie stało i w efekcie w roku 1960 na powrót znaleźli się we Francji.

Przenieśli się do Nicei. Zamieszkali na Route de Marseilles w typowej dzielnicy robotniczej. We Francji każda pielęgniarka może bez problemu otworzyć własną praktykę, udzielając pierwszej pomocy lekarskiej i dając zastrzyki. Tak też zrobiła Audi, a Albert spróbował szczęścia jako pośrednik w handlu nieruchomościami, ale - jak się szybko okazało - bez większych rezultatów.

Był to czas "zmiennych wiatrów" w Afryce. Europejskie kraje uwalniały się od swych kolonii, choć nie odbywało się to bez różnych konfliktów.

Francuska Algieria ponosiła skutki morderczej wojny. Rodowici biali Algierczycy walczyli przeciw wysiedleniom.

Spaggiari przyłączył się wtedy do OAS - Organizacji Tajnej Armii, nielegalnego ruchu oporu popierającego białych Algierczyków.

OAS, podobnie jak IRA, przyjmowała w swe szeregi ludzi o mniej lub bardziej ale wojowniczych skłonnościach i mających do tego skrajnie prawicowe zapatrywania polityczne.

Frakcje wewnętrzne Organizacji obejmowały: grupę Catena -wspierającą zbiegów, którym udało się uciec z policyjnych komisariatów, oraz Commando Detta, które dokonywało zamachów i organizowało fundusze poprzez napady na banki, Potem, gdy Algieria wskutek uporczywej walki uzyskała wolność, OAS zagubiła swój raison d'etre - cel nadrzędny, ale w dalszym ciągu służyła jako parasol ochronny dla prawicowych ekstremistów i neonazistów.

Spaggiari chciał być oczywiście członkiem Commando Delta, a ściślej oddziału do operacji specjalnych, ale można było odnieść wrażenie, iż przywódcy tej grupy nie ufali mu zbyt - jak zresztą nieraz miało się to okazać w jego karierze...

Generał Charles de Gaulle był znienawidzony przez OAS.

Ten prawicowy polityk w swoim czasie otwarcie deklarował poparcie dla zwolenników francuskiej Algierii, ale gdy został prezydentem, realia wzięły górę nad możliwościami. Pozwolił sobie na wypuszczenie z rąk Algierii, jakby była ona gorącą cegłą parzącą jego dłonie, i wtedy OAS poczuła się gorzko oszukana.

W roku 1961 Spaggiari wybrał się do Hiszpanii. W Madrycie, na terenie basenu kąpielowego odbył on potajemne spotkanie z Pierrem Lagaille, byłym przywódcą prawicowej organizacji studenckiej w Algierii. Spaggiari powiedział mu wtedy: "Jestem do pańskiej dyspozycji. Może pan na mnie liczyć. Na pana rozkaz wykonam każdą operację, która przyniesie sens wspólnej walce..." W listopadzie tego roku Spaggiari otrzymał od losu swoją wielką szansę... Znienawidzony prezydent de Gaulle zaplanował właśnie swoją wizytę w Hyeres. Kawalkada samochodów miała przejeżdżać obok sklepu z bielizną pod wdzięczną nazwą Kaprysty Dam...

Spaggiari napisał do Lagaille'a. Nadał do niego list polecony, wysłany z Vintimille z fałszywym adresem nadawcy.

Wiadomość w środku miała melodramatyczny charakter: Porucznik Lagaille, oczekuję od pana tylko jednego rozkazu - rozkazu wykonania egzekucji...

Spaggiari przybył do Hyeres z Nicei rankiem 8 listopada 1961 roku. Wszystkie sklepy były pozamykane i strzeżone bacznie na czas przejazdu prezydenta. Spaggiari ukradkiem wszedł do sklepu matki, położonego w odległości kilku metrów od ulicy, i wdrapał się na pierwsze piętro, gdzie był pusty pokój. Ze sobą miał karabin marki mauser.

Okolo godziny szesnastej rząd samochodów wjechał na stosownie nazwaną Avenue Charles de Gaulle. Jakby na przekór panującemu chładowi prezydent podniósł się w swej limuzynie i z uśmiechem na twarzy stał i machał dłonią pozdrawiając wiwatujący tłum.

O 16:12 de Gaulle znalazł się na wprost wzroku Alberta Spaggiari, w odległości nie większej niż kilkanaście metrów.

Był w tym momencie wręcz idealnym celem dla wyśmianego, strzelca, byłego asa desantu w Trzecim Batalionie...

Spaggiari nie pociągnął jednak za spust karabinu. Lagaille nie przysłał mu rozkazu na wykonanie tej egzekucji. Podobnie jak przywódcy OAS, on także nie potraktował poważnie osoby Alberta Spaggiari i jego teatralnego gestu. I tym samym ten jeden raz w swoim życiu Spaggiari uszanował wolę autorytetu.

W marcu 1962 roku policja zrobiła nalot na willę w Villefranche sur Mer, luksusowym kurorcie znajdującym się między Niceą a Cap Ferrat, nakrywając nielegalną drukarnię używaną przez OAS do produkcji ulotek. Willa była także kryjówką dla członków Tajnej Armii. Niewielka grupa ekstremistów została wtedy aresztowana, a pośród nich znalazł się także Spaggiari.

Sąd departamentu Alpes Maritimes skazał go na cztery lata pobytu w więzieniu St. Martin w Re, a jego kompani dostali wyroki w zawieszeniu. Niejasne było, czemu to jego właśnie spotkało takie "wyróżnienie", ale najprawdopodobniej władze wiedziały coś na temat tej próby zamachu na de Gaulle'a...

Na wolność Spaggiari wyszedł w 1966 roku i wrócił do swojej żony i przyjaciół w Nicei. Wtedy też zainteresował się fotografią i otworzył na 56 Route de Marseilles sklep pod nazwą Foto La Valliere.

Wszystkie wieczory spędzał teraz w lokalach i barach razem z przyjaciółmi z OAS i starymi kompanami z Wietnamu.

Wtedy też przystąpił do kolejnej skrajnie prawicowej organizacji o dziwacznej nazwie Braterstwo Broni S.S.

W tym czasie odbywał również tajemnicze podróże do Monachium, centrum niemieckiego neonazizmu. Audi mówiła wtedy znajomym, że jeździ tam, by lepiej nauczyć się języka niemieckiego, bo zamierza zostać zawodowym tłumaczem. Ta mało prawdopodobna historyjka nie znalazła

jednak odzwierciedlenia w rzeczywistości z prozaicznej przyczyny: Spaggiari nigdy nie próbował nawet zatrudnić się w charakterze tłumacza, a jego niemiecki nigdy nie był płynny.

Ta część jego życiorysu jest szczególnie tajemnicza. Był to okres, gdy Spaggiari zdawał się rozszerzać swoje kontakty z pravicowymi organizacjami w całej Europie i prawdopodobnie prowadził jakieś pokątne interesy z C.I.A. Kontaktował się z włoskimi neofaszystami i podejrzewano go o branie udziału w akcjach mających na celu przemyt broni. W roku 1968, gdy sowieckie czołgi przetoczyły się przez ulice Pragi, Spaggiari był w Czechosłowacji posługując się fałszywymi dokumentami i podrobioną legitymacją dziennikarską. O tej wyprawie mówił potem bardzo mgliście: "Naszym obowiązkiem było pomóc czeskim patriotom"...

Zaskoczył także wszystkich talentem w dziedzinie fotografii. Wyjechał do Afryki Północnej i spędził sporo czasu na Saharze, żyjąc pośród koczowniczych plemion i wykonując masę zdjęć. Te zdjęcia ułatwiły mu wkręcenie się do elit towarzyskich Nicei. Stał się półoficjalnym fotografem miejskim. Jak mówili nicejczycy: było sporo przesady w tym, iż miasto zostało opanowane przez OAS-owców, ale niewątpliwie Spaggiari nie był jedyną osobą akceptowaną zarówno przez oficjalne kręgi jak i miejscowe koła pravicowych ekstremistów. Będąc obecnym na bankietach organizowanych przez zamożne lokalne lobby, Spaggiari wyrabiał sobie pozycję pośród majątnych tego miasta. Jego napiwki, rozdawane szcudrobliwie przy każdej okazji, przeszły wręcz do legendy!

W roku 1972 kupił zrujnowany dworek w pobliżu lasów Bezaudum, niedaleko Nicei. Zapłacił za niego niewielką sumę i z pomocą lokalnych budowlańców przeobraził to miejsce nie do poznania. Pracował tam całymi miesiącami, montując nowe okna, naprawiając dach, dobudowując werandę i zakładając nowoczesne ogrzewanie. Używając kamieni, drewna i czerwonej cegły z pobliskiej cegielni, uczynił z tego domu typową ziemską posiadłość.

Razem z Audi bardzo cieszyli się z tego efektu. Ściany wewnątrz dworku udekorowali różnymi eksponatami broni, chociaż Albert nigdy ich nie używał. Nawet gdy króliki niszczyły jego warzywną działkę, nigdy nie strzelał do nich. Doszło nawet do tego, że gdy Audi chciała zabić kurczaka na obiad, musiała korzystać z pomocy miejscowego rzeźnika! Oprócz tych eksponatów ściany zdobiły także olbrzymie fotosy Hitlera i emblematy S.S.

Gdy przed dom zajeżdżał land-rover I Albert parkował go przed stuletnim dębem, jego dobermany Packa i Vesta przybiegały jak szalone, by powitać swego pana. Skakały wtedy na samochód i lizały Alberta po rękach.

Wieczorami natomiast Spaggiari siadywał przy kominku i pochłaniał kolejne lektury. Jego biblioteka była naprawdę bogata: Balzac, Zola, Flaubert... i, oczywiście, Nietzsche.

W końcu oddał w dzierżawę swój fotograficzny sklep pracownikowi i nie musiał już opuszczać codziennie Bezaudun.

Audi otworzyła kolejną praktykę pielęgniarstwa, a Albert oddał się hodowli kurczaków.

Znowu wszystko wyglądało tak, jakby osiedli wreszcie na stałe. Jednak po raz kolejny pozory te okazały się złudne...

Jeden z jego znajomych, niejaki Gerard Rang, został zatrzymany przez policję w 1974 roku. Po tętnie zbudowany, dobiegający trzydziestki blondyn był właścicielem głośnego nocnego Chi-Chi Club w Haut de Cagnes, gdzie na scenie odgrywano seks grupowy. Rang, który pojawił się jeszcze przy relacji o napadzie stulecia, został zatrzymany przez policję pod pozorem fałszowania czeków. Podejrzewano, że Rang nie tylko fałszował podpisy na czekach, ale drukował całe książeczki czekowe. Jedną z takich książeczek znaleziono w kanale przepływającym pod jego klubem. To z kolei podsunęło podejrzenie, że skoro Spaggiari jest jego kompanem z ekstremistycznej organizacji, może także pomagać mu w tym interesie. Zwłaszcza, że z łatwością może to robić pod szyldem swojego sklepu fotograficznego! Jednakże dochodzenie zawisło w próżni na skutek braku wystarczających dowodów, aby wnieść przeciwko nim oskarżenie.

W tym samym 1974 roku Spaggiari wynajął skrytkę depozytową w skarbcu banku Societe Generale mieszczącym się przy Avenue Jean Medecin...

Niespokojny, niezdiscyplinowany, awanturnik, opętany różnymi obsesjami... Co sprawiało, że ten człowiek taki właśnie był?

Jeden z jego bliskich przyjaciół stwierdził: "Myślę, że byłby on zupełnie innym człowiekiem, gdyby został ojcem. Dzięki temu dojrzałby bardziej, ustabilizował się... Tak się jednak nie stało..."

Audi nie mogła mieć dzieci. Oboje próbowali zaadoptować jakieś dziecko, ale wiadome wszystkim członkostwo Alberta w nielegalnej organizacji dyskwalifikowało ich na progu adopcji. Nawet pomijając jego OAS-owską przeszłość, więzienna kartoteka Alberta, dobrze znana opinii publicznej, przekreślała wszelkie szanse na przychyłność społeczną.

On sam oczywiście chciał dziecka. Mówił o tym: "Próbowałem naprawdę wszystkiego, ale pamięć ludzi o OAS nie pozwala mi na adopcję..." Jednak klucz do poznania charakteru Alberta Spaggiari leży jeszcze głębiej w przeszłości." Tylko laikowi może się wydawać, że dzieci nie pamiętają potem swoich tragedii. Prawda jest inna. Urazy z pierwszych lat życia dziecka oddziałują dosyć mocno na późniejszy kształt osobowości. Ojciec Alberta Spaggiari zmarł, gdy ten miał dwa i pół roku.

Dla dziecka ojciec reprezentuje zarówno dyscyplinę jak i miłość. Przez połączenie tych dwóch sfer, pozornie wydawałoby się sprzecznych, dziecko uczy się pojęcia tzw. łagodnego autorytetu. To jak ojciec jest widziany w oczach syna, pozwala mu potem identyfikować się z nim i daje wzór do ewentualnego naśladowania.

Oczywiście, nie każde dziecko wychowywane bez ojca jest automatycznie skażone tym urazem. Miejsce zmarłego ojca może przecież zająć wujek, przyjaciel rodziny czy ojczym.

W przypadku Alberta jednak zaważył fakt odrzucenia go przez ojczyzna. Od tego momentu postać ojca w jego życiu utożsamiała się z autorytetem wyciętym wręcz z uczucia miłości.

Autorzy składają podziękowania Jose von Buechlerowi za pomoc okazaną przy tworzeniu tego fragmentu książki.

To może być odpowiedzią na wiele specyficznych cech osobowości Alberta Spaggiari. Jego zainteresowanie bronią i S.S, czy też aprobatą dla politycznych buntowników reprezentują obsesyjne wręcz tyranizowanie wszelkich autorytetów.

Jego uwielbienie dla awanturniczych historii, jego młodzieńcze utożsamianie się z bandytą Salvatore Guliano, i te późniejsze zdjęcia Hitlera mogą być dla niego właśnie obrazem ojca.

Brak zaradności, wzloty i upadki w jego życiu: ciągłe podróże, zmiany pracy, brak stabilizacji. Odpowiedź na to wszystko może tkwić w fakcie, że brakowało mu wzoru do naśladowania.

Najważniejsze jednak z tego wszystkiego: buntowniczość i skłonności kryminogenne były efektem tego, że autorytety odrzuciły go i nigdy tak naprawdę nie poznał miłości.

Jego całe życie było dowodem na to, iż on sam wiedział i umiał wszystko lepiej niż jego ojczym...

SPAGGIARI TWORZY SWOJE PLANY

Nicea założona została około 350 roku p. N. E. Przez plemię greckich żeglarzy. Przez wieki całe pozostawała typową wioską rybacką, aż do czasów gdy zamożni turyści angielscy nie odkryli zalet francuskiej riviery. W roku 1822 rosnąca kolonia bezrobotnych Anglików zbudowała z własnej inicjatywy czterokilometrową promenadę, która stała się później najbardziej charakterystyczną cechą miasta i została nazwana Promenade des Anglais. (Położona w zatoce Baie des Anges, trzydzieści kilometrów od granicy włoskiej, Nicea stała się główną miejscowością wypoczynkową Lazurowego Wybrzeża. Osłonięta niskimi wzgórzami od północy ma zagwarantowaną całoroczną pogodę a deszcze nawiedzają ją najwyżej przez dwa miesiące.

Jest tu port lotniczy, uniwersytet i kilka muzeów sztuki. Ludność miejscową szacuje się na trzyście pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców.

Rzeka Paillon oddziela wschodnią część miasta, z portem, centrum handlowym i krętymi uliczkami Starego Miasta, od części zachodniej, na którą składa się nowoczesne budownictwo i port lotniczy.

Podobnie jak w wielu kurortach, miejscowa ludność to przede wszystkim osoby w starszym wieku, na emeryturze. To również ma wpływ na prosperitę takich banków jak Societe Generale. To właśnie w Nicei ten jeden z największych banków francuskich umieścił swój główny oddział, właściwie odczytując potrzeby starszego pokolenia. Imponująca fasada bankowego lokum z białego kamienia przytłacza wręcz miasto, a jego architekturę we włoskim stylu delikatnie ściągnięto z Palais de Justice, gmachu sądu. Wchodząc do środka, w hallu głównym zauważa się od razu bardzo wysoki sufit podtrzymywany przez marmurowe kolumny. Łukowate okna zabezpieczone są kutymi z że-

laza kratami, co wyróżnia je natychmiast spośród innych nowoczesnych banków z pancernymi szybami w oknach.

Po napadzie stulecia na bank zrozumiano jednak, że należy unowocześnić wygląd hallu głównego, i obecnie przypomina on bardziej olbrzymie i otwarte dla wszystkich biuro, wyposażone we współczesne meble, ze ścianami w tonacji pomarańcza i bieli, bogate w aluminium i szkło. Jednak tamtego sierpniowego dnia 1974 roku, gdy Albert Spaggiari przekroczył próg banku, panowała jeszcze wyciszona atmosfera klasycznego biura.

Ten specyficzny klimat obowiązywał także w podziemiach - wśród skrytek wykorzystywanych przez majątnych emerytów do trzymania w nich swojego bogactwa, w namacalnych kształtach sztabek złota czy kosztowności. Tam też stała wiekowa kanapa, kilka metalowych krzeseł i stolików, jak i kilka par wielkich nożyc, przywiązanych do stołu wedle staromodnych zasad, służących do obcinania kuponów akcji i obligacji. Podłoga pokryta była brązowym, lśniącem linoleum, a bloki składające się na skrytki depozytowe kojarzyły się z bankową fasadą.

Cztery tysiące skrytek, jakimi dysponował bank dla swoich klientów, mieściło się w siedmiu blokach. Skrytki były dwojakiego rodzaju: jedne o wymiarach trzydzieści na dwadzieścia centymetrów i głębokie na sześćdziesiąt centymetrów; drugie były dwa razy większe, ale o tej samej głębokości. Każda skrytka miała dwa oddzielne klucze i należało użyć obydwu na raz, żeby ją otworzyć. Jeden z tych kluczy był własnością klienta, a drugi leżał w banku.

Sala depozytowa udostępniana była klientom Każdego ranka z chwilą otwarcia drzwi banku. Gdy klient chciał się dostać do swojej skrytki, musiał zastukać w drzwi skarbcza. Wtedy pojawiał się strażnik i prowadził go do jego skrytki. Tam "klient wkładał do zamka swój klucz, strażnik przekreślał klucz bankowy i zawartość skrytki stała otworem. Wtedy strażnik pozostawiał klienta samego. Ten mógł przebywać przy swojej skrytce tak długo, jak tylko chciał. Kiedy zakończył już swoje operacje, mógł przekreślić swój klucz i skrytka zamykała się automatycznie. Na koniec dnia, gdy klienci opuścili już bank, I każdy blok ze skrytkami był zamykany dodatkowo na klucz i dopiero wtedy strażnik mógł zabezpieczyć cały skarbiec dwudziestotonowymi drzwiami.

Dwa lata później Spaggiari tak zwierzał się przesłuchującemu go sędziemu:

"Pomysł włamania się do banku Societe Generale narodził się od razu, tego samego dnia, gdy wynajmowałem tam skrytkę, w sierpniu 1974 roku. Rozwijałem go w moim mózgu krok po kroku, aż do momentu kiedy stwierdziłem, iż naprawdę da się to zrobić..." Jednakże Spaggiari podał także wiele kłamstw podczas tego przesłuchania: "Za każdym razem, gdy odwiedzałem mój depozytowy schowek, wiedziałem coraz więcej o skarbcu. Odmierzyłem krokami wielkość tej sali. Porobiłem małe szkice, a nawet udało mi się sfotografować co nieco. I nikt nie zdawał się zwracać na mnie uwagi..."

Zapytany o to, jak się dowiedział, że nie ma tam zainstalowanego systemu alarmowego, odpowiedział: "Kupiłem zwyczajny budzik, który miał bardzo głośny sygnał. Nastawiłem go na godzinę pierwszą i zostawiłem w mojej skrytce późnym popołudniem. O pierwszej w nocy siedziałem w Tawernie Alzackiej, znajdującej się naprzeciw banku. Przebywałem tam do drugiej w nocy. Nic się nie wydarzyło przez ten czas. Następnego dnia otworzyłem skrytkę. Zegar stał tam cały czas, tykając sobie, a dzwonienie samo ustało." Możliwe jest, że czuły, nowoczesny system alarmowy podniesie alarm na głos dzwoniącego budzika. Wydaje się jednak mało prawdopodobne, że tak zapobiegliwy i drobiazgowy planista jak Spaggiari mógł polegać jedynie na tej wątpliwej przesłance, mającej świadczyć o braku alarmu.

W każdym razie obie te historie - zarówno tę o zmierzeniu skarbcza i jego sfotografowaniu, jak i opowieść o budziku - policja szybko potraktowała z przymrużeniem oka.

Z ksiąg skarbcza, gdzie każdorazowe wejście i wyjście klienta jest skrupulatnie odnotowane, wynikało, że Spaggiari był w podziemiach tylko dwa razy! Pierwszy raz zjawił się tam, gdy zakładał sobie skrytkę, a po raz drugi odwiedził skarbiec w styczniu 1975 roku.

Kiedy zwrócono mu uwagę na tę sporną kwestię, Spaggiari rozwinął kolejną historyjkę: "Jeden z oddziałów Societe Generale mieścił się przy 52 Route de Marseilles, a obok były drzwi mojego sklepu. Ja miałem konto w tym oddziale, a jeden z kasjerów był stałym klientem sklepu. Byliśmy w pewnym sensie sąsiadami z jednej ulicy. Na dodatek on był gadatliwym człowiekiem. Wcześniej pracował w oddziale głównym przy Avenue Jean Medecin, także jako kasjer, i miał tam dostęp do skarbcza. Krok po kroku i wyciągnąłem z niego wszystkie detale dotyczące podziemi. Nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, co mówi... I to on właśnie powiedział mi też, że nie ma tam zainstalo-

wanego systemu alarmowego." Spaggiari podał nazwisko tego kasjera, ale okazało się, że człowiek ten zmarł niedawno.

Ta historyjka mogła być bliższa prawdy, choć długi język pracowników bankowych należy do rzadkości. Można też na karb szczęśliwego zbiegu okoliczności złożyć fakt, iż właśnie w tym miejscu znalazł się sklep odwiedzany przez bezmyślnego kasjera.

Kwestia, jak naprawdę Spaggiari zdobył te podstawowe informacje, musi jednak pozostać w sferze domysłów. Nie jest też powiedziane, że nie korzystał on z., Usług" jakichś informatorów, których nigdy nie udało się zidentyfikować...

Potrzebna mu była także informacja o tym, ile waży jedna stalowa szafa ze skrytkami depozytowymi. Później utrzymywał, że zapytał o to, tak po prostu, strażnika! Odpowiedź, jaką otrzymał, brzmiała: trzydzieści ton, i w swych późniejszych planach Spaggiari wziął pod uwagę tę właśnie, błędną, wersję.

Ta część jego opowieści mogła być zgodna z prawdą, bo wyjaśnia ona powód drugiej wizyty Spaggiariego w bankowym skarbcu w styczniu 1975 roku.

Nie ma też żadnej tajemnicy w tym, jak udało mu się zdobyć plany rozmieszczenia kanałów i ścieków wokół banku. Światłokopie kompletnych planów kanalizacji miejskiej są bowiem dostępne dla każdego, kto zwróci się z taką prośbą do rady miejskiej. Spaggiari przedstawił się tam jako zapalony miłośnik dyskotek przychodzący z propozycją wybudowania podziemnego klubu. Urzędnicy okazali się bardzo przychylni tej inicjatywie i Spaggiari otrzymał od nich światłokopię oznaczoną numerem 16 wykonaną w skali 1:1.000. Teraz miał wszystko jak na dłoni.

Ze światłokopii Spaggiari mógł bez problemu obliczyć długość najkrótszej trasy z banku do podziemnej drogi w tunelu Paillon. Sprawdził tę trasę na własnych nogach. Jego późniejsza relacja była przekonywająca, jeśli jej - jak to miał w zwyczaju - nie ubarwił: "Spędziłem sześć nocy w zgiełku kanałów, brnąc przez nieczystości, przeganiając szczury i czując dochodzący zewsząd smród. Zbadałem cały ten system, krok po kroku, aż wreszcie poznałem każdy kąt, każdy ślepy zaułek. Ilekroć zgubiłem się, szedłem prosto do najbliższego szybu, podnosiłem wąż i spoglądałem na ulicę tak długo, aż poznałem swoje aktualne położenie." Nie wiadomo, czy Spaggiari rzeczywiście spędził te sześć nocy w kanałach, ale trudno sobie wyobrazić. By był aż tak głupi, aby wytykać głowę na ulicę. Te obserwacje jednak pozwoliły mu na wyciągnięcie kilku istotnych wniosków:

Możliwy był przejazd z Avenue Marechal Lyautey w dół po specjalnie zbudowanej rampie w suchym korycie rzeki Paillon, a stamtąd - odsuwając na bok żelazne zapory wysokie na pół metra - można było dotrzeć już bezpośrednio do podziemnej drogi.

Miejsce, w którym droga przechodzi dokładnie pod bankiem, znajdowało się w punkcie połączenia rue Felix Faure i rue Chauvain.

Drugie wejście do podziemnych korytarzy - mogące zmieścić ludzi, ale nie samochody - dostępne było przy Place Massena. Na wysokości rue Felix Faure. Tam też znajdował się podziemny plac parkingowy prowadzący do "syfonowego zaułka", gdzie schodzili pracownicy miejscy, aby kontrolować poziom wody podczas ulewnych deszczy. Teren placu parkingowego strzeżony był przez telewizyjną sieć kablową, a jedną z kamer ustawiono na wprost drzwi prowadzących do "syfonowego zaułka". Jednak obraz z niej można w łatwy sposób zablokować, parkując samochód przy samych drzwiach. Jest to bardzo korzystne wyjście, gdy chce się zabezpieczyć przed ciekawskimi oczami ponad trzykilometrową drogę...

Tutaj właśnie Spaggiari mógł doprowadzić elektryczny kabel i podłączyć tym samym światło w tunelu. Tym sposobem miał skąd czerpać energię do swoich narzędzi.

Było też trzecie wejście do podziemi, bliższe banku ale bardziej niebezpieczne: wąż znajdujący się na rogu rue de L'Hotel des Postes i rue Gustave Deloye'a. Najcięższe sprzęty wchodzące w skład ekwipunku, które trudno byłoby przetransportować kanałami ściekowymi od podziemnej trasy do banku, mogły zostać spuszczone w dół właśnie tym wjazdem.

Jednakże ten wariant należało ograniczyć do naprawdę niezbędnego minimum.

Pod rue de L'Hotel des Postes, gdzie znajdowała się frontowa ściana banku, był ślepo zakończony tunel, który mógł posłużyć do składania przegarnianej ziemi i kamieni zbieranych podczas wykonywania podkopu.

Tunel prowadzący od ścieku do ścian skarbcza zaczynał się w kanale na wysokości rue Gustave Deloye, zamykanym w tym miejscu wjazdem.

Drobne punkty tej operacji wymagały jeszcze obliczeń i weryfikacji, ale zasadniczy plan był już gotowy. Wydawał się wysoce wiarygodny i Spaggiari musiał teraz znaleźć osoby, które podjęłyby się jego realizacji.

Na początku 1976 roku Spaggiari złapał kontakt z grupą znaną jako Le Gang des Marseillais - Klan Marsylczyków.

Marsylia jest największym w skali całej Francji skupiskiem przestępczości. Chociaż narkotykowy handel przeniósł się bardziej na wschód do Nicei, Marsylia ciągle jeszcze jest miejscem, gdzie przybywa się celem "nabycia" przestępczych praktyk.

Stąd też marsylskie podziemie zainteresowało się planami Alberta Spaggiari i zgodziło się na zorganizowanie mu grupy, która mogła pracować pod ziemią. Jednakże na drodze stała jedna przeszkoda: ich ekspert od tuneli podziemnych, Włoch znany jako "Kamieniarz", przebywał akurat w więzieniu...

Można go było stamtąd wydostać, ale jedynie na koszt Spaggiariego.

Spaggiari przełknął jakoś tę nieco wątpliwą, jego zdaniem historyjkę i wybulił ponad 6200 dolarów. Kamieniarz zgodnie z umową opuścił wtedy tajemniczym sposobem mury więzienia Bourges." Grupa z Marsylii dostała się do kanałów przez podziemny parking przy Place Massena, korzystając z "syfonowego zaułka". Obejrzelik dokładnie podziemną drogę, przeszli całą trasę kanałami i zbadali miejsce, gdzie Spaggiari chciał zacząć kopać tunel. Kamieniarz sprawdził tam ziarnistość gleby.

- Jest za bardzo gliniasta - orzekł. - Tunel musi być bardziej wzmocniony po bokach.

Potem wszyscy przyjrzelik się budynkowi banku z zewnątrz.

Wreszcie na koniec dokładnie sprawdzili suche koryto rzeki prowadzące do podziemnej drogi.

Plan spodobał się im w każdym calu.

Nie spodobał się natomiast Spaggiari...

Odmówili wykonania tej operacji.

Podobnie jak armia, potem OAS czy Pierre Lagaille, klan Marsylczyków także szybko stał się nieufny w stosunku do tego człowieka. Dostrzeżono jego wybujałą postawę wobec rzeczywistości, symptomy megalomanii, zbytnią obsesję na punkcie tego co wymyślił, a przede wszystkim chwiejną osobowość.

Podarowali mu na koniec swój sprzęt do wędrówek po kanałach i zniknęli. Jedynie Kamieniarz pozostał z nim. Może wynikało to z faktu, iż w pewnym sensie poczuwał się do długu wdzięczności wobec niego... Jakby nie patrzeć, to przecież Spaggiari wyłożył sporą forszę za jego wyjście na wolność.

W tej sytuacji Spaggiari przyjął go na współnika. Problem całej ekipy jednak dalej pozostał nie rozstrzygnięty... Po czasie dopiero okazało się, iż wybór tych a nie innych kompanów był największym błędem operacji...

Sposób, w jaki Spaggiari zwerbował Francisa Pellegrina, był klasyczny.

Na rue Felix Faure znajduje się kawiarnia nosząca tę samą nazwę. W 1976 roku było to najmodniejsze miejsce do wszelkich spotkań w całej Nicei. Barman robił tutaj doskonale koktajle z szampana albo podawał różne gatunki amerykańskiego bourbona. Jedzenie było wyśmienite, a bywalczynie młode, atrakcyjne i zawsze szalowo wystrojone. Samochody stawiało się na piętrowym parkingu obok (taki parking był de rigueur dla nicejczyków), a chodnik blokowały ciągle jakieś motocykle. (Na Rivierze te pojazdy nie są uprzywilejowane tylko dla Hell's Angels. W tym łagodnym klimacie nikt przecież nie ubierał się na motor jak alpinista, aby zrobić sobie piekielną przejażdżkę!) I tutaj właśnie, w tym eleganckim bistro Spaggiari spotkał Pellegrina.

Pellegrin był drobnym złodziejaszkiem, z gatunku tych, których Francuzi określają mianem: demi sel. Krótkowzroczny, brzydki, z twarzą pokrytą dziobami. Nie było w nim nic, co przyciągałoby czyjąś uwagę. Nie mógł też wykazać się wielkim sprytem. Po prostu, tego człowieka nie wyróżniało nic. Może poza jednym: był przeraźliwie głupi...

Przybył do Nicei niedawno, z rodzinnego miasteczka w Beaulieu, nie mając nawet centyma w kieszeni. Spaggiari wzbudził w nim strach. Elegancko ubrany, chłodny, szalony gentus z wielką klasą. Ledwie mu uwierzył, gdy Albert oznajmił, iż jest hodowcą kurczaków. "Goebbels także hodo- wał kurczaki, jak zapewne wiesz... - dodał wyjaśniająco Spaggiari. Pellegrin nie wiedział, czy ten człowiek mówi poważnie, czy raczej żartuje sobie z niego.

Ten drobny złodziejaszek był bardzo niespokojny, gdy spotykał się ze Spaggiarim. Czuł wyraź- nie swoją niższość, gdy przebywał w towarzystwie tego człowieka. Ku jego zdziwieniu jednak Al- bert pewnego wieczoru odciągnął go na bok i powiedział: "Wiem, że mogę mieć do ciebie zaufanie. Jeśli mi pomożesz, z pewnością nie pożałujesz tego...

Większość członków grupy została zwerbowana w podobny sposób. Poza czterema wyjątkami: "G." i "P." Byli białymi Algierczykami i przyjaciółmi Alberta z OAS, Kapitan V. Był wietnamskim weteranem a poznany już Kamieniarz wywodził się z Klanu Marsylczyków. Pozostałych dziewięć- nastu "typów spod ciemnej gwiazdy" udało się znaleźć poprzez kontakty z podziemiem. Pellegrin spotkał kogoś, kto znał dobrego kierowcę;

Spaggiari miał przyjaciela, który znalazł mu osoby szukające szybkiego i łatwego zarobku... I tak dalej...

W tym miejscu pojawia się pierwsza z kilku zagadek, jakie otaczają tę sprawę w kontekście dzi- ałań policyjnych...

Każdy wydział policji, który chciał zaliczać sukcesy w walce z przestępczością, miał pośród lo- kalnego światka przestępczego swoich informatorów. Byli to tacy sami kryminaliści, jak ci, na któ- rych donosili, ale im nie przeszkadzało zarobić trochę grosza na boku z policyjnej kasy... Policja różnych krajów nazywa takich informatorów "ryjami" czy też "cynkami", natomiast we Francji ok- reśla się ich mianem: indirs.

Zawodowcy w przestępczym fachu, licząc się z takimi przypadkami, trzymają swoje plany w na- jwiększej tajemnicy. Wiedzą, że nie należy zbyt ufać nikomu. O dużej akcji wiedzą zawsze tylko nieliczni, najbardziej zaufani. Spaggiari jednak wręcz publicznie rozgłaszał potrzebę zebrania grupy ludzi.

Głośno było o tym w najgorszych nawet spelunkach! I dlatego też wręcz nie do uwierzenia jest, by żaden z indirs działających w Nicei nie słyszał o zbliżającej się robocie specjalnej.

Niemniej jednak tak było w rzeczywistości: nikt w wydziale policji w Nicei nie miał pojęcia, że Spaggiari coś planuje!

Ten oczywisty wyraz nieudolności policji wystąpi jeszcze nie raz w całej historii tego napadu stulecia. Wrócimy do tego aspektu sprawy już wkrótce...

Kolejnym zadaniem Spaggiariego było zdobycie ekwipunku niezbędnego do przeprowadzenia zaplanowanej akcji. W tym wypadku posłużył się jednak większą ostrożnością.

Do przenoszenia narzędzi zakupił kilka toreb uszytych z mocnego żaglowego płótna. Sprowadził je z magazynów domu towarowego Rirxascente w Mediolanie.

Dziesięć par nożyc, wykonanych ze szwedzkiej stali w Sztokholmie, zostało zakupionych za go- tówkę w Belgii.

Kupiono także dwanaście małych i tyleż samo wielkich młotów, kilkanaście murarskich kielni, trzydzieści sztuk dłut o różnych wymiarach, zwój plastikowych worków, sześć lasek dynamitu i trzy tlenowo - acetylenowe palniki.

Trzydzieści laterek, wszystkie firmowane przez Super - Limitet, wyszukano w kilku sklepikach znajdujących się przy Starym Mieście w Nicei oraz w domu towarowym Cap 3000 w Villeneuve Loubet. Każda z nich kupowana była pojedynczo. Spaggiari wpadł wręcz w furję, gdy dowiedział się, że jeden z jego ludzi poprosił o trzy na raz w jednym sklepie.

Kupiono też taczki i kilka wiader do przenoszenia ziemi wydrążonej z tunelu, a także deski i bel- ki, które miały podtrzymywać strop w tunelu. Postarano się również o sporą ilość pięćdziesięcio ki- logramowych worków z cementem do ścian.

Trzysta metrów elektrycznego kabla nabyto w odcinkach po czterdzieści i pięćdziesiąt metrów w kilku sklepach w Nicei, Mentonie i Antibes.

Spaggiari zainwestował także w dwie elektryczne wiertarki, duży hydrauliczny podnośnik i mały laser, który kosztował go ponad dwa tysiące dolarów. W ciągu minuty mógł on przeciąć dziesięcio centymetrową warstwę żelazobetonu.

Zaopatrzył także wszystkich w profesjonalne apteczki pierwszej pomocy, kupił turystyczny pićcyk, butle z paliwem tlenowo - acetylenowym do palników, gumowe buty i wodoszczelne kombinezony z rodzaju tych używanych przez szambonurków, dużą ilość różnych rękawic, zarówno ochronnych, jak i chirurgicznych.

Nabył również przemysłowy pochłaniacz spalin, który miał oczyszczać powietrze w drażonym tunelu.

Jedyną kradzioną pozycją w całym tym zestawie było kilka tuzinów ciężkich skobli, które wbijano potem w sklepienie tunelu i przywieszano na nich kable elektryczne, aby chronić je przed ewentualnym stykiem z wodą. Wyniesiono je z terenu budowy w Grasse.

Niewątpliwie niektóre inne drobne zlecenia, dotyczące na przykład zakupu haków, nie oparły się pokusie ich kradzieży, a pieniądze otrzymane od Spaggiariego na te inwestycje zasilły kieszenie współpracowników.

Do, przetransportowania całego ekwipunku przez kilkusetmetrowy kanał zdecydowano się użyć gumowych łódek i dużych dętek wyjętych z opon od tranzytowych ciężarówek. Łopaty, szufle, śrubokręty, okulary ochronne, łomy... lista nie miała końca. Zakupili to wszystko niemal po całej Europie Zachodniej. Uważając zawsze, by nie rzucić się w oczy i brać każdą rzecz tylko w małych ilościach, najczęściej w wielkich domach towarowych.

Spaggiari zdawał sobie sprawę, że całe wyposażenie, jakiego użyje grupa, będzie musiało pozostać na miejscu po napadzie. A to z kolei może dostarczyć policji sporo roboty, która i tak nie przyniesie żadnych rezultatów. Te przewidywania spełniły się potem dokładnie...

Spaggiari potrzebował miejsca, gdzie mógł składować na razie cały ten ekwipunek. Wynajął do tego willę w Castagniers, miejscowości oddalonej o osiem kilometrów od Nicei.

Początkowo trzymał wszystko na terenie swojej posiadłości, ale zdecydował, że willa będzie bezpieczniejsza.

I to był jego największy błąd...

ZAZDROSNA ŻONA

Zazdrosne ucho usłyszy wszystko.

z "Księgi Mądrości Salomona

Mało brakowało, by działalność "Szczurów Kanałowych" -jak nazwał swoją grupę Spaggiari - wyszła na światło dzienne. Sprawiała to, na dziesięć dni przed napadem, akcja pod kryptonimem Zazdrosna Żona...

Pewna kobieta była kochającą żoną biznesmena w średnim wieku, właściciela firmy spedycyjnej. Był on niewątpliwie atrakcyjnym mężczyzną i sam zdawał sobie z tego sprawę.

Szpakowate włosy i doskonała kondycja fizyczna podkreślały jeszcze jego walory. Do tego dodać należy wesołe usposobienie i swego rodzaju próżność polegającą na wystawianiu na pokaz swojego ciała na plaży przy Villeneuve Loubet. Interesy szły nie najgorzej, a ich syn miał już prawie dwadzieścia lat.

Na początku 1976 roku ta kobieta - nazwijmy ją Madame V. - Odkryła, że jej mąż ma kochankę w willi w Gagnes sur Mer. Doprowadzona do rozpaczyc skontaktowała się z adwokatem, decydując się na rozwód, ale po przemyśleniu wszystkiego uznała, iż lepiej nie robić nic, nie mówić nic, tylko... poczekać, aż ten błahy romans sam się zakończy. Ósmego lipca tegoż roku Monsieur V. Wyjechał w interesach do Lyonu. Wieczorem tego dnia żona odkryła, że zniknęły gdzieś pewne klucze... Były to klucze od willi w Castagniers, która nie należała do nich, ale do ich przyjaciela.

Wyjechał on na dłużej i państwo V. Zgodzili się trzymać pieczę nad domem. Od czasu do czasu mieli tylko przewietrzyć dom, by sprawić wrażenie, że jest on zamieszkały, i tym samym zniechęcić ewentualnych włamywaczy.

W tej sytuacji Madame V. Doszła do wniosku, że jej mąż nie pojechał wcale w interesach do Lyonu, tylko zabrał swoją małą nimfę do willi w Castagniers!

Następnego dnia, dziewiątego lipca, wyprowadziła z garażu swojego kremowego peugeota i wyruszyła w kierunku Castagniers. Nie miała sprecyzowanych żadnych planów. Ze stałą prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę jechała przed siebie, mijając po drodze nowo pobudowany drapacz chmur - siedzibę Nice - Matin, budynek pogotowia gazowego, ekskluzywną restaurację Senreile Restaurarii..

Przez całą drogę wypalała jednego papierosa za drugim, jak przystało na nałogowego palacza. Z tego też powodu jej cera czterdziestolatki była już zniszczona.

Willa stała w niewielkiej odległości od głównej drogi, ale na tyle daleko, by nie dochodził tam szum jadących samochodów czy smród spalin. Wybudowano ją w stylu typowo wiejskim, w otoczeniu drzewek oliwkowych, z dachem pokrytym czerwoną dachówką, a ściany otynkowano na kolor przypominający swoją barwą skorupkę jajka. Do tego jeszcze willa ustawiona była na stoku, skąd rozpościerał się urzekający wprost widok na okolicę.

Madame V. Zatrzymała swoje auto w sporej odległości od willi. Zauważyła, że okiennice stały otworem, co oznaczało, iż w środku ktoś przebywa...

Zawahała się przez moment, wróciła do samochodu i szybko wykręciła do głównej drogi, mocno przyciskając na gaz.

Widziała już wystarczająco dużo! Miała jak na dłoni niezbite dowody, że mąż w dalszym ciągu ją zdradza. Nie ośmieliła się jednak wtargnąć do środka, by złapać go na gorącym uczynku.

Wolała wrócić do domu, a po drodze próbowała jeszcze, z nikłym skutkiem, powstrzymać napływające do oczu łzy.

Miała mieszane uczucia co do tego, jak powinna teraz postąpić. Chciała przekonać się osobiście, że jej mąż naprawdę jest w środku. Chciała też wiedzieć, co on faktycznie tam robi, a tym samym przyskrzynić go w sytuacji bez wyjścia...

Zatrzymała się przy najbliższej budce i wykręciła numer, pod którym powinien znajdować się obecnie właściciel willi.

- Czy ty wynająłeś komuś willę? - zapytała, gdy podniósł słuchawkę.

- Nie - odparł. - A czemu o to pytasz?

- Przypadkowo przejeżdżałam obok niej i zauważyłam, że okna są otwarte. Pomyślałam więc, że lepiej będzie to sprawdzić...

- Nie, nikogo tam nie powinno być. Ty masz przecież klucze, prawda?.

- Tak, tak - skłamała szybko.

- A może to twój mąż wybrał się tam, aby rzucić okiem na posiadłość?

- On na pewno nie, jest teraz w Lyonie, w interesach... przerwała na chwilę, a później dodała: - Boję się trochę... Tyłu różnych podejrzanych typów kręci się po Lazurowym Wybrzeżu, wszyscy ci hippisi i...

Ostatnie słowa zdawały się przekonać właściciela willi.

- W porządku - zdecydował. - To mój dom. Dzwonię na policję...

We Francji istnieją dwa rodzaje policji. Wielkie miasta mają oddziały Police Judiciaire, które działają podobnie jak siły policyjne w innych krajach europejskich i są pod nadzorem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. W mniejszych miastach i miasteczkach działa natomiast żandarmeria, uzbrojone formacje podlegające Ministerstwu Obrony. Żandarmeria jest zawsze umundurowana i nie ma uprawnień śledczych. Jej przedstawiciele obowiązani są do składania raportów ze spraw kryminalnych do najbliższej siedziby Police Judiciaire, która decyduje o wszczęciu śledztwa.

Właściciel willi w Castagniers zadzwonił do oddziału żandarmerii w Plan du Var. Telefon odebrał Claude Destreil, wzorcowo ostrzyżony i ubrany w przepisową bluzę o błękitno - zielonym odcieniu, lubiany przez wszystkich kolegów, młody żandarm. Podobnie jak każdy lokalny policjant był on zainteresowany wszystkim, co zwykle dzieje się w jego okolicy.

Uznając, że może wreszcie będzie to coś interesującego, co ubarwi jego nudny raport, przywołał innego żandarma, Patricka Gruau, i razem pojechali do willi.

Destreil zaparkował swój mały policyjny furgon pod drzewkiem oliwkowym i po chwili już obaj mężczyźni rozejrzeli się uważnie wokoło. Gruau wspiął się po siedemnastu stopniach prowadzących do drzwi frontowych i zapukał kilkakrotnie, ale nie otrzymał z wewnątrz żadnej odpowiedzi.

W oczekiwaniu na otwarcie drzwi obaj żandarmi z zapartym tchem podziwiali widok rozciągający się w dół doliny, aż do rzeki Var.

Okiennice willi były faktycznie otwarte, okna za nimi pozostawały jednak zamknięte. Garaż także był zamknięty, ale żandarmom udało się zerknąć do środka. Stał tam zaparkowany nowusienki peugeot 504, szary metalik. Zapisali jego numer rejestracyjny.

Nigdzie nie zauważyli jednak jakichkolwiek śladów wskazujących na włamanie do willi.

W tej sytuacji obaj żandarmi postanowili wrócić na posterunek. Późnym popołudniem otrzymali informację, że samochód marki Peugeot o podanym numerze rejestracyjnym należy do akwizytora instrumentów i akcesoriów muzycznych w Beziers, miasteczku oddalonym o 300 kilometrów od Plan du Var.

Gdy na zegarze wybiła 18:30 tego popołudnia, postanowili raz jeszcze odwiedzić willę. Tym razem mieli więcej szczęścia.

Na podjeździe stały dwa drogie auta: mercedes i renault 17.

Natomiast na schodach prowadzących do willi siedziało czterech mężczyzn. Żandarmi zadali im kilka rutynowych pytań, na które odpowiedział im najstarszy z czwórki nieznajomych:

- Wynajęliśmy tę willę, a teraz czekamy na naszego przyjaciela, który powinien zjawić się lada moment i przywieźć klucze. Żandarmi pamiętali jednak słowa właściciela willi, który wyraźnie zaznaczył, iż nie wynajmował nikomu swojego domu. W tej sytuacji poprosili więc wszystkich mężczyzn o dokumenty i skrupulatnie zanotowali ich dane.

Po kolei byli to:

Dominique Poggi, zamieszkały przy 23 rue Fourmilliere w Anibes, urodzony 16 lutego 1926 roku w Farinole na Korsyce;

Daniel Michelucci, mieszkający przy 20 rue Samatan w Marsylii, urodzony 6 października 1920 roku tamże;

Christian Duche, zamieszkały przy 36 Esplanade de la Tourette, także w Marsylii tam urodzony 8 marca 1947 roku.

Czwarty z mężczyzn podawał się za Alaina Ponsa i nie miał przy sobie żadnych dokumentów.

Po spisaniu tych danych, Destreil oświadczył nieznajomym: - Z tego co wiemy, właściciel nie wynajmował ostatnio nikomu tej willi...

Poggi uśmiechnął się w odpowiedzi i dodał:

- Zgadza się, ale my wynajmujemy ją właśnie od tej chwili... Nasz przyjaciel, Raymond, zrobił to właśnie dla nas i teraz czekamy, aż dostarczy nam klucze. Jego też możecie panowie sprawdzić. Jest właścicielem restauracji na plaży przy St. Laureant du Var. Żandarmi nie okazali na te słowa zbytniego zdziwienia.

Poggi mrugnął do nich okiem i powiedział:

- Chcemy tu zrobić sobie małą imprezkę dzisiejszego wieczoru... Taką w zamkniętym gronie... Rozumiecie, panowie...

Ponieważ otwarcie nie padło żadne słowo o ewentualnym towarzystwie dam, a ci czterej nie wyglądali raczej na typowych homoseksualistów, Destreil odparł mu:

- Rozumiemy panów, ale wolimy jednak poczekać tutaj na wspomnianego już przyjaciela, Raymonda...

Wyraz twarzy mężczyzny nazwiskiem Poggi stał się trochę nerwowy, ale w miarę spokojnym głosem dodał jeszcze:

- W porządku, ale nie jest powiedziane, że on już je ma.

Lepiej pojechać do tego jego przyjaciela...

- A gdzie mieszka ten przyjaciel?

- W pobliżu stadionu.

- Dobrze, wybierzmy się więc tam.

Czterech mężczyzn wrzuciło ramionami i jednocześnie podnieśli się ze schodów. W tym momencie żandarmi usłyszeli warkot silnika zbliżającego się samochodu. Obrócili się natychmiast za siebie i zauważyli dach auta wylaniający się na wzgórzu pośród drzew. Nagle jednak samochód zatrzymał się, zakręcił prawie w miejscu i błyskawicznie pognął w kierunku, skąd przyjechał. Żandarmi zdążyli jedynie rozpoznać markę pojazdu. Był to renault 5.

Cała szóstka wsiadła do samochodów: Destreil i Gruau do policyjnego furgonu, Duche do mercedesa, a pozostali trzej do renaulta.

Adres, pod jaki wszyscy dotarli, okazał się tym, gdzie mieszkała Madame V. - Kobieta, od której rozpoczęła się cała sprawa w związku z jej podejrzeniami o niewierność męża.

Była akurat w domu, razem z synem. Przy bliższym kontakcie można było zauważyć, że płakała niedawno, bo jej oczy były mocno podkrążone.

Po chwili osiem osób zapełniło już pokój gościnnie w mieszkaniu - i wtedy żandarm Gruau zwrócił się do Madame V.:

- Czy pani ma klucze od willi w Castagniers?

- Nie - odparła. - Mój mąż je zabrał. A w tej chwili prawdopodobnie zdradza mnie z jakąś dziwką w tej willi...

- Pani jest w błędzie - przerwał jej Poggi. - On dał te klucze Raymondowi, który z kolei miał je dostarczyć nam.

To stwierdzenie kompletnie zaskoczyło Madame V.

- A dlaczego niby miał...

Poggi swoim zwyczajem znowu wszedł jej w słowo, nie czekając, aż skończy: - Mieliliśmy tam urządzić sobie małą imprezkę... rozumie pani?

Destreil, który słyszał tę historyjkę już wcześniej, zdecydował, że czas skończyć już z tym i wyjaśnić całą sprawę krótko.

Odwrócił się w stronę syna Madame V. I powiedział do niego:

- Młody człowieku, proszę wykręcić numer do pana Raymonda i poprosić go o szybki przyjazd. Proszę mu powiedzieć, że jego przyjaciele chcą się z nim widzieć...

"Młody człowiek" wykonał polecenie i Raymond zjawił się już po kwadransie. Kiedy dzwonek u drzwi oznajmił jego przybycie, żandarmi poprosili wszystkich, aby pozostali w pokoju do czasu, aż oni sami wypytają dokładnie Raymonda bez zbędnych świadków i sprawdzą, czy cała ta historia jest prawdziwa. Jednak ich doświadczenie w prowadzeniu takich spraw nie było zbyt duże i zanim się zorientowali, Poggi już zdążył chyłkiem prześliznąć się do drzwi, a otwierając je szepnął kilka słów do Raymonda.

Wszystko to wyglądało bardzo podejrzanie, ale zbyt trudno było w tej sytuacji przedsięwziąć stosowne kroki.

Destreil spojrzął tylko na kolegę i wzruszył ramionami.

- Popelniliśmy błąd - skwitował.

Żandarmi dokonali rutynowego przesłuchania Raymonda, ale w zadziwiający wręcz sposób jego odpowiedzi zgadzały się dokładnie z tym, co mówił już Poggi.

Z całego wydarzenia złożyli raport przed wasiastym Pierrem Dufourem, szefem brygady w Plan du Var. Ten jednak wzruszył tylko ramionami i kazał im jeszcze popracować nad tym przypadkiem.

Gdy dzień miał się ku końcowi, tylko jedna osoba była w pełni usatysfakcjonowana z całego obrotu sprawy: Madame V.

Dowiedziała się przecież, że mimo tylu obaw mąż jednak nie zdradza jej!

Przez kilka kolejnych dni żandarmi zasięgnęli informacji tak daleko, jak tylko pozwalały im możliwości. Tym samym odkryli, że żaden z dwóch samochodów, których używali czterej wylegitymowani mężczyźni, nie należał do nich. Mercedes był rejestrowany na Alaina Benissona, zamieszkałego przy rue Massenole 28 w Marsylii, urodzonego 3 września 1942 roku.

Natomiast właścicielem renaulta 17 był Louis Belayle, mieszkający także w Marsylii, na Avenue Camipelletan 88, urodzony 18 lutego 1951 roku. Żandarmi byli też w stanie pójść śladem renaulta 5, którego dach przemknął im przed oczami, gdy ruszali sprzed willi.

Kobieta mieszkająca w pobliżu poskarżyła się, że ten samochód dosyć mocno zrył jej trawnik i zdążyła zapamiętać jego numer. Nie potrafiła opisać, jak wyglądał człowiek siedzący za kierownicą tego pojazdu, ale żandarmi szybko ustalili, że był on zarejestrowany na Andre Fenouila, zamieszkałego przy rue du Chaipitre 5 w Nimes, urodzonego 13 grudnia 1931 roku w Oranie, w Algierii. Fenouil był już notowany w policyjnych kartotekach: odbył karę dwunastu lat więzienia za popełnione morderstwo.

Cała obsada posterunku w Plan du Var liczyła sześć osób.

Przełożonym był Dufour, a pozostali to: Destreil i Gruau, Andre Diminato, Edmond Sanchez oraz Patrice Sloma. Wszystkich mocno zaintrygowała sprawa tajemniczej willi w Castagniers. Nie mieli jednak żadnego punktu zaczepienia, by powiadomić o wszystkim detektywów w Nicei. Nie

popelniono przeciwzadnego przestępstwa i zebrane dotadz informacje nie dawaly podstaw do wszczecia sledztwa. Posiadali jedynie nikle poszlaki. Czala szostka byla jednak podeksytowana ta sprawa. Nie czesto sie przeciwzad zdarza, by policjanci w bledkitno - zielonych bluzach mieli okazje udowodnic, iz sa lepsi od swych kolegow z wiekszych miast, paradujacych w garniturach szytych na miare i pachnacych na odleglosc markowymi wodami toaletowymi. Zandarmi takze mieli swoich indirs - informatorow. Jeden z nich byl barmanem w miejscowym lokalu, a na boku dorabial sobie nielegalnymi zakladami. I to wlasnie on, przy okazji stawiania drinka lokalnemu strzozowi porzadku, wyznal: "Ci czterej goście posiedzieli wtedy troche przy barze... Powiedzieli mi, ze dostali robotę. Duza robotę..."

Tyle wiedzieli zandarmi, zanim nastapil skok na bank. Wydaje sie rzecza wprost nieprawdopodobna, ze mieli juz dane wlascicieli czterech samochodow, dysponowali dziesieciami nazwiskami i dotarli do nich rone plotki, a w tym czasie policja w Nicei - zlozona przeciwzad z fachowcow - nie wiedziala kompletnie o niczym! Wygladalo to tak, jakby policjant z kontroli drogowej w jakiejz malej miescinnie wiedzial juz dokladnie o skoku na bank w metropolii, a Komenda Glowna zyła sobie w blagiej nieswiadomosci. Moze ten wlasnie "drobiazg" sprawil, iz wszystko potoczylo sie tak a nie inaczej...

Incydent w Castagniers mocno wstrzasnal Spaggiarim.

Willa byla oczywiscie kwatera glowna "Szczurów Kanałowych", w niej skladowano znaczne ilosci ekwipunku niezbednego do skoku. Zarowno to starcie z silami policji, jak i bieg wypadkow, ktore nastapily zbyt blisko wyznaczonej godziny zero, spowodowaly, ze w tych okolicznosciach skok, planowany pierwotnie na najblizszy wieczor, zostal odlozony. Zwlaszcza, ze Spaggiari dowiedzial sie, iz w ten weekend do Nicei przybywa bardzo wazna osobistosc...

O godzinie 17:30 w sobote dziesiatego lipca 1976 roku samolot prezydencki Mystere 22 wyladowal na lotnisku w Nicei i jego poklad opuscil sam Giscard d'Estaing.

Znalazl sie w tym momencie na terenie jedyne go w czalej Poludniowej Francji okregu, gdzie odano glasy na niego. Pozostale poludniowe departements faworyzowaly Mitteranda, wielkiego przegranego tej kampanii.

Prezydent, ubrany w szary garnitur, wyszedl z samolotu.

Wygladal na zrelaksowanego, a opalenizna dodawala mu jeszcze uroku. Pomachal do tlumu zgromadzonego na tarasie portu lotniczego.

Nastepnie przejechal wzdluz Promenade des Anglais, zatloczonej do granic mozliwosci przez jego zwolennikow wymachujacych trjokolorowymi flagami, i dotarl do St. Jean Cap Ferrat, gdzie mial nastapic uroczysty przeglad Marynarki Wojennej. Potem sznur samochodow skierowal sie do Palais Massena, rezydencji burmistrza Nicei, na wystawne przyjecie.

Prezydent przyjal tam kwiaty od dwuch dziewczynek ubranych w barwy narodowe, wpisal sie do iure d'or - ksiegi pamiatkowej, odebral oryginalna rzezbę z koralu z rak burmistrza Jacquesa Medecina, ktory byl takze ministrem turystyki i wypoczynku w gabinecie d'Estainga, i na koniec podal rękę niektórym wybranym osobom spozród sześciuset gości zaproszonych na przyjecie.

Jednym z tych gości byl mężczyzna ubrany w modny garnitur z alpaki i szal splywajacy mu luzno na ramiona. Mimo muskularnej budowy ciala jego chod byl zadziwiajaco miękki.

Opalona karnacja twarzy uwydatniala jego oblicze: ciemne oczy iskrzyly sie z ironicznym rozba wieniem, szpakowate kosmyki przeplataly ciemna czuprynę; do tego dlugi, typowo francuski nos i mocno podkreślony podbródek oraz usmiech przylepiony wręcz do twarzy. Sprawial wrazenie czlowieka beztroskiego, pozbawionego jakichkolwiek zmartwień, ale czaly czas bacznie sledzil kazdy ruch. Byl to sam Albert Spaggiari, zaproszony tutaj w charakterze poloficjalnego fotoreportera miesjskiego, ale przy tej okazji nie wykonywal zadnych zdjec.

Ukradkiem obserwowal prezydencka ochrone, przygladajac sie jej z zawodowym wręcz zainteresowaniem.

Jeden z ochroniarzy miał wpięty w klapę marynarki maleńki czerwony przedmiot przypominający guzik. Inni nie wyróżniali się, tak bardzo, rozproszeni w tłumie. Uwagę Spaggiariego zwróciła pewna dama, która zbyt często używała swojej puderniczki, i uznał, iż ona także należy do zespołu ochroniarzy. Na zewnątrz, na pobliskich dachach zauważył jeszcze kilku innych.

Policyjne posiłki w związku z tą wizytą przysłano do Nicei z Cannes, Toulonu, a nawet z dalekiej Marsylii. Nicea aż roiła się od policjantów. Miasto było pod ścisłą kontrolą. Doszło nawet do tego, że sprawdzano kanały w poszukiwaniu ewentualnych ładunków wybuchowych.

Właśnie kwestia tych kanałów najbardziej martwiła Spaggiariego. Jego pierwotne plany musiały ulec zmianie. Jakby nie dosyć było tego incydentu w Castagniers poprzedniego dnia, na głowę spadły mu jeszcze kontrole kanałów ściekowych. Dobry Boże, tyle pracy włożył przecież w te kanały...

Kopanie tunelu, który miał prowadzić od kanału ściekowego do ściany bankowego skarbcza, zabrało "Szczerom Kanałowym" czas od maja do lipca.

Każdego dnia peugeot 504 w kolorze szary metalik wjeżdżał do podziemnego parkingu przy Place Massena w porze kolacji i parkował tam w odległości paru metrów od drzwi do "syfonowego zaułka". Blokował w ten sposób obraz, jaki mogła zarejestrować kamera. Wtedy obok peugeotosta ustawiał się citroen 2CV, niewidoczny dla kamery, a tym samym dla obsługi strzegącej parkingu w swojej budce.

Kamieniarz i jego ekipa wychodzili z citroena, zabierali swój ekwipunek i przez "syfonowy zaułek" docierali do podziemnej drogi. Stamtąd kanałami ściekowymi przedzierali się dalej, w stronę banku. Całą drogę musieli pokonywać mocno schyleni, bo kanały nie miały więcej jak metr wysokości.

Na przedzie drążonego tunelu pracowali dwójkami. Jeden rozkruszał ziemię kilofem, a drugi przerzucał ją za siebie. Trzeci z ekipy był ustawiony kilka metrów z tyłu, przy ślepo zakończonym kanale, którego używano jako składowiska ziemi.

Tunel miał niewiele więcej ponad pół metra szerokości w punkcie, gdzie się zaczynał, przy kanale ściekowym. Spaggiari upierał się przy tym, by wejście do niego wyglądało właśnie tak, jakby wykonali je pracownicy miejskich służb oczyszczania, czy też telekomunikacji. Betonowa ściana musiała być pomalowana w kolorze, jakiego używa w takich wypadkach miasto. Zawsze istniała przecież możliwość, że oficjalny pracownik zejdzie do kanałów w czasie swojego dnia pracy...

Wtedy też powinien minąć tunel bez zbytniego przyglądania się mu. Na czas weekendu natomiast, kiedy miała odbyć się prezydencka wizyta, zdecydowano, że wylot tunelu zostanie zabity deskami i dokładnie zamalowany.

Praca powoli posuwała się do przodu. Kamieniarz podążał za kopiącymi, stemplując sklepienie tunelu i pokrywając cementem jego ściany. W tym fachu był profesjonalistą. Jako syn budowniczego, którego wysokiej jakości "usługi" bardziej ceniono w światku kryminalnym niż pośród braci budowlanej, kierował teraz sceną, od której zależała cała operacja.

Spaggiari zjawiał się od czasu do czasu, sprawdzał postępy w pracach i zawsze przynosił ze sobą kilka butelek wina, które było wyśmienitym lekarstwem na zapyłone gardła ryjących w ziemi mężczyzn.

Jednego razu kazał włączyć elektryczne świdry, gdy sam stał u góry, aby sprawdzić, czy ich hałas może być słyszalny od strony ulicy.

Drążenie tunelu mocno nadwężało ich siły. Pewnej nocy "G." - Najmłodszy członek ekipy, doznał szoku. Wystąpiły u niego objawy paniki. Zaczął drzeć na całym ciele, a na koniec zwymiotował. Odprowadzono go najpierw do "syfonowego zaułka", a potem ustalono, że powinien jednak odpocząć w domu.

Wtedy też Spaggiari wyznaczył ściśle zasady dla kopiących w tunelu. Każda ekipa miała schodzić na dół tylko raz na trzy dni. Przed zejściem wszyscy mieli powstrzymać się od używek w rodzaju alkoholu czy kawy i spać obowiązkowo po dziesięć godzin. Każdemu wydzielili środki uspokajające i zaaplikował zastrzyki pobudzające pracę serca. Każda para miała pracować przez dziesięć minut, a kolejne dziesięć odpoczywać. Do tego jeszcze zorganizował podłączenie wentylatorów, które miały utrzymywać świeże powietrze w tunelu.

Od czasu tego wydarzenia zaprowadził także ścisły system kontroli całej operacji.

Strażnik numer 1 ustawiony od strony ulicy, blisko wejścia do podziemnego parkingu, obserwował wszystko siedząc w renaulcie 5. W wypadku jakiegokolwiek zagrożenia miał pobiec na teren parkingu, do Marcela czuwającego w "syfonowym zaułku". Z kolei Marcel podziemną drogą miał dotrzeć do kanału i zagwizdać.

Strażnik numer 2, oddalony o półtora kilometra, pilnował wjazdu do podziemnej drogi. Ten z kolei siedział na motocyklu. Jego zadaniem było zjechać do podziemnej drogi, zostawić motocykl, wejść do kanału i tam zagwizdać.

W wypadku niebezpieczeństwa grożącego z jednej strony mężczyźni kopiący w tunelu mieli możliwość ucieczki alternatywną drogą.

Dla podwójnego zabezpieczenia akcji renault 5 i motocykl miały kontakt radiowy. Spaggiari chciał także założyć taką łączność w podziemiach, ale masa betonowa sprawiała, iż było to niemożliwe. Kiedy przeciwicyli gwizdanie, stwierdzili, że człowiek znajdujący się w tunelu jest w stanie usłyszeć ten dźwięk na odległość do dwustu metrów, nawet gdy trzy palniki gazowe pracowałyby pełną parą.

Zmierzyli także czas, jakiego potrzebował motocyklista na przejechanie od wylotu podziemnej drogi do kanałów. Zabierało mu to maksymalnie minutę i piętnaście sekund.

Pewnej nocy w pierwszym tygodniu lipca kopiący tunel uderzyli w betonową ścianę bankowego skarbcza. Wtedy oczyścili z ziemi powierzchnię zajmującą około metra kwadratowego i tam złożyli narzędzia. Kamieniarz wycementował w tym czasie resztę ściany tunelu i także zakończył swoją pracę.

Wszystko było gotowe do dalszej operacji.

Prezydencka wizyta spowodowała zwłokę w ich planach, ale na szczęście tunelu nikt nie odkrył.

Incydent, jaki wydarzył się w Castagniers, przysporzył im nerwowej atmosfery, ale z biegiem czasu okazało się, iż zandarmi zbagatelizowali całą sprawę.

Najważniejszy dzień miał nadejść w piątek, 16 lipca.

Od momentu gdy ustalono tę datę, planowany skok był już tylko kwestią czasu...

Kiedy rzeczywistość przerasta nagłówek z Nice - Matin,

Piątek, godzina 22:30

Chińczyk ostro nacisnął na hamulec. Land - rover z piskiem zatrzymał się w miejscu. Czterech mężczyzn siedzących z tyłu złapało szybko za butle gazowe, powstrzymując je przed niebezpiecznym upadkiem. Kierowca autobusu miejskiego, który prawie nie zderzył się z land-roverem, rzucił pod nos jakiegoś obsceniczne uwagi i już skręcał w stronę rue de l'Hotel des Postes. Chińczyk wyciągnął chusteczkę w kratkę i otarł nią spocone czoło.

- Kurwa mać! - rzucił jeden z mężczyzn.

- To nie była moja wina - Chińczyk tłumaczył się gorączkowo. - To ten pieprzony autobus...

- Trzymaj lepiej kierownicę - odezwał się Albert Spaggiari, siedzący na fotelu obok niego. - Nikt nie mówi, że to twoja wina. Skręć teraz w lewo - dodał i przyjmując udawaną pozę zlekceważenia całego incydentu, wyciągnął nogi na tablicę rozdzielczą i powoli zaczął odwijać cygaro.

Chińczykowi od samego początku nie podobał się ten pomysł z land - roverem, ale Spaggiari uparł się, że użyją właśnie tego auta. Przypominał mu on o wojnie w Indochinach. A Chińczyk nie lubił wspominać tej wojny. Innych także. Prawdę mówiąc nie przepadał także za osobą Spaggiari-ego, który działał mu na nerwy tym swoim zachowaniem i udawaniem, że jest jakąś wielką rybą...

Skręcił w Avenue Pauliani i ruszył w stronę Place du guinzieme Corps. Przy katedrze Notre Dame Auxiliatrice wjechał na Avenue Dom Bosco. Wysoka ściana przekreślała teraz ulicę. Mijali właśnie budynek miejskiego więzienia.

Spaggiari odgryzł końcówkę cygara, odwrócił się w stronę siedzących z tyłu mężczyzn i rzucił wesoło:

- Panowie, zaczynamy z miejsca, gdzie stoi więzienie. Czyżby to był dobry znak?

Nikt jednak nie uśmiechnął się na te słowa. Henri, noszący pseudonim: "Spawacz", ścisnął nerwowo palce. Zaczął mówić coś o wyścigu kolarskim Tour de France i po chwili pozostali przyłączyli się do dyskusji, jakby trochę zbyt gorliwie. Wszystkich zżerały nerwy. Tylko wariat w takiej

chwili mógłby poczuć się na luzie. Samochód dotarł do nasypu przy Paillon i tam się zatrzymał. Pomalowane w czerwono - biało - niebieskie pasy lampy przy koszarach żandarmerii były wygaszone. Teren hal wystawowych także był pogrążony w ciemnościach. Chińczyk mrugnął światłami: dwa razy długie, raz krótkie. W korycie rzeki odpowiedziały mu inne błyski: dwa długie, jeden krótki.

Wszystko grało.

Chińczyk skręcił w dół i podjechał do rampy, zatrzymując samochód na piasku przy korycie rzeki. Mężczyzna z latarką podszedł do land - rovera. Inny w tym czasie odsuwał już metalową barierę blokującą wjazd do podziemnej drogi. Samochód potoczył się w stronę wylotu tunelu i tam się zatrzymał.

Spaggiari wyskoczył ze środka.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Tak jest - odparł mężczyzna z walkie - talkie przypiętym do bluzu. W tym momencie podniósł go do ust i nacisnął przycisk nadawania. - Tu Roseau - rzucił cicho. - Zespół jest w komplecie. Odbiór.

W urzędzeniu coś zatrzeszczało, a po chwili dał się słyszeć głos:

- Tu Massena. Przysyłajcie wyposażenie.

Spaggiari odwrócił się do mężczyzny z latarką:

- Gdzie jest motocykl?

Tamten w odpowiedzi machnął głową do tyłu.

- Na górce. Nie ma co panikować...

Spaggiari uniósł lekko brwi. Mężczyzna zauważył tę reakcję w świetle latarki.

- Przepraszam, szefie... - rzucił szybko.

Spaggiari nie dał jednak za wygraną:

- A jeżeli coś się stanie...

- Zdążę ich ostrzec w ciągu minuty i piętnastu sekund!

- Wtedy zostawiasz ten motocykl i znikasz, kierując się w stronę podziemnego parkingu, jasne?

- Jasne, szefie!

Spaggiari wspiął się z powrotem do land - rovera. Chińczyk zapalił postojowe światła i samochód wolno stoczył się pod łukiem prosto do tunelu. Motocyklista i mężczyzna z latarką z powrotem zastawili przejazd metalową barierką.

Land - rover nabierał prędkości i Chińczyk włączył drogowe światła. W ich blasku uwydatniła się cała kupa porzuconych tam odpadków materiałów budowlanych: worków po cemente, cegieł, starych gazet, skrzynek po zaprawie... Była to pozostałość po koncepcji połączenia tej drogi z autostradą, co mogłoby zmniejszyć ruch z dalszych dzielnic miasta do Promenade des Anglais, ale projekt ten nigdy nie wyszedł poza deski kreślarskie. Jedynymi, którzy używali tej drogi, byli przedstawiciele służb miejskich pracujący w kanałach.

Samochód minął po lewej stronie łuk, skąd dochodziło teraz letnie sączenie się rzeki Paillon. Mała armia szczurów migąła im przed światłami i znikąca za kupą gnijących desek. W powietrzu czuło się zapach pleśni.

Po chwili w światłach reflektorów uwydatniła się przed nimi grupa oczekujących cierpliwie mężczyzn. Land - rover potoczył się jeszcze na wolnym biegu i zatrzymał obok nich.

Druga grupa, zgodnie z planem, miała się pojawić od strony Place Massena, przez podziemny parking i "syfonowy zaułek". Wszyscy byli ubrani w gumowe kostiumy, wysokie do połowy uda buty, rękawice. Mieli ze sobą niezbędne narzędzia i dwie gumowe łódki, a także kilka dętek od tranzytowych ciężarówek. Czekać w podziemnym tunelu drogowym na wejście do kanałów, pompowali łódki.

Jeden z pokoi w pobliskim hoteliku zajmował lekarz. Siedząc w wygodnym fotelu, miał być obecny w tym miejscu, pod telefonem, przez najbliższe sześćdziesiąt godzin.

Faktycznie nie prowadził on typowej praktyki lekarskiej, chociaż kiedyś był lekarzem - do momentu gdy pewne autorytety odkryły, iż wykonywał nielegalne aborcje. Od czasu gdy stracił licencję, znalazł jednak skromne zajęcie wiążące się z jego profesją: leczył rany postrzałowe ofiar, które wolały unikać szpitali i policji, i temu podobne przypadki. To nie tylko dawało mu zawsze jakieś zajęcie, ale wyrównywało także skromne dochody.

Spaggiari nie informował go dokładnie, czego oczekuje od lekarza przez ten weekend, ale nie trudno było się domyśleć. Z medycznego punktu widzenia biorąc, w tej sytuacji w grę mogły wchodzić przypadki uduszenia się, klaustrofobii czy typowych skaleczeń, które wymagały fachowego opatrzenia.

Wiedział, że będą gdzieś kopali tunel, ale szczegółów znać nie musiał. W poniedziałkowy rano zapewne odbierze swoje honorarium, wróci do domu i zapadnie na klasyczny przypadek częściowej amnezji związanej z minionym weekendem. Człowiek musi przecież z czegoś żyć...

W obecnych czasach aborcja została już prawnie zalegalizowana w połowie krajów świata, ale taka była ironia życia...

Na Avenue Verdun, zamkniętej dla wszystkich z wyłączeniem banku, zaparkowany był renault 4, z rodzaju tych używanych przez spółkę energetyczną. Wewnątrz auta stało pięć butli gazowych i hydrauliczny podnośnik. Podnośnik ten stanowił niezbędną część ekwipunku, a do tego jeszcze był bardzo ciężki.

Prawie wszystko, czego potrzebował Spaggiari do akcji, zostało przetransportowane kanałami na dmuchanych łódkach bądź na dużych dętkach. Z podnośnikiem jednak było gorzej, bo swoim ciężarem mógł zatopić taką łódkę. Ustalono więc, że zostanie wniesiony włazem tuż przy banku. Była to najbardziej ryzykowna część całej operacji.

Mężczyzna siedzący w renaulcie nerwowo pociągał dym z papierosa i czekał na sygnał...

Mężczyźni zgromadzeni w podziemnym tunelu drogowym podeszli z tyłu do land - rovera i opuścili ciężką kłapę. W powietrzu czuło się rosnące napięcie, nikt nie odzywał się nawet słowem.

Spaggiari, próbując rozładować atmosferę, podał każdemu rękę, uśmiechając się przy tym i rzucając krótkie słowa otuchy. Chciał aby jego dobry nastrój udzielił się reszcie. I po chwili to poskutkowało.

Mężczyźni rozładowali jeepa i zaczęli przenosić cały ekwipunek na dmuchany sprzęt. Kamieniarz załatwił jeszcze dodatkowo dwa materace plażowe. Konwój złożony z tych materacy, dużych dętek i gumowych łódek połączonych sznurami, miał dalej transportować przywieziony sprzęt.

Kiedy ładunek był już gotowy, mężczyźni zeszli do kanału ściekowego i rozpoczęli wędrówkę, która miała ich doprowadzić do ściany banku. Kamieniarz ruszył pierwszy.

Posuwali się naprzód parami, mocno zgięci, bo kanał miał tylko około metra średnicy. Pierwsze sto metrów przeszli pod rue Chauvain, potem skręcili w lewo, pod rue Gioffredo, i w prawo pod rue St. Michel. Stamtąd już tylko dwieście metrów dzieliło Ich od banku.

Chińczyk przeklinał przez całą drogę, bo jego buty co chwilę wpadały w błotnistą maź osadzającą się na dnie kanału.

Konwój wreszcie zatrzymał się przy wejściu do tunelu, który wcześniej sami wykopali. Kamieniarz wszedł tam i rozwinął sznurkowy chodnik, po którym łatwiej można było przesuwac ciężki sprzęt na całej długości dziesięciometrowego tunelu prowadzącego do ściany skarbcza. Pozostali mężczyźni rozładowywali w tym czasie ekwipunek z dmuchanych łódek, dętek i materacy.

W tunelu czuło się smród ścieków i acetylenu. Henri Spawacz oparł dwie butle gazowe o ścianę tunelu i połączył je ze sobą. Następnie obsunął na twarz swoje okulary ochronne i już był gotów, by udzielić ostatnich instrukcji Korsykaninowi.

Odkręcił kurek połączonych butli i dotknął go delikatnie swoim papierosem. Długi, pomarańczowy płomyk rzucił w tym momencie ogromny cień na ścianę tunelu.

- Kiedy przykręcisz ten płomień, temperatura będzie jeszcze większa... - pokazał mu jak to zrobić, i już po chwili palnik tlił się niebieskim płomykiem i syczał.

Henri wyciągnął ze swojej torby pudełko z grotami spawalniczymi i przytrzymał jeden z nich przy płomyku.

- Zawsze celuj na końcówkę - przypomniał Korsykaninowi - i krótkim płomieniem. Inaczej stop ześlizgnie się z metalu i nie załapie...

W tym samym momencie w kanale ściekowym rozległ się jakiś hałas:

- Cholera jasna! - To był głos Chińczyka.

A po chwili dobiegł do nich donośny rechot.

- Co się stało? - zapytał Henri.

- Chińczyk się poślizgnął i teraz ma buty pełne gówna!

Ten śmiech rozładował na moment panujące napięcie.

Sprzęt został już ułożony w tunelu, a łódki wróciły z powrotem po kolejną jego partię. W ten sposób przez następne półtorej godziny kompletne wyposażenie o masie całkowitej około jednej tony zostało przeciągnięte z podziemnej drogi tunelowej do ich własnego tunelu.

Kamieniarz sprawdzał w tym czasie strop w drugiej połowie kanału zauważając, że kilka belek podpierających go zanurzonych jest w błocie. W myślach puścił kilka uwag na temat fachowości firmy, która wykonała te prace.

W tym samym czasie inny człowiek ekipy, czekając już w podziemnym parkingu przy Place Massena, podłączył tam do gniazdka elektryczne kable i dwa reflektory rozbłysły nagle przed wejściem do tunelu.

Policyjny patrol samochodowy okrążał właśnie Place Massena. Obserwator siedzący w renaulcie 5 podniósł swój walkie - talkie do ust: - Tu Massena. Mewa lata nisko. Powtarzam: mewa lata nisko...

W wejściu do tunelu drogowego inny obserwator potwierdził: - Zrozumiałem.

Chwilę później zdążył już wezwać motocyklistę i poinformował go:

- Gliny kręcą się blisko podziemnego parkingu.

Mężczyzna w kasku wspiał się na swój pojazd i zapalił silnik. Czekał na kolejny sygnał.

Patrol samochodowy minął jednak wjazd do podziemnego tunelu i kierował się teraz w stronę Avenue Jean Medecin.

Obserwator siedzący w renault 5 odetchnął z ulgą.

- Wszystko w porządku - rzucił do walkie - talkie.

Motocyklista mógł wyłączyć swoją maszynę.

Sobota, godzina 1:30 po północy

Kamieniarz i Korsykanin leżeli obok siebie w tunelu i wiercili. Dwustuwatowe światło i moc ich narzędzi sprawiały, że gorączka panująca wokół była nie do wytrzymania. Pot lał się strugami z ich muskularnych pleców, mimo że wentylator pracował pełną parą.

Wzmocniona betonowa ściana skarbca miała grubość trzydziestu centymetrów, ale oni przedarli się już przez połowę jej warstwy w ciągu ostatniego tygodnia. Pierwszej nocy Spaggiari stał wtedy na zewnątrz, przed budynkiem banku, w czasie gdy ich młoty ciśnieniowe równo uderzały w betonową ścianę.

Na zewnątrz nie dochodził jednak żaden dźwięk.

Kamieniarz i Korsykanin wydrążyli czternaście dziur w odstępach co półtora centymetra. Wtedy wyczołgali się z tunelu, aby wpuścić tam Chińczyka. Spaggiari już czekał, żeby podać im ręczniki i butelki z wodą mineralną, którą po chwili obaj popijali już łąpczywie.

Chińczyk odłupywał kawałki betonu za pomocą młotka i dłuta. Miał założone okulary ochronne, ale mimo to odpryski ze ściany zdążyły rozciąć mu policzek. Odliczył swoje pięćdziesiąt uderzeń wielkim młotem, a potem jeszcze trzydzieści mniejszym. Po wykonaniu tego wyczołgał się z tunelu.. Teraz P. Zajął jego miejsce. Osiemdziesiąt uderzeń łącznie to było wszystko, czego mógł dokonać każdy z nich podczas swojej kolejki.

Piąty mężczyzna w tym czasie zgarniał zgromadzone odpadki do toreb, a szósty przewoził je na bok za pomocą taczki.

Kamieniarz wysączył do ostatniej kropli wodę z butelki.

Wtedy odwrócił się do Spaggiariego i kładąc rękę na jego ramieniu zapytał.

- Co straciliśmy dzisiaj w telewizji?

- "Nietykalnych" - odparł Spaggiari.

Wszyscy roześmiali się głośno.

P. Wykonał swoich osiemdziesiąt uderzeń i gdy wrócił do reszty, Spaggiari ogłosił przerwę. Pogasił wszystkie reflektory, zostawiając tylko małą, dwudziestopięciowatową żarówkę.

W ten sposób powietrze w tunelu miało szansę się ochłodzić.

Potem wyjął z torby termos i nalał wszystkim po kubku kawy.

Atmosfera od razu się rozluźniła, mimo iż wcześniejsze akcenty nie wróżyły tego. Wszyscy bowiem spodziewali się, iż do burzenia betonowej ściany zostanie użyty laser. Spaggiari uznał jednak to za niemożliwe. To urządzenie wytwarzało zbyt dużo ciepła, gazów i dymu, aby można było go użyć w zamkniętej przestrzeni. A ponadto do takiej pracy powinno się używać specjalnych ubrań ochronnych.

Spaggiari kupił ten laser jedynie po to, by dodać im otuchy na wstępie. Wiedział, że zbuntują się od razu, kiedy odkryją, iż mają stawić czoła tej ścianie przez kilka nocy z rzędu kując i drążąc ją ręcznie. Jednak teraz - jak skalkulował to chytrze - byli zbyt blisko celu, aby mogli zrezygnować z niego. Krytyczny moment minął.

Marcel, obserwator stojący na straży w "syfonowym zaułku", przyszedł do nich gnany ciekawością i zapytał:

- Jak wam idzie?

- A co ty tutaj robisz?! - rzucił w odpowiedzi Spaggiari.

- Roger mnie zmienił...

Roger odsiadywał właśnie trzyletni wyrok w marsylskim więzieniu i dostał akurat przepustkę na weekend, aby mógł odwiedzić swoją matkę. Jednak zamiast znaleźć się w rodzinnym domu, zdecydował, że lepiej mu się opłaca zarobić trochę grosza, nim wróci do celi.

- I jak idzie? - dopytywał się Marcel.

- Ściana brzmi jeszcze trochę głucho - odparł mu P. - ale chyba jesteśmy już blisko. Za jakąś godzinę powinniśmy się przedostać...

Sobota, godzina 10:30 Dłuta już się stępiły, ekipa rozkuwająca mur ledwo żyła, a ściana w dalszym ciągu była nie do pokonania. Wszyscy czterej: Kamieniarz, Henri Spawacz, Marcel i Roger leżeli teraz plackiem na sznurkowym chodniku. Wszyscy byli zbyt zmęczeni, aby wykonać nawet najmniejszy ruch.

W kanałach ośmiu innych mężczyzn, ubranych w wysokie buty, wykonywało właśnie różne ćwiczenia, które miały im pomóc w rozluźnieniu skurczonych mięśni. Wymachiwali ramionami, przeciągali się, kołysali na boki - byle tylko nie stać w bezruchu.

- Jak tak dalej pójdzie, to zdechniemy tu do jutra - przeklinał pod nosem Roger. - Mielibyśmy przecież użyć tego pieprzonego lasera...

- W żadnym wypadku - twardo odparł mu Spaggiari. - Czy nie rozumiesz, co oznacza temperatura pięciu tysięcy stopni w tej zamkniętej przestrzeni? Usmażymy się wszyscy!

- Ale możemy przecież ustawić to urządzenie i poczekać w kanale...

- Możemy, ale wtedy opary uduszą nas. A do tego jeszcze dym może się wydostać przez włazy prosto na ulicę. W takim układzie równie dobrze możemy oddać się od razu w ręce policji!

Po tym stwierdzeniu wokół zaległa kompletna cisza. Na koniec Spaggiari wyciągnął z kieszeni cygaro i oznajmił spokojnym głosem:

- Każdy, kto chce nas opuścić, może to zrobić teraz...

Kamieniarz przecząco pokiwał głową, podniósł się na nogi i wrócił z powrotem do ściany. Po chwili Chińczyk dołączył do niego.

Spaggiari znowu mógł odetchnąć z ulgą. Najgorsze miał już chyba za sobą...

Sobota.. godzina 16

- O, Matko Boska!

Kamieniarz skierował dłuto na szczelinę w ścianie. Narzędzie zdawało się być już na wieki zespolone z jego dłonią.

Oczy płonęły mu dziko, gorączka zalewała całe ciało, a do tego rozpaczliwie morzył go sen. Patrzył, jak beton, kawałek po kawałku, odłupuje się od stalowej siatki wzmacniającej ścianę.

Jego uwaga słabła z każdą minutą. Wpychał dłuto w ścianę i machał młotkiem dosłownie resztkami sił. Beton kruszył się, ale dłuto ciągle ześlizgiwało się na boki. W pewnym momencie siła uderzenia minęła się z wyciągniętym narzędziem i trafiła na kciuk. Kamieniarz zawył jeszcze rozpaczliwiej i stracił przytomność.

Wszyscy jakby zamarli.

Spaggiari w jednej chwili znalazł się przy nim. Delikatnie trzymając go za rękę wyciągnął Kamieniarza z tunelu. Aż wzdrygnął się, gdy zobaczył jego krwawiący kciuk, z żywym mięsem na wierzchu. Dał mu zastrzyk z nowokainy.

Potem siedział długo w milczeniu, wpatrując się w ścianę.

- I co teraz? - zapytał Chińczyk.

- Zrobimy to! - odezwał się wreszcie Spaggiari. - Przejdziemy przez tę pieprzoną ścianę!

Uśmiechy i dobry nastrój powróciły na twarze wszystkich.

Po upływie kolejnych pięciu godzin mieli już wykutą dziurę, szeroką na tyle, by bez problemu mógł się przez nią przeczołgać każdy z nich. Kamieniarz był wyłączony z tej części akcji. Pod działaniem otrzymanych leków zniósł jakoś ból, ale na razie nikt nie kazał mu wracać do pracy.

Kiedy nareszcie betonowa ściana pękła na wylot, Chińczyk rzucił się od razu na stalowe druty zamocowane w niej. Poprzecinał je przy pomocy tlenowoacetylenowego palnika, a potem poodginał resztki drutów na boki.

Kiwnięciem głowy potwierdził Spaggiariemu wykonanie swojego zadania.

Albert Spaggiari przykląkł wtedy na chodniku i zajrzał przez dziurę do środka. Przed nim, tak jak oczekiwał, piętrzył się tył jednej z opancerzonych szaf, gdzie trzymano skrytki depozytowe. Ważyła trzydzieści ton, jak swego czasu powiedział mu strażnik bankowy.

Spaggiari odwrócił się z powrotem do pozostałych i znajdując wzrokiem Rene, powiedział:

- Ruszamy. Zawiadom Marcela...

Sobota, godzina 21:00

Rene - którego nazywano "Poetą", z uwagi na jego romantyczne spojrzenie i długie włosy - pośpiesznie ruszył w stronę kanału. Czuł, jak jego ręce obijają się o boki tunelu.

Wreszcie dotarł do podziemnej drogi i wydostał się przy "syfonowym zaułku", gdzie spokojnie czekał na niego Marcel.

- Dawajcie lewar - wysapał.

Marcel minął drzwi prowadzące na podziemny parking, przebiegł szybko schodkami do góry i już znalazł się na ulicy, przy wylocie rue Felix Faure. Podniósł swoją latarkę, skierował ją na ulicę i dał dwa krótkie znaki światłem.

Oczekujący w renaulcie 5 odpowiedzieli dwoma krótkimi błyskami drogowych świateł i ruszyli z miejsca, kierując się na Avenue Verdun.

Renault 4, który wyglądał jak furgonetka miejskiego zakładu energetycznego, czekał tam na nich, ze zgaszonymi światłami. Renault 5 zatrąbił ostro mijając stojący samochód.

Ani Kapitana V., Weterana wojny wietnamskiej, ani Algierczyka G. Nie było w tym momencie w środku furgonetki. Obaj siedzieli akurat przy pobliskim murku, zbudowanym wokół Parku Alberta I. Czekali już tak prawie dwadzieścia cztery godziny, dużo dłużej niż pierwotnie zakładano.

Przez chwilę obserwowali, jak renault 5 znika za rogiem rue Paradis, a potem wskoczyli szybko do furgonetki.

Siedząc już na przednich fotelach, zmagali się jeszcze ze swoimi niebieskimi kombinezonami i czapkami, etatowymi ubraniami w zakładzie energetycznym. Wreszcie Algierczyk odpalił silnik i ruszyli.

Zatrzymali się dopiero na czerwonym świetle, przy Promenade des Anglais, obok hotelu Meridien. Przy krawędzi chodnika stało tam akurat dwóch policjantów, którzy sprawdzali dokumenty trzem zatrzymanym motocyklistom. Wreszcie zapaliło się zielone światło.

Algierczyk ruszył okrążając budynek hotelu, mijając Avenue des Phoceans, Place Massena, rue Gioffredo, rue St. Michel... Na koniec furgonetka zatrzymała się na rogu rue Gustave'a Deloya i rue de l'Hotel des Postes. Tutaj Algierczyk zgasił silnik i obaj mężczyźni opuścili samochód.

Poruszali się szybko, ale jednocześnie chcieli sprawiać wrażenie, że nie ma nic nadzwyczajnego w fakcie, iż znaleźli się właśnie w tym miejscu, o tej porze. Po przeciwnej stronie ulicy wieczorni bywalcy "Tawerny Alzackiej" obserwowali ich swoim zamglonym wzrokiem, deptając chodnikowe płyty.

Algierczyk umieścił niebiesko pulsujące światło i znak z napisem: Uwaga! Roboty drogowe przy wjeździe do kanału.

Kapitan V. Wyjął z tyłu furgonetki kilof i używając go podniósł pokrywę wjazdu. W migającym świetle można było na niej zauważyć znak firmowy "Pontamoussona". Kapitan V. Wśliznął się do środka.

Algierczyk w tym czasie wyciągał już z tylnej części furgonetki lewar, wkładając w to sporo wysiłku. Podnośnik ważył ponad pięćdziesiąt kilogramów. Po chwili ostrożnie i powoli zsuwał go do wjazdu.

Kapitan V. Przejął od niego ciężar i już podawał go w dół -do mężczyzn, którzy oczekiwali w kanale poniżej. Potem wyciągnął się z dziury i zasunął pokrywę.

Nie minęło dużo czasu, jak dwaj mężczyźni w niebieskich kombinezonach zebrali z ulicy pulsujące światło i znak ostrzegawczy, i już wsiadali do furgonetki.

Algierczyk włączył silnik i ruszył do przodu.

Furgonetka stała zaparkowana na ulicy dokładnie przez dwadzieścia sześć sekund.

W kanałach ściekowych włączono światło. Chińczyk i Korsykanin złapali lewar i powoli, wręcz niezdarnie ruszyli z nim przez kanał do wylotu tunelu. Kamieniarz kierował ich ruchami. Jego przygnieciony kciuk był już zabandażowany, a ramię miał usztywnione prowizorycznym temblakiem.

Mężczyźni położyli lewar na sznurkowym chodniku i przeciągnęli go w ten sposób przez całą długość tunelu, aż do dziury wykutej przy ścianie skarbcza.

Roger, więzień przebywający na czterdziestoosmio godzinnej przepustce, wyznaczył już miejsce dla podnośnika. Wybrał ciężką belkę i zaklinował ją pomiędzy ziemią a stropem w tunelu.

Spaggiari i P. Dźwignęli lewar i oparli go o belkę. Potem zaczęli nim manewrować tak, aby główka podnośnika znalazła się na wprost dziury w ścianie. Wtedy do akcji wkroczył Chińczyk i zaczął pompować lewar. Po pewnym czasie główka dotykała już tylnej ściany stalowej, trzydziestotonowej szafy pancernej w skarbcu. Lewar napręzał się wolno. Wreszcie Spaggiari i P. Delikatnie puścili go i odeszli na bok. Podnośnik był zaklinowany na dobre.

Chińczyk pompował dalej. Stalowa szafa odchyliła się o jakieś pół metra. Spaggiari miał wyliczone dokładnie, ile może wynosić to odchylenie: 51 centymetrów od pionu. To wystarczało, żeby mógł się przecisnąć człowiek, i jednocześnie dawało gwarancję, że szafa nie przechyli się niebezpiecznie do przodu i nie opadnie.

Chińczyk zaczynał się już pocić. P. Mierzył dokładnie kąt odchylenia, a Rene trzymał już przygotowaną drewnianą podporę o długości pięćdziesięciu jeden centymetrów.

- W porządku, tak niech zostanie - orzekł P. Według jego wyliczeń szafa była odchylona na pięćdziesiąt cztery centymetry.

Rene wsunął swoją belkę w pustą przestrzeń na całej długości podnośnika. Wtedy Chińczyk puścił lewar.

Stalowa szafa bardzo wolno odchyliła się w tył i spoczęła na podstawionej belce. Podpora za-skrzypiała ostrzegawczo, napierając mocno na belkę zaklinowaną w tunelu, ale wytrzymała cały ci-ężar.

Chińczyk opuścił lewar na podłogę w tunelu.

Wtedy Spaggiari wczołgał się przez wykutą dziurę prosto do bankowego skarbcu.

WYJŚCIE A PORN AND PATE PARTY FOR

GANGSTER MILLIONARES nagłówek w londyńskim *Daily Express*

Niedziela, godzina 2:00

Spaggiari oglądał wyposażenie bankowego skarbcu w nikłym świetle swojej latarki. Zauważył ciężkie stoliki, stare krzesła, opancerzone szafy. To wszystko kojarzyło mu się już tylko z przesz-łością, taki wygląd banku odchodził w obecnych czasach do lamusa.

Henri Spawacz jako drugi przeszedł przez dziurę w ścianie, wciągając za sobą palnik gazowy i butlę. Wiedział dokładnie, co ma zrobić teraz. Szybko, bez zbędnych słów, pokonał odległość dzie-łającą go od drzwi skarbcu. Uniósł do góry palnik i dokładnie przyspawał drzwi do skarbcu z framu-gą.

Mało prawdopodobne było, aby w wolny dzień jakiś urzędnik bankowy chciał zejść do skarbcu, ale należało się liczyć i z taką sytuacją. Trafi wtedy na zablokowane drzwi i ekipa Spaggiariego będzie miała sporo czasu na wydostanie się stąd bez zbędnego pośpiechu i paniki.

Korsykanin w tym czasie przykrywał już framugę świeżym cementem i wypełniał wszystkie szczeliny. To samo zrobił potem z kratką wentylacyjną w skarbcu. Teraz ani światło, ani dym, ani też żadne odgłosy nie miały prawa przenikać na zewnątrz.

Gdy wszystko było gotowe, Spaggiari mógł zapalić światła.

Wtedy też pozostali członkowie gangu błyskawicznie znaleźli się w środku, przenosząc całe wy-posażenie i przystępując od razu do swoich, określonych wcześniej, zadań.

Bokser przy pomocy metalowej piłki przeciął żelazne kraty oddzielające salę depozytową od głównego skarbcu. To samo zrobił z przegrodą dzielącą skarbiec od nocnego sejfów.

Chińczyk i Korsykanin zajęli się sejfem depozytowym. Najpierw podgrzali zawiasy, potem wy-palili kilkunasto centymetrowe dziury w drzwiach, aby można je było podważyć. Na koniec przy pomocy kilofów i młotów sprawnie wyrwali drzwi z zawiasów.

W tym momencie, skoro główne drzwi stały przed nimi otworem, bez problemu mogli zajrzeć do poszczególnych skrytek, podgrzewając po kolei cienką blachę drzwiczek i odginając je za pomocą młotka, by w końcu wyważyć je łomem.

Szaleństwo ogarnęło nagle wszystkich...

W jednej chwili działali sprawnie, z opanowaniem i podziwu godną fachowością - świadomi te-go, że w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin muszą wynieść stąd jak najwięcej zdoby-czy - a moment później ogarnął ich nagle niepohamowany wybuch radości.

Wszyscy - pamiętając, że była to ich pierwsza tak wielka robota - wyobrażali sobie ten moment od wielu tygodni.

Zmęczenie, spowodowane spędzeniem ponad doby w tunelu, do tego zmagania z wybiciem dzi-ury w ścianie naciągnęły ich nerwy do granic możliwości. I nagle dotarło do nich, że jednak doko-nali tego: byli w jaskini Ali Baby, oddzieleni od świata zaspawanymi, stalowymi drzwi-ami (Wystarczyło tylko trochę dopomóc fortunie, by mieć przed sobą góry złotych sztabek, worki pełne banknotów, czy też stosy bezcennych kosztowności!

Wszyscy potracili głowy. Wrzeszczeli, wyrzucając z siebie huragany śmiechu, poklepywali się po plecach i ściskali wzajemnie. Poetę opanował wręcz atak szału. Chińczyk rzucił się na stertę rzą-dowych obligacji i podrzucając je pełnymi garściami w powietrze wrzeszczał: - Konfetti, panowie, konfetti! Inni podążyli natychmiast jego śladem i po chwili już różne akcje giełdowe, kontrakty, tes-tamenty, zdeponowane weksle i inne papiery wartościowe fruwały w powietrzu. Przypominało to teraz rasowe gagi rodem z niemych komedii.

Tylko Spaggiari i Kamieniarz byli ponad to, co się działo wokół. Kamieniarz, czując jeszcze ból w przygniecionym kciuku, mruknął pod nosem:

- Te kawałki papieru są warte sporo szmału... Niektóre z nich są przecież wystawione na okazi-ciela. Każdy mógłby za nie dostać gotówkę, i to bez żadnego ryzyka..:

- Lepiej o tym zapomnij, jasne? - zgromił go Spaggiari. - Zabieramy tylko to, co zdołamy unieść, w gotówce, złocie i kosztownościach.

- Nie lubię patrzeć, jak wyrzuca się forszę w błoto...

Spaggiari odparł mu stanowczym tonem:

- Przecież już to ustaliliśmy. Bierzymy tylko złoto, gotówkę, drogocenne kamienie i inne kosztowności. Mam ci to powtarzać w nieskończoność?

W tym momencie Spaggiari uznał, że to szaleństwo ekipy trwa zdecydowanie za długo. Przeszedł się po skarbcu, podchodząc do każdego osobno, i spokojnym głosem nakazywał, by się uciszyli. Gdy gromka cisza znowu zapanowała wokoło, zarządził:

- W porządku, panowie. A teraz chyba czas na dłuższą przerwę i porządną kolację, nie sądzicie?

Ten pomysł przywitano ogólnym aplauzem. Przez minione trzydzieści sześć godzin żaden z nich nie miał w ustach nic poza połkniętym w przelocie kawałkiem czekolady i kilkoma łykami wody mineralnej.

Spaggiari - jak iluzjonista wyciągający właśnie królika ze swojego magicznego kapelusza - zaserwował im pasztety, salami, kielbasę czosnkową, gotowe dania z puszek do podgrzania, zupy w proszku, sery, daktyle, winogrona i pomarańcze.

Kamieniarz napełnił rondel wodą mineralną i już stawiał go na kuchence turystycznej. Nie minęło wiele czasu, jak zapytał: - Kto ma ochotę na grochówkę z wędzonym boczkiem?

- Następnym razem zabierzemy ze sobą prodiż i upieczemy ciasto! - rzucił ktoś z boku.

Natomiast Chińczyk, spoglądając na zapakowaną w celofan pizzę, skwitował pogardliwie:

- Przecież to sztuczne jedzenie... - Jednak kiedy odkrył pasztet z gęsich wątróbek, rzucił się nań błyskawicznie, a jego radość była nie do opisania.

Henri Spawacz przygotował sobie w tym czasie metalowy stolik do uczyty. Dokumenty, znalezione w jednej ze skrytek depozytowych, posłużyły mu teraz jako obrus. Na jego menu składały się: ryba, surowa cebula, pasztet, jogurt i sucharki.

Spaggiari natrafił w skrytce na złoty półmisek z herbem rodowym jakiejś szlacheckiej rodziny i podsunął go Kamieniarzowi, mówiąc:

- Kuchmistrzu, pozwolicie, że skosztuję waszej zupy...

Poeta, otworzył butelkę Margant Village i nalał wina w srebrny puchar, który podsunął mu akurat Henri Spawacz.

- Całkiem nieźle sobie pozwalamy, co? - zauważył Henri.

- A może wolicie, panie, Mouton Rothschild rocznik 47, albo Gevrey Chambetin rocznik 59? - Poeta bawił się w najlepsze. - Nie sądzicie, że wystarczająco się namęczyliśmy, ciągnąc nasze łodzie przez te pieprzone kanały?

Korsykanin, siedząc na butli gazowej i popijając wino ze szklanicy, oglądał jakieś zdjęcia, znalezione w jednej ze skrytek depozytowych.

- Widziałem już lepsze - skwitował i puścił fotki w ruch między wszystkich członków ekipy.

Fotografie były amatorsko wykonaną pornografią i przedstawiały nagich ludzi głównie w średnim wieku, splątanych ze sobą w różnych seksualnych pozycjach. Niektóre z twarzy ukazanych na zdjęciach były znane opinii publicznej. Wszyscy wyglądali w tych pozach nader komicznie.

- To osoby z wyższych sfer - zauważył któryś z nich ze zdziwieniem. - Powinniśmy to chyba udostępnić wszystkim... - dodał przywieszając kilka z obrazków do ściany.

Kamieniarz, który cały czas pełnił rolę kucharza, nie mogąc być przydatnym w innych zadaniach, wymagających większego wysiłku, usłyszał jak Spaggiari woła do niego:

- Kelner, co jest z tą kawą?

- , Już się robi, sir.

W międzyczasie Spaggiari rozdzielał pomiędzy całą ekipę cygara i papierosy, gdy nagle ktoś rzucił:

- Cicho! Na miłość boską, słyszycie to?!

W pomieszczeniu zaległa śmiertelna cisza.

Teraz usłyszeli wszyscy: daleki ale jednak wyraźny odgłos dobiegający od strony nocnego sejfu.

Spaggiari bezszelestnie przeszedł przez skarbiec i znalazł się w małym, trójkątnym pomieszczeniu, z którego docierały do nich odgłosy...

Biały rolls-royce zatrzymał się przy rue de l'Hotel des Postes i wysiadło z niego trzech mężczyzn. Jeden trzymał w ręku torbę, a dwaj pozostali ochraniaли go. Wszyscy trzej byli młodzi, wysocy, dobrze zbudowani i do tego uzbrojeni. Rozglądali się nerwowo wokół ulicy, oświetlonej blaskiem księżyca. Na ich miejscu każdy by się tak zachowywał, czując ciężar stu osiemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów, bez względu na to jak byłby młodym, wysokim, dobrze zbudowanym i do tego uzbrojonym mężczyzną.

W torbie znajdował się cały zysk z długiej sobotniej nocy w kasynie. Jak zwykle w taki dzień Nica przeżywała natłok hazardzistów i turystów różnych narodowości: Anglików, Niemców, Amerykanów i Arabów. Tych ostatnich przede wszystkim.

Trzej mężczyźni z rolls - royce'a nie wiedzieli nawet dokładnie, jak duża jest suma spoczywająca teraz w torbie. Każdemu z nich przy liczeniu wyszła inna kwota. Zapakowali więc wszystko do torby, wypełnili formularze i opieczętowali pojemniki z banknotami. Wystarczyło, że wiedzieli, iż pieniędzy jest dużo - tak dużo, że ktoś mógłby pokusić się o zabicie ich dla zdobycia tej kwoty.

Wszyscy trzej przeszli chodnikiem do budynku banku.

Tam dwaj ochroniarze rozejrzeli się uważnie dookoła po ulicy, a trzeci mężczyzna w tym czasie podniósł kłapkę zamontowaną w ścianie banku. Następnie przekręcił klucz w okienku za nią i opuścił torbę w dół, prosto do nocnego sejfu.

W tym momencie wszyscy trzej odetchnęli. Pieniądze były bezpieczne.

Po chwili wsiedli już do samochodu i odjechali.

Torba zsunęła się po pochylni, wpadając prosto w wystawione ręce Alberta Spaggiariego.

Ten uchylił jeszcze czoła w służalczym geście i dodał:

- Dziękujemy wam bardzo, panowie. Teraz możecie spać spokojnie...

Wprawiło to wszystkich w ogólną wesołość.

Spaggiari otworzył torbę i przez chwilę wpatrywał się w leżące tam banknoty.

- Około miliona franków - rzucił zdawkowo. - To musi być utarg z kasyna.

Zagaślił swoje cygaro i ruszył w stronę skrytek depozytowych. Inni poszli za jego przykładem. Teraz czas gonił ich niepostrzeżenie...

W pewnym momencie Spaggiari nakazał zmianę systemu pracy. Zmusił wszystkich do robienia regularnych przerw na odpoczynek i złapanie świeżego oddechu. Chińczykowi nie przypadł do gustu ten pomysł, ale Spaggiari nawet nie chciał słuchać jego uwag.

- Musimy tak zrobić, bo depczemy sobie po piętach, panowie - odparł wyjaśniająco, ucinając wszelkie dyskusje w zarodku.

Powietrze w skarbcu stawało się coraz bardziej duszące, nawet mimo działającego cały czas odświeżacza, i Spaggiari miał spory orzech do zgryzienia, aby utrzymać całe towarzystwo w ryzach i dopilnować sprawności działania.

W pewnym momencie Roger, pojawił się w wylocie tunelu.

- Woda się podnosi w kanale - oznajmił. - Chyba będzie sztorm...

- Tutaj jesteśmy bezpieczni - odparł mu Kamieniarz. -W kanałach są studzienki na wypadek sztormu. A do tego jeszcze nasi ludzie kontrolują wszystko i ostrzegą nas, gdyby woda podniosła się zbyt wysoko.

Po wysłuchaniu tych wyjaśnień Roger uznał, iż należy mu się przerwa w czuwaniu i mała przekąska.

- Paszтет z gęsich wątróbek - wykrzyknął uradowany. -To się wierzyć nie chce, panowie! Czy mój więzienny żołądek to wytrzyma?!

Niedziela, godzina 22

Mężczyzna znany jako Jubiler wszedł na teren podziemnego parkingu. Marcel poprowadził go przez kanały prosto do skarbcza. Gdy tam się znalazł, mężczyzna ze wstrętem zaczął wytrząsać

brudną wodę ze swoich wysokich butów. Przy jego zniewieściałym wręcz trybie życia takie wyprawy były nie do pomyślenia.

Marcel pokazał mu kosztowności. Wyraźna dezaprobata mężczyzny w jednej chwili zmieniła się w chciwość, wręcz żądzę, gdy zaczął uważnie oglądać każdy przedmiot, podsuwając go pod swoje jubilerskie szkło powiększające.

Diamenty, rubiny, szafiry, szmaragdy, srebro i złoto! W całym swoim dotychczasowym życiu nie widział takiej obfitości bogactwa.

Niektóre z okazów odrzucał na bok, uznając od razu, że trudno będzie je sprzedać paserom. Najlepsze kamienie odkładał natomiast do wyłożonych czarnym aksamitem pudełek, które znikwały potem w jego przepastnej niebieskiej torbie. Od czasu do czasu przerywał swoją pracę popijając łyk wody mineralnej. Cały czas podliczał też szacunkową wartość łupu: -Pięćset tysięcy franków... plus pięćdziesiąt to daje pięćset pięćdziesiąt tysięcy... i plus osiemdziesiąt tysięcy to wyniesie sześćset trzydzieści tysięcy franków... i dwadzieścia...

W tym czasie ekipa pracująca przy skrytkach wpadła na bardziej sprawny sposób ich otwierania. Odkryli, że niektóre schowki w opancerzonych szafach są połączone razem i mają podwójne drzwiczki: jedno z przodu, a drugie z boku. Zamiast więc tracić czas na otwieranie najpierw przednich drzwi, a potem bocznych, zdali sobie sprawę, że wystarczy wyłamać drzwi w połowie skrytek, a potem dostać się do tych obok, połączonych tylko cienką przegrodą. Tym samym mogli wydatnie skrócić sobie całą operację.

Spaggiari wyznaczył czterech mężczyzn - Poetę, Rogera, Kapitana V. I Boksera - do sortowania reszty łupu. Ich zadaniem było ostrożnie pozawijać złote sztaby w papiery od przyniesionych narzędzi. Gotówkę i kosztowności mieli włożyć do czarnych, plastikowych worków, które kupił Spaggiari.

- Czy my mamy zostawić tutaj wszystkie narzędzia? -Zastanawiał się Roger.

- A co innego można z nimi zrobić? - odparł mu Chińczyk. - Chcesz je sprzedawać na pchlim targu?!

Poniedziałek, godzina 5

- To wszystko, panowie - stwierdził Spaggiari. - Czas już na nas.

Kamieniarz zamknął dopływ gazu w palniku. Henri Spawacz zsunął swoje okulary ochronne na czoło. Jego twarz była pokryta brudem, potem i pyłem, a oczy miał mocno podkrążone.

- Gotowi? - zapytał Henri, sprawdzając czas na swoim zegarku. - Chryste, to już prawie rano!

W ciągu całego czasu spędzonego w skarbcu zdążyli otworzyć ponad trzysta z czterech tysięcy skrytek depozytowych.

W pewnym sensie szkoda było pozostawić resztę drogocennego majątku w stanie nienaruszonym... Kiedy Henri policzył, ile zabierali, tym trudniej było strawić myśl o tym, co zostawiali za sobą.

Spaggiari kierował wyjściem ekipy ze skarbcza. Zrabowane rzeczy przeniesiono przez tunel, a potem obciążono nimi cały dmuchany sprzęt.

Poeta sugerował, żeby odsunąć belkę, która podtrzymywała nachylony sejf przez cały weekend. - Wtedy dłużej im zajmie odkrycie tego, jak się tu dostaliśmy... - argumentował. Spaggiariego jednak zupełnie to nie interesowało. Chciał wyjść z tego miejsca najszybciej jak się da.

Kamieniarz był ostatnim, który opuszczał skarbiec. On też wyłączył wszystkie światła.

Konwój złożony z łódek, materacy i dmuchanych dętek załadowanych złotem, gotówką i kosztownościami odholowano.; przez kanały ściekowe w kierunku podziemnej drogi. Tam cały zrabowany łup został przeniesiony na tył land-rovera. W ten sam sposób wszyscy mężczyźni pozbyli się rękawic, okularów ochronnych i reszty narzędzi.

Potem każdy z nich rozebrał się z wodoszczelnego kombinezonu i jeden po drugim znikali w wylocie podziemnego parkingu.

Henri Spawacz, Korsykanin i Spaggiari szybko wskoczyli do land - rovera. Chińczyk włączył silnik i rozejrzał się wokół.

Kamieniarz, który ciągle jeszcze zmieniał ubranie, dał mu znak zabandażowanym kciukiem, że wszystko jest w porządku, i jeep ruszył do przodu.

Chińczyk wyłączył drogowe światła, gdy w wylocie tunelu zobaczył prześwit porannego słońca. Motocyklista, cały czas pełniący swoje obowiązki, dał im znak, że nic się nie dzieje.

Henri i Korsykanin wyskoczyli z samochodu i przesunęli na bok barierkę.

Motocyklista wsiadł na swój pojazd i odjechał. Henri i Korsykanin po chwili stawiali już barierkę na swoje miejsce przed podziemną drogą i wracali do land - rovera.

Chińczyk dodał gazu i samochód ruszył po piaszczystym łożysku rzeki. Następnie wspiął się do góry, wjeżdżając na normalną drogę, minął hale wystawowe i już zniknął na trasie do Laudimores.

Miasto budziło się właśnie ze snu. Na ulicy przed bankiem pracownik służb miejskich zamiatał chodnik wzdłuż całej rue Gustave Deloye'a, w lokalach były pozaciągane wszystkie story, a słońce wylaniało się akurat na niebie nad Baie des Anges.

Zapowiadał się gorący dzień...

POCZĄTEK ŚLEDZTWA

"Możesz wyjechać na wakacje bez obaw - wystarczy, że wynajmiesz skrytkę depozytową w Societe Generale."

Slogan reklamowy banku na lato 1976 roku

To był prawdziwy koszmar dla Gueneta. Siedział on teraz samotnie wewnątrz opustoszałego banku, oddzielony od świata zamkniętymi i okratowanymi drzwiami. Na chodniku przed budynkiem tłum rozgniewanych depozytariuszy rzucał przekleństwa i domagał się zwrotu swoich pieniędzy.

Cała afera związana z kradzieżą stała się sprawą publiczną poprzedniego popołudnia, kiedy detektywi udzielili wywiadu reporterowi Nice - Matin. O godzinie 17:30 Guy Salignon, dziennikarz stacji radiowej Europe 1, odczytał biuletyn specjalny. Kwadrans później podało tę sensacyjną wiadomość Radio Monte Carlo i od tej chwili dosłownie w ciągu kilku minut przedstawiciele gazet z połowy świata wykręcali już numer do Nicei...

Tłumy zaczęły się gromadzić przed budynkiem banku już około dwudziestej pierwszej poprzedniego dnia. Niektórzy stali tam przez całą noc.

O 8:30 tego ranka wszyscy byli gotowi do wszczęcia zamieszek. Jedna z kobiet zemdłała, inna przysiadła na brzegu chodnika i cicho łkała. W pewnej chwili ktoś nawet rzucił hasło, by zlinczować Gueneta!

Modnie ubrany młody mężczyzna wisząc na kutej, żelaznej kracie przed budynkiem zachowywał się wręcz jak szaleniec.

Krzyczał coś do tłumu, a kiedy podszedł do niego reporter, zuchwałym tonem wyjaśnił: - Mój ojciec miał tutaj skrytkę depozytową i trzymał w niej oszczędności całego swojego życia! On ma osiemdziesiąt lat, proszę pana. Jak mam mu to wytłumaczyć?! Jeżeli nie przekonam go, że pieniądze są cały czas w banku, to jak pan myśli, co się stanie? On, po prostu, się wykończy!

Inny rozhisteryzowany klient wrzeszczał w tym czasie na patrol porządkowy policji: - Traktujecie nas tak, jakbyśmy to my byli złodziejami! Pracownicy banku, przedzierający się przez ten tłum, byli opluwani. Policja jednak podejmowała tylko mało zdecydowane próby odsunięcia ludzi od budynku. Większość ustępowała tylko na krok i w następnej chwili, najzwyczajniej w świecie, przysiadła już na brzegu chodnika. Dobrze ubrany młody mężczyzna podjechał swoim samochodem w strefę zakazu postoju i zatrzymywania się i odmówił kategorycznie ruszenia się z tego miejsca.

Inny z klientów banku przyprowadził ze sobą reprezentującego go prawnika i w jego obecności zażądał obejrzenia swojej skrytki. W wyniku odmowy doszło prawie do rękoczynów pomiędzy nim a pracownikiem banku. Na koniec klient odwrócił się do swojego przedstawiciela prawa i skwitował całe zdarzenie: - Jest pan świadkiem, że bank nie chce mnie dopuścić do mojej własnej skrytki I odmawia jakiegokolwiek współpracy!

Na próżno urzędnicy bankowi wyjaśniali, że w skarbcu trwa w tej chwili rutynowe śledztwo i to policja zakazała wpuszczania kogokolwiek do środka.

- Tak to się możecie tłumaczyć sprzątacze! - rzucił ostro ktoś z boku.

W końcu Guenet wydał oficjalny komunikat. Jedyne niewielka część skrytek depozytowych w skarbcu została otwarta - oznajmił. Jednakże nie może w tym momencie podać kompletnej listy z numerami skrytek, które obrabowano. Może natomiast podać przybliżone obszary numerów, gdzie dokonano włamania. Prosi więc klientów zajmujących skrytki w tym właśnie obszarze do złożenia spisów ich zawartości i jednocześnie zapewnia, że wszystkie wymienione roszczenia będą uwzględnione.

Zaznaczył także, iż druki do sporządzenia spisów zawartości zostaną rozdane przez, przedstawicieli policji.

Ten układ rozgniewał klientów banku jeszcze bardziej.

Z bankowego punktu widzenia była to jednak jedyna możliwość nadania biegu rzeczy całej sprawie. Tym sposobem nikt - kto nie był przekonany, iż to jego skrytkę obrabowano -nie mógł oszukać, przedkładając swój spis zawartości, i tym samym żądać odszkodowania wyższego ponad to, co faktycznie stracił.

Nawet pomijając ten aspekt, klienci uznali, że bank traktuje ich tak samo jak złodziei. Większość poczuła się wprost obrażona faktem, iż żąda się od nich spisów zawartości skrytek.

- Wynająłem tę skrytkę dla mojego bezpieczeństwa i prywatności! - skarżył się jeden z klientów. - Gwarantowano mi to, kiedy podpisywałem umowę. Nie zapewnili ochrony mojego depozytu, a do tego jeszcze domagają się, żebym wystawiał moje prywatne zasoby na widok publiczny! Aby każdy gliniarz w Nicei mógł wetknąć swój nos w moje interesy!

Byli jednak i tacy, których satysfakcjonował taki właśnie obrót sprawy:

- Wiem, co było w mojej skrytce i mogę to bez problemu udowodnić - mówił jeden z klientów. - Nie mam nic do ukrycia. Bank jest przecież ubezpieczony, co gwarantuje mi pokrycie strat. I każdemu innemu klientowi też. Nie ma się co martwić na zapas...

- Ten skarbiec jest jak linia Maginota - zauważył ktoś inny. - Osaczono go z każdej możliwej strony. Muszę w tym momencie pochylić głowy przed złodziejami: gdyby wszystkie roboty drogowe były robione tak dokładnie, to...

Jednemu z klientów udało się jakimś cudem przedostać do Gueneta, ale ten odparł mu krótko: - Nie mogę panu powiedzieć nic więcej. Spełniam tu tylko swoje obowiązki...

Klient powtórzył później tę mało taktowną uwagę reporterom gazet.

Obrazowi banku w oczach opinii publicznej nie mogła pomóc także - wydrukowana w nakładzie pięciu tysięcy egzemplarzy - ulotka reklamowa, którą rozprowadzano na kilkanaście dni przed napadem. Pod zdjęciem, przedstawiającym splądrowany doszczętnie apartament, biegł napis: Ty możesz wyjechać na wakacje bez obaw - wystarczy, że Wynajmiesz skrytkę depozytową w Societe Generale! Inne kwestie również nie wyglądały najlepiej. Policja zaczęła przyjmowanie roszczeń klientów, w biurze przy Avenue Foch, dopiero od 28 lipca. Wszystkich poinstruowano, aby zjawiali się kolejno, z dowodem tożsamości i spisem zawartości ich skrytki.

Siedem osób, spośród trzystu siedemnastu ofiar kradzieży, odmówiło złożenia spisu.

Jeden z klientów przedłożył wykaz i tym samym wypłacono mu dwieście tysięcy franków tytułem zagrabionych kosztowności. Jednak później zwrócił on pieniądze, kiedy odkrył, iż jego żona opróżniła całą zawartość schowka, nim odeszła od niego z innym mężczyzną.

Krzywdząc i obrażając niektórych, bank porównał wartość każdego spisu ze stanem bankowego konta danego klienta i tym samym zakwestionował kilka tych przypadków, gdzie klient sprawiał wrażenie zbyt biednego, by mógł posiadać tak wielki majątek w skrytce depozytovej.

Wreszcie jednak bank zaczął wypłacać określone kwoty poszkodowanym klientom, obsługując po pięć osób każdego dnia. Przed otrzymaniem równowartości skradzionych depozytów w gotówce każdy musiał podpisać oświadczenie, iż w wypadku odzyskania jego własności, zobowiązuje się zwrócić bankowi wypłaconą mu kwotę.

Dyrekcja banku wydała także kolejny komunikat oficjalny, w którym przeproszała wszystkich klientów za mający miejsce w ich banku incydent. Przyjęto to z mieszaniną lekceważenia i historycznego wręcz śmiechu. Bank Societe Generale z każdym dniem tracił kolejnych klientów...

Poszkodowani byli też wzywani do identyfikowania tych kosztowności, które złodzieje rozrzucili po całym skarbcu.

Bank Centralny Societe Generale w Paryżu już 23 lipca przystąpił do ratowania reputacji swojego oddziału w Nicei, zanim nie będzie za późno.

Dyrektor generalny w osobie pana LI Aure ogłosił, iż wyznacza nagrodę w wysokości jednego miliona franków za informację, która doprowadzi do wykrycia sprawców zuchwałej kradzieży. Miał nadzieję, że taki argument pobudzi do działania policyjnych detektywów.

Prowadzone śledztwo bardzo tego potrzebowało...

Nie było zbyt wiele śladów w tej sprawie, a raczej - by być dokładnym - było ich mnóstwo, ale każdy z nich prowadził w efekcie do nikąd.

Większość wyposażenia pozostawionego w skarbcu składała się ze standardowych narzędzi, jakie można było kupić w każdym z tysiąca sklepów na terenie całej Francji. Śrubokręty marki "Kilt" miały znak firmowy Nouveiles Galeries, sieci sklepów i magazynów, które sprzedawały tysiące takich śrubokrętów w każdym sezonie.

Butle gazowe do palników tlenowoacetylenowych miały swój numer, co ułatwiało ich zwrot do napełnienia u bezpośredniego wytwórcy. Jednak po sprawdzeniu okazało się, iż te egzemplarze zostały skradzione z terenu budowy w Vitrolles, blisko Marsylii.

Niektóre z kilofów, używanych przy kopaniu tunelu, miały wolframowe ostrza, co wyróżniało je spośród innych, standardowo produkowanych narzędzi tego typu. Ruszając tym tropem detektywi odwiedzili wszystkie możliwe sklepy żelazne dookoła.

- To doskonałe wyroby - odpowiadali im najczęściej właściciele tych sklepów. - Najlepsze na rynku. Sprzedajemy je całymi tuzinami. Trudno jednak pamiętać wszystkich klientów...

Płócienne torby żeglarskie zidentyfikowano dosyć szybko jako towar sprowadzony z domu handlowego w Mediolanie.

Jednak i tam okazało się, iż tego rodzaju asortyment sprzedawany jest w dużych ilościach.

Tak było z każdym kolejnym przedmiotem, jaki znaleziono na miejscu zdarzenia.

Odciski palców nieznanego sprawcy wytarli dokładnie. Zarówno ze skarbcza, jak i z porzuconego sprzętu. Oczywiście pozostało mnóstwo różnych odcisków na szafach depozytowych i przy skrytkach, ale były to ślady pozostawione przez klientów banku. Na narzędziach, latarkach, butlach gazowych czy dętkach, a nawet na butelkach po wypitym winie nie znaleziono żadnych odcisków. Przez cały czas przebywania w skarbcu złodzieje wszelkie czynności wykonywali w rękawiczkach. Butelki po wodzie mineralnej, do których złodzieje oddawali mocz, przekazane do analizy chemicznej, także nie przyniosły nic nowego. Tamci pomyśleli nawet o tym. Z laboratorium przesłano informację, iż nic konkretnego nie można orzec na podstawie przesłanego materiału, bo do każdej z tych butelek oddało mocz kilka różnych osób. Cień nadziei pojawił się na krótką chwilę w biurze komendy policji przy Avenue Foch 1, kiedy jeden z pobliskich mieszkańców przyszedł tam, w kilka dni po napadzie, z oświadczeniem, iż widział złodziei.

- W ten sobotni wieczór popijałem właśnie drinka przy stoliku przed "Tawerną Alzacką" - opowiadał świadek - gdy renault 4 zatrzymał się przy banku i dwóch facetów podniosło pokrywę wjazdu do kanału. Nie zwracałem wtedy na nich specjalnej uwagi. Pomyślałem, że pewnie mają jakąś awarię; z którą muszą się szybko uporać...

- A czy mógłby ich pan opisać?

- Obaj byli ubrani w niebieskie kombinezony. To wszystko, co zauważyłem...

Z początku też detektywi uznali, że wystarczy popytać wśród sklepikarzy, bo powinni przecież zapamiętać klienta, który w ostatnim czasie kupił jednorazowo prawie trzysta metrów elektrycznego kabla. Jednak dosyć szybko odkryli, że w rzeczywistości cały kabel składał się z kilku trzydziesto - czterdziesto metrowej długości odcinków, które połączono ze sobą.

Policja, przyparta do muru, była zmuszona zwrócić się o pomoc do stręczycieli, prostytutek, handlarzy narkotyków i swoich donosicieli w kafejkach i barach na Starym Mieście.

W tym wypadku jednak przeszkodziło im co innego: totalny nawał różnych informacji. Niemal każdy wypytywany miał coś do powiedzenia i wręcz przechwalał się, że maczał palce w tym skoku stulecia. Te pogłoski docierały i do uszu detektywów, jednak żadna z informacji nie była wiarygodna i trzeba by było poświęcić zbyt dużo czasu, aby je zweryfikować.

Wszystko to sprawiło, iż policja znalazła się naprawdę w ślepej uliczce...

Natomiast opinia publiczna cieszyła się wręcz z sukcesu złodziei, a tajemniczy mózg tej operacji stał się w jej oczach niemal bohaterem narodowym. Na marginesie warto dodać, iż swego czasu po-

dobny oddźwięk miał brytyjski przypadek określany mianem "napadu stulecia". Mimo że wtedy na obrazie gangsterów pojawiła się plama, bo po tamtym skoku była ofiara śmiertelna: kolejarz, który zmarł na skutek ran odniesionych w wyniku brutalnego obchodzenia się z nim w czasie napadu. Jednak w akcji przeprowadzonej przez oddział "Szczerów Kanałowych" Żadnych ofiar w ludziach nie było.

Policja zignorowała pogłoski, jakoby mózgiem całej akcji był jakiś Włoch. Wszelkie ich ruchy były tylko błędzeniem w ciemnościach i wszyscy dookoła wiedzieli o tym doskonale.

Użyto nawet komputera, próbując na podstawie posiadanych informacji ustalić tożsamość pomysłodawcy skoku.

Wprowadzono podstawowe dane o sposobie wykonania włamania do banku i wtedy komputer wypuścił listę najbardziej znanych kryminalistów, którzy w przeszłości dokonali podobnych przestępstw.

Sprawdzono każdego z nich, jednak szybko okazało się, iż niektórzy byli w więzieniu, inni przebywali poza krajem, a pozostali mieli wiarygodne alibi na czas skoku.

Siedem dni po włamaniu do banku Societe Generale zadzwonił anonimowy rozmówca. Tajemniczy głos męski oświadczył, iż jest w stanie przedstawić policji kompletną listę osób biorących udział w skoku pod jednym wszakże warunkiem: bank podwoi wartość nagrody.

W banku aż zatrzęsło się na wieść o tym. Zaproponowano jednak milion franków za dostarczenie listy, a drugi milion za zwrot zagrabionego mienia.

Pertraktacje trwały czas jakiś, ale w końcu nie przyniosły efektu. Tymczasem jednak anonimowy rozmówca przysłał listę inicjałów tych osób, w dowód swoich szczyrych intencji.

Na samej górze tej listy znalazły się inicjały: "A. S."

Rankiem dwudziestego lipca Patrick Gruau, w sklepiku mieszczącym się naprzeciw posterunku żandarmerii, kupił jak zwykle egzemplarz Nice - Matin. Na stronie tytułowej znajdował się nagłówek: NIEZWYKLE ŚMIAŁY SKOK NA NICEJSKI BANK!

Gruau pognął natychmiast do biura i potrząsając gazetą wykrzyknął od progu:

- To oni okradli Societe Generale w Nicei!

Pierre Dufour, komendant posterunku, spojrzał na niego znad swojej maszyny do pisania.

- Okradli? Kto? Jak? Dokonali napadu?

- Nie, szefie. Chodzi o włamanie. Niech pan czyta tutaj...

Gruau rozłożył gazetę na stole przed swoim zwierzchnikiem. Pozostali żandarmi również zaczęli czytać, zerkając na tekst ponad ramionami Dufoura. W tym momencie myśli wszystkich skupiły się na tym samym: czyżby to miała być ta "wielka robota", o której słuchy chodziły ostatnio, a ci czterej nieznajomi w Castagniers byli w nią wplątani?

Dufour przeczytał artykuł kilka razy, porządkując wszystkie fakty. Na koniec oznajmił jednak: - Nie, panowie, to raczej niemożliwe.

- Niemożliwe? - Gruau powtórzył za nim jak echo.

- Ale oni przecież wyglądali na przestraszonych, gdy... -upierał się Claude Destreil.

Dufour odsunął na bok maszynę do pisania, podniósł się zza biurka, naprężył swoje mikre opalone ciało i sięgnął po czapkę.

- Dobrze, przejadę się do tej willi - powiedział na koniec.

- Destreil, sprawdzisz dokładnie te nazwiska z policyjnymi kartotekami. Gruau, idziesz ze mną do samochodu. Gdybyśmy nie wrócili do południa, Sloma i Sanchez, pokierujecie ruchem na skrzyżowaniu Vesubie. Ruszamy...

Już po chwili granatowy furgon znalazł się na Route Nationale 202, prowadzącej wzdłuż brzegu rzeki Var. Prowadził Gruau. Siedzący obok siebie mężczyźni snuli wizje, jakby to było wspaniale, gdyby to oni złapali tych bankowych złodziei, którzy tak się dawali we znaki przedstawicielom Police Judiciaire... Żandarmi zawsze czuli się pokrzywdzeni w takich sprawach. Ich rola ograniczała się do zbierania drobiazgowych informacji, często w drodze przypadku. Potem mieli je połączyć, zanalizować i w formie sprawozdania przekazać detektywom.

I nie kto inny jak właśnie detektywi zbierali później wszelkie zasługi: oni otrzymywali medale, udzielali wywiadów w telewizji i odbierali należną im sławę. Żandarmi byli przysłowiowymi pac-

hołkami, gotowymi na każde skinienie i zawołanie detektywów. Do tego jeszcze ich wynagrodzenie nie było adekwatne do wkładu pracy, co często podkreślali. Ich fachowość opierała się na gruntownej znajomości podległego im rewiru. Dlatego też zareagowali błyskawicznie i dokonali kontroli nawet w tak błażej sprawie, jak otwarte okiennice w niezamieszkałej willi.

Podejrzenia Dufoura narastały od czasu tego incydentu w willi. On sam dobrze znał jej właścicielkę i wydało mu się mało prawdopodobne, aby ten udostępnił komuś willę, i to na zorganizowanie kawalerskiego wieczoru... A na dodatek jeszcze jedna kwestia nie dawała mu spokoju: ten mężczyzna bez dokumentów, który przedstawił się jako Alain Pons. W policyjnych kartotekach sprawdzono, że w całej Francji nie był zameldowany nikt o takim nazwisku. Żandarmi jeszcze przez kilka kolejnych dni przyglądali się tej willi, ale nie zauważyli nic podejrzanego...

Granatowy furgon wjechał na podjazd przed willą. Od razu dało się zauważyć ślady kół dużego samochodu przed garażem, ale nie były one świeże. Żandarmi rozejrzeli się uważnie dookoła, zerkając przy okazji do środka willi przez okna.

- Halo! - czyjś głos dobiegł do nich z tyłu.

Obaj odwrócili się jednocześnie i zauważyli starszego człowieka z motyką w dłoni, który zbliżał się wolnym krokiem.

Czapkę miał mocno nasuniętą na czoło, chroniąc oczy przed ostrym słońcem. Nazywał się Felix Maurel i mieszkał w domu obok. Był dobrym znajomym właściciela willi, może nazbyt ciekawskim, ale lepiej wiedzieć, czy sąsiadowi nie stało się czasem coś złego...

- To nieistotne - Dufour zbył go krótko, jak to mają w zwyczaju wszyscy policjanci. - Ale może powie nam pan coś o osobach, które przebywały w tej willi kilka dni temu?

- Tak naprawdę to nic nie wiem. - Starszy człowiek wzruszył ramionami. - To chyba byli jacyś znajomi właściciela. Było ich pięciu czy sześciu razem. Tak myślę, ale nie dam za to głowy... Kręcili się tu przez cały dzień i noc, ale nie przyjrzałem się żadnemu dokładniej...

Pan Maurel pożegnał ich i wrócił do swoich pomidorów, a żandarmi ruszyli dalej.

Podjechali do baru, gdzie pracował ich przyjaciel, trudniący się na boku przyjmowaniem nieoficjalnych zakładów. Siedział akurat zgarbiony nad barem, sprawdzając w gazecie typy na wyścigi konne. Kiedy żandarmi weszli do środka, szybko ulotnił się w drzwiach prowadzących na zewnątrz.

Dufour i Gruau ukłonili się kilku klientom baru. Chłopak noszący akurat skrzynki z piwem, zawołał do nich:

- Co jest, panowie? Czyżby jakiś gorący trop sprowadził was tutaj?

- Tajemnica zawodowa - odparł mu Dufour z uśmiechem na twarzy. Żandarmi wdali się w krótką rozmowę z właścicielem, wysłuchując przy okazji jego narzekań na słaby ruch w interesie; i wymyśloną na poczekaniu historyjką o skradzionym samochodzie usprawiedliwili swoją obecność w barze.

Opuszczając lokal przeszli obok mężczyzny, który czekał na nich na tarasie. Siedział pod rozłożonym stolikowym parasolem i sprawiał wrażenie, że jedyne, co go tak naprawdę interesuje na całym świecie, to wyścigi konne. Żandarmi zatrzymali się przy jego stoliku i zdjęli na chwilę czapki, kładąc je obok.

- Ta wielka robota, o której wtedy mówiłem - odezwał się tamten w ogóle nie patrząc na nich - to ta w Nicei. Żandarmi wrócili do swojego samochodu.

W to piątkowe południe w Nicei policja gorączkowo oczekiwała na przybycie z Paryża Komendanta Głównego, Honoru Gevaudana, który miał skontrolować wyniki ich działań.

W Szkocji, przebywający tam nadkomisarz Albert Mouray -czterdziestopięć letni szef policji w Nicei, musiał właśnie przerwać swój urlop, spędzany na łowieniu ryb, i pakował już torby, aby zdążyć na następny lot do Nicei.

W biurze londyńskiego Daily Express jeden z dziennikarzy rozmawiał akurat przez telefon z reporterem Nice - Matin, próbując ustalić, czy ten skok na bank był większy od Napadu Stulecia. Uzyskał takie potwierdzenie.

W Marsylii generał Mathieu, przełożony wszystkich brygad kryminalnych Cote d'Azur, przygotowywał się do podróży do Nicei.

W tym samym mieście przywódca klanu Marsylczyków zastanawiał się właśnie, czy zbyt pochopnie nie osądził możliwości Alberta Spaggiariego.

Sam Spaggiari natomiast, razem ze swoją grupą, popijał w tym czasie szampana i przeliczał po raz kolejny złote sztabki, rozkoszując się swym triumfem.

A Dufour i Gruau - lokalni policjanci, którzy w ostatecznym rozrachunku mieli spowodować klęskę Spaggiariego - siedzieli teraz w swoim ciasnym granatowym samochodzie.

Zablokowani w ulicznym korku, piekli się w popołudniowym skwarze.

TROPY SIĘ KRZYŻUJĄ

On był takim słodkim dzieckiem...

Pani Spaggiari o swoim synu

Zapowiadało się drobiazgowo, żmudne śledztwo.

Albert Mouray nie był zbyt zachwycony tą perspektywą.

Jako szef policji w Nicei widział już przed sobą obraz wielu tygodni przesłuchań, weryfikacji nagromadzonych danych, drobiazgowo wręcz sprawdzania najmniejszych nawet tropów.

Mouray był bardziej typem wzorcowego koordynatora działań niż wyróżniającego się błyskotliwością umysłu detektywa.

Miał skłonności do uciekania w papierkowe sprawy i ci, którym załazł za skórę, szeptali nawet, że nie ma nic nadzwyczajnego w tym, że akurat przebywał on na wakacjach, w czasie gdy w jego mieście miał miejsce skok stulecia.

Claude Besson, w przeciwieństwie do swojego szefa, był typem błyskotliwego detektywa. Jego specjalnością stały się wszelkie afery finansowe i teraz też ucieszył się z faktu, że może zabrać się do sprawy, która zapowiadała się na dłuższe śledztwo.

Na początek stworzył sobie prywatną teorię na temat wypadków, która aż roła się od pytań. Nie mając zbyt dużego doświadczenia w przesiewaniu i łączeniu wszelkich uzyskanych informacji, doskonale wiedział, że nie ruszy dalej bez pomocy fachowców w tej materii.

Tym samym wszelkie czynności przygotowawcze, mające prowadzić do sedna śledztwa, spadły na barki dwóch młodszych członków ekipy. Obaj byli wykwalifikowanymi policjantami, ale sposób pracy każdego z nich był inny.

Komisarz Eduard Taligault dysponował większym doświadczeniem, ale był przy tym typem zarozumiałca. Większość wolnego czasu spędzał na elitarnej plaży Ruhl Plage, okazując wszem i wobec swoją opaleniznę. Zaliczał się do wyższych sfer ze swymi nieco nadętymi manierami. Stanowił jakby połączenie sportsmena i intelektualisty w jednym.

Natomiast komisarz Jacques Tholance był jego kompletnym przeciwieństwem. Kiedy amerykański serial policyjny o poruczniku Colombo pokazał się we francuskiej telewizji, koledzy Tholance'a zgodnie orzekli: "Przecież to wypisz - wymaluj nasz Jacques!" Tholance był niskiego wzrostu, szczupły, sprawiał wrażenie zaniedbanego, chodząc ciągle w wyświechtanym płaszczu.

Wolne wieczory spędzał w podrzędnych knajpach na Starym Mieście, wylapując tam przy okazji różne pogłoski czy informacje. Cieszył się przy tym wielkim uznaniem - szczególnie wśród kobiet - i był bardzo popularny wśród przedstawicieli prasy, z którymi niejednokrotnie współpracował. Do tego dochodziło jeszcze poważanie, jakim darzono go w całym podziemnym świecie Nicei.

Pierwszym celem dla ekipy dochodzeniowej stał się Monsieur V. - Właściciel firmy spedycyjnej, mający przy tym zazdrosną żonę. Podobnie jak w innych przypadkach, żandarmi przekazali swoje informacje na jego temat detektywom i okazało się, iż jak na razie był to ich najlepszy trop. Monsieur V. wydawał się być w samym centrum tajemnicy związanej z willą w Castagniers.

Taka willa była przecież idealnym wręcz miejscem na kwaterę główną dla gangu. Położona była na uboczu, a przy tym blisko Nicei, lotniska i do tego jeszcze przy autostradzie prowadzącej do Lyonu. Można było do niej dotrzeć kilkoma różnymi, głównymi i drugorzędnymi trasami, można było przyjeżdżać i wyjeżdżać do woli, mając duże szanse pozostania niezauważonym.

Pogłoski, jakie dotarły do Jacquesa Tholance'a dzięki kontaktom z podziemnym światkiem, również dawały sporo do myślenia o osobie Monsieura V. Mówiono głośno, że on nie tylko "użyty" willi złodziejom, ale był także uwikłany w skok na bank. Z pewnością nie robił tego dla pieniędzy, bo tych mu nie brakowało, ale raczej... dla sławy! Był człowiekiem lubiącym ryzyko. Szeptano, że sam był w tunelu, że kopał go, że skaleczył się w rękę...

Jednakże trzeba też powiedzieć, iż mnóstwo podobnych pogłosek słyszało się na temat innych osób. Napad na bank mógł być dziełem zarówno lewicowych bojówkarzy, jak i słynnego terrorysty Carlosa, Czerwonych Brygad czy też prawicowych ekstremistów...

Na dodatek wiele osób zjawiało się ciągle z nowymi rewelacjami o podejrzanym zachowaniu ich sąsiadów, znajomych itp. Ogólnie biorąc życzliwymi informatorami byli przeważnie ludzie w starszym wieku, a ich podejrzenia dotyczyły młodego pokolenia i długowłosej młodzieży. Emerytowani mieszkańcy Nicei za wszystko obwiniali hippisów, młodzieńców chodzących w dżinsach, którzy uciekali z domu... Jednak, jak się okazywało, jedynymi poważnymi wykroczeniami tychże hippisów była pokątna sprzedaż marihuany przedstawicielom średniej klasy w mieście!

Wreszcie, 27 lipca o godzinie dziesiątej rano, osiem dni po skoku na bank, sędzieja Richard Bouazis podpisał nakaz rewizji w willi w Castagniers.

Eduard Taligault zjawił się w biurze przy Promenade Corniglion Molinier, by odebrać ten nakaz, i prosto stamtąd pojechał do willi swoim czarnym peugeotem 204. Na miejscu oczekiwali już na niego żandarmi z posterunku w Plan du Var, ekipa śledcza i eksperci od pobierania odcisków palców sprowadzeni z Nicei. Był także obecny Monsieur V., który cały czas był w posiadaniu kluczy do drzwi willi.

Kiedy drzwi do środka zostały otwarte, oczom wszystkich zgromadzonych ukazał się bałagan panujący w całym domu.

Wszystko było poplamione, podłoga z włoskiego kamienia pokryta była mnóstwem czarnych odcisków butów. Z popielniczek wysypywały się wręcz pety od papierosów, końcówki wypalonych cygar i popiół. Powietrze przepelnione było tytoniowym smrodem.

Taligault zauważył od razu, że żaden z niedopałków nie nosił śladów szminki i kazał ekipie śledczej pobrać próbki z papierosów i cygar do analizy.

W kuchni odkrył na pół opróżnioną butelkę wina marki Margnat ViLLage. W chwilę później całą skrzynkę tego wina znaleziono także w garażu.

W garażu odkryto również potężny grzejnik z rodzaju tych, których używa się do osuszania z wilgoci zalanych pomieszczeń. Od razu zwrócono uwagę, iż gumowa podstawa tego piecyka pokryta była zaschniętymi kawałkami błota.

Monsieur V. Obszedł wszystko dookoła sprawdzając zamki przy oknach i drzwiach. Jeden z detektywów zażartował w tym momencie: - Czyżby bał się pan, że zostanie okradziony?

Nikt jednak nie zareagował na to śmiechem.

Kiedy wracali z powrotem do Nicei, któryś z członków ekipy zauważył sceptycznie:

- Taak... Jeżeli tam w ogóle były jakieś kobiety, to wiemy już na pewno, że albo nie paliły papierosów, albo nie używały szminki... To chyba jest jakiś ślad...

Komisarz Taligault był jednak bardziej optymistycznie nastawiony do wyników rewizji.

Okazało się, że wino było tej samej marki, co znalezione w okradzionym skarbcu.

Po zbadaniu końcówek cygar stwierdzono, iż pochodziły one z hawańskich tytoni, prawdopodobnie marki Don Miguel.

A cygara tej właśnie marki również znaleziono w skarbcu.

Rozstrzygającą kwestią była analiza błota z podstawy grzejnika. Bez jakichkolwiek wątpliwości pochodziło z kanałów pod ulicami Nicei.

Tym samym więc, komisarz Taligault odkrył już kwaterę główną członków gangu.

Przesłuchanie Monsieura V. Było krótkie i owocne.

- Kto pożyczał od pana klucze do willi?

- Dominique Poggi.

- A czym tłumaczył panu chęć jej wynajęcia?

- Chciał tam zrobić imprezę...

- I pan w to uwierzył?

- A niby dlaczego miałem nie wierzyć?

- Dlaczego więc nie poinformował pan właściciela willi o wynajęciu jej osobom trzecim?

- Bez specjalnego powodu. Ja trzymałem pieczę nad nią i w zamian on pozwalał mi jej używać.

Nie musiałem go pytać o zgodę za każdym razem.

- Ale przecież to nie pan sam jej używał, tylko dał pan klucze komuś innemu...
- Wzruszenie ramionami.
- Co pan sobie zrobił w rękę?
- Wypadek podczas jazdy konnej.
- A kto ją panu opatrywał?
- Pojechałem do kliniki w Marsylii.
- Dlaczego tak daleko?! Może pan to wyjaśnić?
- , Jeździłem konno w Camargue. Musiałbym wtedy uważać na rękę w drodze powrotnej...
- Wracając do sprawy willi: czy nie wydawało się panu podejrzane, że grupa mężczyzn robi sobie imprezę bez kobiet?
- Znowu wzruszenie ramionami.
- Czy według pana normalną sprawą było użyczenie domu ludziom, których zaledwie pan poznał?
- Ale przecież oni wyglądali na uczciwych...
- I tym samym wyszedł pan na naiwnego człowieka, co?
- Chyba tak...

Szef policji Albert Mouray zdecydował, iż w tej sytuacji należy inaczej podejść do sprawy i rozciągnąć szersze sieci.

Trzeba wziąć pod uwagę większy krąg podejrzanych osób -łącznie z tymi, przeciwko którym nie było na razie żadnych dowodów - zebrać wszystko razem i następnie dokładnie zanalizować.

Punktem wyjścia była informacja uzyskana od żandarmów.

Zawierała dwanaście nazwisk: Dominique Poggi, Daniel Michelucci, Christian Duche, i "Alain Pons" (nazwisko fałszywe, jak się okazało), Monsieur i Madame V. Oraz ich syn, restaurator Raymond, akwizytor instrumentów muzycznych - na którego zarejestrowany był peugeot w kolorze szary metalik, a także właściciele: mercedesa, renaulta 17 oraz renaulta 5 -ten, który uciekł na widok policji, niszcząc przy okazji trawnik sąsiadów.

Każdą z tych osób zlokalizowano i poddano całodobowej inwigilacji. Rejestrowano wszystkich, z którymi się spotykali, a niektórzy z nich - szczególnie osoby z tzw. środowisk zamkniętych czy też notowani w aktach policyjnych - byli także śledzeni. Lista osób, będących pod czujnym okiem policji, rozrastała się do niebotycznych wręcz rozmiarów...

Lea miała buty na wysokim obcasie, a do tego niezwykle obcisłe spodnie i stanik, który zaledwie przykrywał jej obfity biust. Ostry makijaż podkreślał rysy jej twarzy, a zapach whisky można było wyczuć na odległość. Spacerowała wolno w tę i z powrotem na krótkim odcinku Promenade des Anglais, wymachując cały czas małą torebką.

Lea była klasyczną dziwką, która miała za zadanie naciągać chętnych klientów na drinka w pobliskim barze.

Minęła właśnie godzina dwudziesta trzecia w tę lipcową, gorącą noc i promenada pełna była ludzi. Lea jednak nie zaprzętała sobie głowy pracą tego wieczoru. Dotarły właśnie do niej ważne nowiny i aż rozsadzało ją od środka, żeby podzielić się nimi ze swoimi koleżankami.

Uznała, że należy jej się przerwa i weszła do baru przy rue Maccarani, żeby uraczyć się kolejną szklaneczką whisky. klientela baru była zróżnicowana: od studentów, muzyków, prawników aż po dziwki i drobnych kryminalistów. Odile też siedziała tutaj. Idealny słuchacz - uznała w duchu Lea i postawiła jej drinka.

- Na pewno mi nie uwierzysz, jak ci powiem - zaczęła.

- Mój chłopak wynajął apartament w dzielnicy Marne des Angest Mówię ci: klasa sama w sobie, koszmarnie drogi i niesamowicie piękny. Odile nie była pewna, czy może jej wierzyć. To była przecież bardzo droga dzielnica. Arabowie i inni zamożni obcokrajowcy tam zamieszkiwali. Trudno było sobie wyobrazić, że Lea i jej facet znaleźli się tam, gdzie jeździło się cadillakami, nosiło futra

z nerek i wieszano obrazy Picassa na ścianach. Naprawdę, uwierz mi! - podkreślała Lea. - Tam jest klimatyzacja, a do tego jeszcze fantastyczne meble i przepiękne dywany...

Podala Odele nazwę agencji, z którą jej kochanek się skontaktował, adres ich apartamentu, cenę, dosłownie wszystko.

A na koniec zaznaczyła:

- Chyba mogę ci zaufać i liczyć, że nie wyklepiesz o tym nikomu? Mój misio złapał chyba jakąś dużą robotę. Mówi nawet, że powinnam skończyć z tym naciąganiem klientów na drinka... Ale, pamiętaj: na razie nie wolno ci pisać ani słowa Zanim jednak skończyła się noc, połowa dziwek krążących po promenadzie wiedziała już, jakie to szczęście spotkało Leę ostatnio.

Dwa dni później kochanek Lei, Francis Pellegrin był już pod obserwacją policji.

Mireille, pracująca jako sekretarka w agencji wynajmu domów, wkręciła w swoją maszynę do pisania marki Olivetti wzorcowy druk kontraktu i wpisała na nim nazwisko klienta:

Pellegrin, Francis. Wynajął on wspaniały apartament przy Juan les Pins z marmurowymi posadzkami, cały w szkłe i drewnie, z widokiem na plażę. Koszt wynajmu: osiemset dolarów miesięcznie plus opłaty dodatkowe.

Mężczyzna nie wyglądał na człowieka bogatego, powierzchownie tylko obejrzał apartament i podpisał kontrakt bez wypytywania o szczegóły dotyczące opłat dodatkowych. Zapłacił też zaliczkowo za trzy miesiące z góry, wszystko w banknotach pięćdziesięcio - i stufrankowych, i pospiesznie opuścił biuro.

Mireille nie była wcale zaskoczona, gdy jakiś czas potem w agencji zjawiała się policja prosząc o możliwość wglądu w podpisany kontrakt.

Pellegrin śpieszył się bardzo, bo miał na ten dzień umówioną wizytę u dentysty w Cannes. Gdy wychodził stamtąd, jego uzębienie było równe i błyszczało niczym u rasowych gwiazd Hollywoodu.

Gdy jakiś czas potem policja zapytała dentystę, jaki był koszt tego zabiegu, ten poinformował ich, że prawie dwa tysiące dwieście dolarów.

Krótko przed północą Michele Seagle złożyła łóżko w swoim pokoju na pierwszym piętrze małego hotelu przy rue de Pournet w Tulonie. Strzepała poduszkę i zwinęła pikowaną koldrę. Potem włożyła miękkie zamszowe kapcie na nogi i w samych tylko majtkach usiadła przed lustrem, żeby zrobić sobie makijaż.

Była kobietą piękną, elegancką i do tego jeszcze umiejacą zachować dyskrecję. Jej numer telefonu podawali sobie mężczyźni w przerwie między serem a owocami na biznesowych przyjęciach. Doskonale umiała zachować się w wyższych sferach, zawsze wiedziała kiedy się odezwać, a kiedy milczeć i każdy mógł się pokazać z nią w towarzystwie bez jakiegokolwiek skrępowania. Miała swój apartament w Marsylii i willę w Bandol, co jeszcze bardziej podkreślało jej klasę.

Michelle była po prostu rasową dziwką.

Założyła białą prześwitującą bluzkę i do tego barwną spódnicę wzorowaną na cygańskich strojach, włosy związała do tyłu i już opuszczała pokój, zamykając go na klucz. Po schodach w dół zesła na ulicę, tam gdzie kiedyś rozpoczęła się jej kariera.

Uśmiechnęła się do Isis i Marlene, dwóch dziewczyn, które dopiero co zaczęły swoją profesję. Isis, azjatycka piękność, zapytała jeszcze: - Idziesz z nami dzisiaj?

- Na pewno nie - roześmiała się Michele i ruszyła w dół ulicy.

Nie zwróciła nawet uwagi, że w tym samym momencie stary renault 12 oderwał się od chodnika i podążył za nią. Wewnątrz siedział starszy inspektor Thomasset i jego podwładny Spyron. On to właśnie, nazywany przez kolegów Grekiem, zapalił gauloise'a i stwierdził:

- Ten Daniel Michelucci ma piekielnie dobry gust, jeżeli chodzi o kobiety.

Mówił to nie po raz pierwszy. Obaj inspektorzy śledzili Michele już od siedmiu dni i nocy.

Po chwili obserwowali już jak otwiera drzwi renaulta 5, wsiada do niego i zapina się pasem. Pojechali za nią wzdłuż Boulevard de Strasbourg. W pewnym momencie byli tak blisko, że słyszeli dźwięki dochodzące z głośników w jej aucie.

Rozpoznali głos Fatsa Domino śpiewającego Blueberry Hill.

Kiedy jednak wyjechała już na autostradę i przycisnęła mocniej pedał gazu, sędziwy renault detektywów błyskawicznie pozostał w tyle.

Sfrustrowany Thomasset wykręcił z powrotem do centrum Tuluzy, stwierdzając przy okazji:

- Dzisiaj już powinni przydzielić nam tę nową simkę 1501 i wtedy zobaczymy, czy ona zgubi się nam tak łatwo...

Albert Spaggiari jeszcze na długo przed skokiem miał umówionych kupców na złote sztabki wyniesione z bankowego skarbcza. Mogli je sprzedać o trzydzieści procent taniej niż wynosiła oficjalna cena na rynku, co wydawało się godziwą zapłatą za towar, jakby nie patrzyć, trefny.

Alain Bournat nie był jednak do końca przekonany, czy taka cena jest jedyną rozsądną w tym wypadku. A trzeba przy tym powiedzieć, że Alain Bournat był człowiekiem po prostu głupim...

Obstawał cały czas przy swoim, że należą mu część złota zabiera. Jak powtarzał dookoła: złoto było najlepszą inwestycją na przyszłość. Spaggiari, nie przemyślawszy całej sprawy do końca, pozwolił mu na taki wariant rozliczenia.

Bournat najpierw próbował sprzedać złoto człowiekowi o nazwisku Tschoa, który był właścicielem baru na terenie portu w Nicei. W ciągu dnia serwowano tam sandwicze i kawę dla pracowników portowych biur, natomiast nocą kurtyna szła w górę i strzelały szampany towarzyszące znajomej klienteli, która grywała tutaj w pokera na stawki oszałamiające wręcz dla szarego człowieka.

Sam Tschoa nie był hazardzistą. Preferował raczej grę w kręgle. Tego wieczoru, 9 sierpnia 1976 roku, skończył właśnie kolejną partię w Place Arson, gdy na zegarze wybiła godzina dwudziesta trzecia, i nie spiesząc się wrócił do swego baru.

Mimo pięćdziesiątki na karku miał jeszcze faliste czarne włosy, a opalenizna dodawała mu uroku. Ubierał się w białe bawełniane koszule, granatowe spodnie i jasne mokasyny, jeździł mercedesem 305. Miał za sobą kryminalną przeszłość, ale od wielu lat trzymał się z daleka od wszelkich ciemnych interesów. Policja nie była do końca przekonana, czy rzeczywiście prowadził się uczciwie, czy po prostu zrobił się tak cwany...

Tschoa wszedł do baru, przywitał się z kilkoma klientami i minął drzwi, na których widniał napis: Prywatne - nie wchodzić wymalowany czerwoną farbą.

Bournat czekał już na niego w biurze.

Spotkanie to było nagrane przez przyjaciół Tschoa z kręgielni, ale właściciel baru cały czas nieufnie podchodził do sprawy. Usadowił się wygodnie za biurkiem, zapalił dunhilla od swej złotej papierośnicy i zapytał zdawkowo:

- A więc czym mogę służyć?

- Chciałbym sprzedać trochę złota.

- W monetach czy kosztownościach?

- Ani jedno, ani drugie - sprostował Bournat. - Proszę spojrzeć na to... - Wyciągnął złotą sztabkę do pokazania.

Tschoa nawet jej nie dotknął.

- Ile tego jest? - zapytał rzeczowo.

- Może być sporo...

- A jaką cenę chciałby pan uzyskać?

- Siedemnaście tysięcy franków za sztabkę.

- Pan jest chyba szalony! - Tschoa rzucił z nutką pogardy w głosie. - Przecież oficjalna cena wynosi niewiele ponad osiemnaście tysięcy. Za kogo pan mnie bierze?

- Proszę się nie denerwować. Ja jestem tylko pośrednikiem. Poinformuję właściwe osoby o pańskiej odpowiedzi...

- To niech pan powie swojemu szefowi, żeby się wypchał - rzucił Tschoa ze złością i podniósł się zza biurka, odpychając krzesło do tyłu. - Wiem doskonale, skąd pochodzi ten towar, podobnie jak

wie to każdy w tym mieście... Nie chcę nawet dotykać, tego za żadną cenę! Pan ma zbyt długi język, przyjacielu. Brakuje tylko, żeby umieścił pan ogłoszenie w Nice - Matin... A teraz niech się pan wynosi i nigdy tu nie wraca!

Bournat miał starego przyjaciela, Alfreda Aimar, bardziej znanego jako Fred Jubiler. Mimo przekroczonej sześćdziesiątki Fred trzymał się ciągle prosto, co ujmowało mu jakieś piętnaście lat z jego wieku. Ciągle też jeszcze miał sporo różnych kontaktów i znajomości. On to właśnie przedstawił Bournata człowiekowi, który bardzo potrzebował tzw. szybkiej gotówki.

Adrien Zeppi nie był żadnym czarnym charakterem. Utrzymał się z prowadzenia małego sklepu ze skórzanym asortymentem, ale nastały dla niego ciężkie czasy. Ożenił się powtórnie z młodą kobietą i teraz mieli dziecko.

Zeppi w wieku pięćdziesięciu czterech lat był poważanym mieszkańcem w dzielnicy Plateau Flori, jednak w zaistniałej sytuacji nie miał żadnych oporów, by wchodzić w układy z kimś takim jak Fred Jubiler. Fred szybko wykorzystał nadarzącą się okazję. W towarzystwie Bournata spotkał się z nim w barze w Mougins i tam przedstawił mu swoją propozycję:

- Mamy z żoną trochę złota pochodzącego z oszczędności całego naszego życia i teraz chcielibyśmy zamienić to na gotówkę. Nie mamy jednak żadnego konta w banku i jeżeli byśmy chcieli sprzedać to złoto, mógłby się stworzyć tylko niepotrzebny bałagan... Sam pan wie, jak to jest. Zrobiłby pan nam wielką przysługę, gdyby pan sprzedał to złoto za nas. Jest pan poważanym człowiekiem i nikt nie będzie przecież zadawał panu żadnych pytań... Za sprzedanie każdej sztabki możemy panu zaoferować tysiąc franków.

Zeppi nie wahał się ani chwili. Te pieniądze spadały mu wręcz z nieba!

Następnego dnia zjawił się w swoim banku Credit Agricot przy drodze Route Nationale 85 między Niceą a Grasse. Zdeponował tam kilka czeków, a potem zdawkowym tonem zapytał kasjera w okienku:

- Chciałbym sprzedać trochę złota, bo mam na oku interes, w który bardziej opłaca mi się zainwestować... Czy jesteście zainteresowani?

- Jak najbardziej, panie Zeppi. Rozumiem, że pieniądze ze sprzedaży mamy przelać na pańskie konto?

Zeppi zawahał się przez chwilę.

- Szczerze mówiąc, w tym wypadku wolałbym dostać gotówkę... Rozumie pan...

- Oczywiście, proszę pana. Jak dużo tego złota chce pan nam sprzedać?

- Dziewięć sztabek.

- Nie ma problemu. Proszę je przynieść.

Dwa dni później Zeppi zjawił się z dziewięcioma sztabkami w banku, a wychodząc z niego był bogatszy o trzydzieści dwa tysiące dolarów w gotówce.

Spotkał się następnie z Bournatem i Fredem, oddał im pieniądze i otrzymał swoje 1700 dolarów tytułem obiecanej mu prowizji.

Bournat był zachwycony transakcją. Dostał przecież za sztabki pełną cenę rynkową, a wszyscy pozostali musieli je sprzedać z trzydziesto procentowym rabatem. A do tego jeszcze całe ryzyko na siebie wzięli ten Adrian Zeppi, z dumą stwierdził, że był niebywale cwany ze swoim pomysłem.

Nie wiedział jednak, że złote sztabki były numerowane i każda transakcja z nimi związana musiała być rejestrowana.

Od czasu skoku każdy bank we Francji otrzymał listę numerów sztabek skradzionych z Societe Generale.

Kiedy kasjer w banku Credit Agricol porównał te numery z listy i zadzwonił do Nicei, policja zjawiła się niemal natychmiast.

Od tego momentu Zeppi był już pod stałą obserwacją i bez problemu doprowadził detektywów do Freda Jubilera i Alaina Bournata.

Marie Françoise Astolli była z pewnością bardziej poważaną kobietą niż inne występujące w tej historii, nie była jednak bardziej ostrożna niż Lea czy Odile.

Marie pracowała jako dietetyczka w stołówce szkolnej w Marsylii. W sobotę 9 października 1976 roku w swoim domu przy rue Charasse spakowała torbę na weekend - wkładając do niej pidżamę, szczoteczkę do zębów i elegancki kostium na zmianę.

W wieku dwudziestu sześciu lat była zorganizowaną osobą, mającą za sobą pobyt w internatach szkolnych. Pierwszą pracę podjęła w szkole. Chociaż teraz dzwonki inaczej już dla niej brzmiały, to jednak stare dobre nawyki pozostały.

Od lata Marie była śmiertelnie zakochana w wysokim, przystojnym blondynie, który nazywał się Henri Michelucci.

Dwa dni temu on to właśnie poprosił Marie o zrobienie małej przysługi jego bratu, Danielowi. Daniel chciał odbyć szybką podróż do Brukseli samochodem i potrzebował zmiennika za kierownicą. Cała trasa podróży w tę i z powrotem miała liczyć ponad półtora tysiąca kilometrów, a Daniel chciał ją pokonać tylko przez czas weekendu.

Marie wiedziała, że zarówno Henri jak i jego brat nie wszystkie swoje interesy prowadzili zgodnie z obowiązującą literą prawa. Na wszelki wypadek zapytała więc delikatnie:

- Czy ta podróż z Danielem... czy jest... trudna?

- Tak, sądzę że tak - odparł Henri.

Jednak to, że lubiła Daniela, który był prawie tak samo przystojny jak jego brat, oraz fakt, iż uwieliiała jazdę szybkim samochodem, przeważył szalę i Marie zgodziła się na tę wyprawę.

Umówiła się z Danielem w okolicach Prado około godziny trzynastej w sobotę. Zgodnie z otrzymanymi instrukcjami wynajęła w wypożyczalni Eurocar renaulta 20.

Zanim nie wyjechali z miasta, Daniel zdawał się być całkowicie pochłonięty lekturą porannego wydania *Le Soir*. Ledwie jednak minęli granice miasta, powiedział jej, żeby się zatrzymała, i już po chwili odłączył licznik rejestrujący przejechane kilometry, od którego wysokości zależała opłata za korzystanie z pojazdu.

Gdy ruszyli dalej, Daniel zaznaczył jeszcze:

- Nie przekraczaj prędkości, bo nie chciałbym, żeby nas zatrzymał jakiś patrol...

Dochodziła już piąta po południu, gdy zatrzymali się na krótki odpoczynek w pobliżu Villefranche sur Saone. Tam Daniel oznajmił jej:

- Muszę się zobaczyć z pewnymi osobami w Valenciennes.

Chyba będzie lepiej, gdy wysadzisz mnie tam jutro, a potem sama pojedziesz do Brukseli. Mamy tam zarezerwowane pokoje w hotelu President. Ja dołączę do ciebie w ciągu dnia.

- To twoja wyprawa i ty decydujesz - odparła Marie wzruszając ramionami.

Noc spędzili w hotelu w Paryżu, wynajmując dwa osobne pokoje. Następnego dnia, gdy kierowali się już w stronę granicy, Marie zapytała:

- Czy ciągle jeszcze chcesz, żebym cię podwoziła do tych znajomych Valenciennes?

Daniel podjął decyzję, gdy przejechali kolejne kilka mil.

- Nie - odparł. - Mogę przecież załatwić sprawy z nimi w drodze powrotnej.

Potem kazał jej zatrzymać samochód i wyciągnął atlas drogowy ze swojej torby.

Ustalił, że zjadą teraz z autostrady i dalej pojadą bocznymi drogami. Skutkiem tego dwa razy prawie nie zgubili się, ale w końcu udało im się przekroczyć granicę na niewielkim przejściu w Ermitage. Stamtąd ruszyli już w kierunku Brukseli, docierając do niej po kolejnych czterdziestu pięciu minutach.

Marie nie pytała nawet Daniela, dlaczego obawiał się przekraczać granicę w głównym punkcie kontrolnym...

Pierwszą rzeczą, jaką wykonali następnego ranka, była wyprawa do Banque Lambert, który mieścił się blisko kolejowego dworca głównego. Daniel poszedł do banku, zabierając ze sobą torbę. Gdy wychodził stamtąd kilka minut później, niósł tę samą torbę, ale wyraźnie dało się zauważyć, że była o wiele lżejsza...

Podczas lunchu Daniel był w wyśmienitym nastroju. Na deser zamówił szampana. Potem przechylił się przez stół w stronę Marie i przyciszonym głosem powiedział:

- Wiesz, co było w mojej torbie? Złoto. To z banku Societe Generale w Nicei... Nie całe oczywiście. Nie mógłbym przywieźć wszystkiego do skrytki depozytowej.

Marie nie mogła spać tej nocy. Nie przyszło jej nigdy wcześniej do głowy, że bracia Michelucci mogą być gangsterami tego pokroju. Siedząc tak w samotności hotelowego pokoju, swoje wszelkie obawy spisała w prowadzonym pamiętniku.

Wczesnym rankiem następnego dnia opuściła hotel, zostawiając dla Daniela tylko małą kartkę z jednym słowem: Ciao.

Następnie wsiadła do samochodu i pognęła jak szalona przed siebie. Zatrzymała się tylko na krótką przerwę w podróży w Lyonie, a potem raz jeszcze, gdy była już w okolicach Marsylii, żeby podłączyć linkę licznika rejestrującego kilometry.

W Eurocar kazano jej zapłacić za przejechane dwieście kilometrów, zamiast faktycznych półtora tysiąca kilometrów.

Marie Francoise Astolli zostawiła jednak coś w samochodzie: swój pamiętnik.

Nazwisko Marie było jednym z ostatnich na liście, którą przygotowywano w biurze Alberta Mouraya.

Mouray był gotowy do obławy na długo przed październikiem, kiedy to faktycznie jej dokonano. W piątek, 13 sierpnia, uznał, iż zarzucona sieć rozciągnęła się wystarczająco szeroko, i tym samym ustalił datę obławy na kolejny poniedziałek, 16 sierpnia.

Przez weekend zdarzyło się jednak coś, co wprawiło go w zdumienie, i spowodowało, że prowadzone śledztwo kompletnie wzięło w łeb...

SPAGGIARI I C.I.A

SZCZURY KANAŁOWE UDERZAJĄ NA PARYŻ!

nagłówek w Nice Matin z datą 18 sierpnia 1976 roku /w wolnym tłumaczeniu/

Przez weekend 14 i 15 sierpnia został obrabowany oddział banku Societe Generale przy Lie St. Louis w Paryżu. Włamanie do niego było dokładną kopią skoku na bank w Nicei. Złodzieje dostali się do środka przez kanały ściekowe. Wykopali długi na trzy metry tunel biegnący od kanału do ściany skarbcza, a następnie wykuli dziurę w betonowej ścianie. Do utrzymania w tunelu dopływu świeżego powietrza wykorzystali pochłaniacz podobny do tego, jakiego użyto w Nicei. Aby otworzyć skrytki depozytowe w skarbcu, posłużyli się laserem.

W ten sposób włamali się do stu trzydziestu skrytek spośród dziewięciuset wszystkich.

W tym skarbcu był jednak zamontowany system alarmowy to wypłoszyło ekipę włamywaczy. Dwaj strażnicy z ochrony banku, którzy przybyli w odpowiedzi na ten alarm, nie zauważyli jednak nic intrygującego. Zgodnie orzekli, że alarm włączył się chyba przez pomyłkę i na tym się skończyło.

Ironią losu w tym całym wydarzeniu był fakt, iż towarzystwo ubezpieczeniowe przygotowało właśnie nową umowę z Societe Generale, w związku z aferą w Nicei, i nowe zasady ubezpieczenia miały obowiązywać dopiero od 28 sierpnia!

Dwaj detektywi przybyli do Paryża z Nicei, aby asystować stołecznym siłom policyjnym. W Paryżu wszyscy byli przekonani, że ta sama ekipa wykonała obydwie roboty. Obstawali przy tym, by Albert Mouray wstrzymał swoje działania, w czasie kiedy oni prowadzą śledztwo.

Jednakże wysunięta w trakcie śledztwa teoria, że obydwie skoki były dziełem jednego gangu, stała się z każdym krokiem trudniejsza do obrony.

Paryscy włamywacze okazali się jednak mniej dokładni w swych poczynaniach. Kilku z nich widziano i świadkowie wyszukali ich w policyjnych kartotekach znanych kryminalistów. Złodzieje z Nicei nie pozostawili po sobie najmniejszego nawet skrawka dowodu, który mógłby być użyty przeciwko nim. Natomiast w Paryżu wszystko wyglądało inaczej. Narzędzia użyte w Nicei, jak chociażby młotki czy dłuta, były w zasadzie pospolitymi pozycjami spotykanymi w katalogach czy sklepach. W Paryżu wykorzystano jednak laser. Nawiasem mówiąc w tym momencie policja nie wiedziała jeszcze, że Spaggiari też kupił laser, ale nie zdecydował się go użyć.

W całej sprawie była też pewna kwestia psychologiczna. Ekipa z Nicei opuściła bankowy skarbiec z cenną zdobyczą: najniżej szacując, o wartości 6,2 miliona dolarów. Wydawało się mało prawdopodobne, by nadstawiali oni karku przy kolejnym skoku, skoro jeszcze nie zdążyli wydać tamtych pieniędzy!

Dyskusja nad tym trwała jednak dalej. Ten napad nie mógł być skopiowany przez kogoś innego - twierdzono w Paryżu -Wartość łupu podawano oficjalnie przez bank. Z pewnych przyczyn. o których mowa będzie później, należy traktować tę sumę jako minimum. jeśli tu miał on miejsce w cztery tygodnie od włamania w Nicei. Było zbyt mało czasu, by zaplanować tego rodzaju robotę.

Ponadto jakoś trudno było uwierzyć, że ten sam znakomity pomysł przyszedł na myśl dwóm zupełnie nie mającym ze sobą kontaktu mózgom i to dokładnie w tym samym czasie!

Albertowi Mouray'owi udzieliła się jednak jakaś niezwykła nerwowość. Każdego dnia zwiększało się prawdopodobieństwo, że któraś ze śledzonych osób - a było ich już około czterdziestu - zauważy wreszcie, iż jest inwigilowana, i ostrzeże pozostałych. A tym samym ptaszki ulotnią się bezpowrotnie...

W końcu Paryż dokonał pierwszego aresztowania: Raimond Brisacier, właściciel warsztatu samochodowego, został złapany na próbie sprzedaży jednej ze sztabek złota z banku Ile St. Louis. Podejrzani, których inwigilowała nicejska policja, byli teraz pod szczególną obserwacją. Wszyscy czekali na ich reakcje odnośnie paryskiego aresztowania. Ci jednak zdawali się bagatelizować tę sprawę. Stało się więc jasne, że obydwu włamań dokonały dwa różne gangi.

Paryż dał Nicei zielone światło i wtedy Mouray ustalił nową datę planowanej akcji: 26 października 1976 roku.

W ciągu kolejnych dwóch miesięcy Spaggiari odbył kilka podróży. Najpierw zawitał do Gwatemali, a stamtąd wyruszył do Stanów Zjednoczonych. Rozglądał się za jakimś hotelem albo restauracją do kupienia. W czasie, gdy przebywał w Stanach, skontaktował się także z C.I.A.

To może dziwnie brzmieć dla Europejczyków, którzy przecież nie kontaktują się na codzień ze swoimi organizacjami szpiegowskimi. Mało obywateli państw europejskich wie nawet, gdzie naprawdę znajdują się kwatery główne tych organizacji. Jednak w Stanach Zjednoczonych z taką samą łatwością można skontaktować się z C.I.A, jak na przykład z zakładem energetycznym! Wystarczy wykręcić znany ogólnie numer, a po podniesieniu słuchawki z drugiej strony usłyszymy od razu: - Tu C.I.A, czym możemy służyć?

Spaggiari zwrócił się do C.I.A z ofertą pracy dla nich.

- Z podległą mi organizacją, mogę dla was wykonać każde zadanie - chwalił się. - Nie jest ważne co, nie ma znaczenia jak. Mogę otworzyć każdy sejf, dostać się do każdej ambasady...

Amerykańscy szpiedzy w tym okresie byli jednym wielkim kłębkim nerwów. Mieli akurat bardzo złe noty w prasie na skutek wykrycia afery Watergate i związanym z tym skandalem.

Zapytali więc tylko Alberta, na jakiej niby podstawie oni mają sądzić, że nie jest on tylko jakimś dziwakiem w tym momencie.

- A co będzie, jeśli wam powiem, iż to ja wykonałem ten skok stulecia: obrobiłem bank Societe Generale w Nicei? Czy to nie wystarczy?

Podobnie jak każda rasowa organizacja szpiegowska C.I.A bynajmniej nie wybrzydzała pośród tych, których wykorzystywała do zdobywania interesujących materiałów. Jednak w tym wypadku - podobnie jak wcześniej klan Marsylczyków, Komando Delta z OAS czy też Pierre Lagaille - nie ufano zbyt wiele Albertowi Spaggiari. Takie już było jego życie...

Jednakże, w oparciu o podpisane umowy między stroną francuską i amerykańską o wzajemnej współpracy, C.I.A wysłała Interpolowi wyciąg z tego spotkania. Któregoś sierpniowego dnia Interpol zgodnie z obowiązującą procedurą przesłał ten raport do policji w Nicei.

I, jak się okazało, nikt nie zareagował na tę kwestię...

Jest to już druga tajemnica otaczająca dziwne zachowanie nicejskiej policji w związku z tą sprawą.

Jakiś czas później rzecznik policji wyjaśniał: "Nie mieliśmy w ręku żadnych dowodów poza tą informacją. W tamtym czasie byliśmy dosłownie zalani potokiem podobnych informacji, z których prawie wszystkie okazały się fałszywymi... To wyjaśnienie wydaje się śmieszne. Spaggiari odsiadywał już przecież dwa długie wyroki i był podejrzewany o udział w kilku innych przestępstwach. Policja w Nicei dysponowała zeznaniami świadków. A mimo to wciąż nie szukano go; nie przesłuchano nawet, by się przekonać, czy ma alibi na czas włamania; nie dołączono jego nazwiska do listy podejrzanych, których poddano obserwacji; nie aresztowano go podczas wielkiej akcji, jaka miała

miejsce 26 października. W czasie gdy Albert Spaggiari miotał się wokoło, policja wydawała się być ślepa, głucha i niema na to wszystko.

Jakby tego było mało, Spaggiari, razem z żoną, odbywał w tym czasie podróż do Japonii, i to w towarzystwie samego burmistrza Nicei!

Burmistrz Jacques Medecin był także ministrem do spraw turystyki w rządzie Giscarda d'Estaing. Pod jego auspicjami miasta Nicea i Cannes oraz księstwo Monako zorganizowały specjalną wyprawę po Japonii, aby promować tam Lazurowe Wybrzeże. Zabrali ze sobą wiele dzieł sztuki z lokalnych muzeów: obrazy Chagalla, Matisse'a, I. Legera i Fragonarda, rzeźby Giacomettiego i szkła Biota. Wieźli także obfite próbki lokalnych specjalności, takich jak wina czy oliwę. Do tego jeszcze dochodziła grupa modeli i modelek, którzy mieli przedstawić francuską haute cou. riare. Wycarterowano z tej okazji boeinga 707, ale okazał się on zbyt duży jak na potrzeby wyprawy.

Dodatkowe miejsca na wycieczkę zaoferowano więc osobom prywatnym po okazyjnej cenie siedmiu tysięcy franków od miejsca. Spaggiari wykupił więc dwa.

Medecin był bardzo zakłopotany w kilka tygodni później, gdy wyjaśniał reporterom, iż państwo Spaggiari podróżowali jako prywatne osoby i nie odgrywali żadnej roli w promocyjnej wyprawie. Wyznał, że nie zauważył nawet Spaggiariego w samolocie, a poza tym para już na miejscu nie zatrzymywała się w tych samych hotelach, w których byli goście oficjalni. Zaznaczył też, że przy tej okazji Spaggiari nie pełnił funkcji miejskiego fotoreportera, a na koniec dodał jeszcze z moralizatorską nutką w głosie: "W naturze inteligentnego przestępcy zawsze jednak leży skrywanie swego prawdziwego oblicza za fasadą uczciwości..." Samolot opuścił Niceę 6 października i przez Paryż i Anchorage dotarł do Tokio. Oficjalni goście zatrzymali się tam w hotelu Imperial, natomiast państwo Spaggiari wynajęli pokój w Hiltonie. Jeden z dziennikarzy, obecnych podczas wyprawy, opowiadał potem: "Oni oboje sprawiali wrażenie zapalonych turystów i mogło się wręcz wydawać, że spędzają właśnie miesiąc miodowy! Albert wodził oczami za Audi, zapewniając ją, że nigdy nie zostawi jej samej, i obdarowywał ją ciągle różnymi drobiazgami. Oboje wyglądali jak para zakochanych, którzy świata nie widzą poza sobą... 16 października oboje wybrali się do Hong Kongu i tam zatrzymali się w hotelu Mandaryn.. Albert kupił sobie trzy garnitury, a Audi obdarował naszyjnikiem z czarnych pereł.

Trzy dni później wyruszyli do Bangkoku lotem Mekong Delta. Spaggiari poddał się wtedy nostalgii za okresem, kiedy był w desancie w Wietnamie. "Całe cztery lata spędzone w Indochinach jakby wróciły wtedy do mnie - opowiadał potem znajomym. - Czułem jak coś ścisną mnie w gardle, a do oczu same płynęły łzy..

Małżonkowie spędzali czas na zażywaniu kąpeli słonecznych na basenie przy Siam Intercontinental Hotel i oglądaniu setek pagod i tysięcy posążków Buddy. Podczas spacerów zaglądali do sklepów z antykami, domów jubilerskich i składów kupców jedwabnych.

Wreszcie 24 października wrócili do Nicei lotem przez New Delhi, Teheran i Tel Aviv.

Powstaje pytanie, czy Spaggiari miał jakiś ukryty motyw, by wziąć udział w tej wyprawie? Japoński dziennik Mcci. Nichi sugerował, że miał on spieniężyć złoto i kosztowności w Tokio i nabyć za to wartościowe obrazy. Oczywiście jest, że jeśli chciał on wywieźć trefne złoto z Francji, była to najlepsza szansa uniknięcia jakiegokolwiek rewizji. Opuszczał przecież Niceę w towarzystwie samego burmistrza miasta!

Dwa dni po tym, jak państwo Spaggiari wrócili do Nicei, Albert Mouray i jego ekipa śledcza uderzyli znienacka...

SPAGGIARI ZOSTAJE ARESZTOWANY

Anri to człowiek, który wszelkie swoje uczucia ma zawsze wypisane na twarzy...

Audi Spaggiari.

Szef nicejskiej policji Albert Mouray nie był może wybitnym policjantem, ale na robieniu obław znał się dobrze...

Akcja specjalna wymagała udziału ponad pięciuset policjantów i żandarmów w ośmiu miastach. Czterdziestu podejrzanych należało przyskrzynić dokładnie w tym samym momencie: o godzinie szóstej trzydzieści rano we wtorek 26 października 1976 roku.

Dokładnie sprecyzowane rozkazy wyszły z Nicei do Marsylii, Antibes, Mougins, Toulonu, Nîmes, Paryża i Ajaccio na Korsyce. Dowodzący ekipami, które miały dokonać aresztowań, otrzymali nazwiska, adresy i rysopisy, a ponadto w większości przypadków śledzili tych podejrzanych od jakiegoś czasu. Każde zatrzymanie potwierdzone było nakazem sądowym. Jak zauważył ktoś z boku, cała akcja przypominała odliczanie przed startem na Przylądku Kennedy'ego.

Do lunchu wszystkie raporty znalazły się na biurku Alberta Mouraya i od tego momentu zaczął się zastanawiać, co zrobił nie tak...

Już na samym początku akcji pięciu spośród czterdziestu inwigilowanych wymknęło się z sieci. Najzwyczajniej w świecie nie znaleziono ich w tych miejscach, gdzie być powinni tego ranka o godzinie szóstej trzydzieści. Pośród tej piątki znalazła się także największa ryba, Dominique Poggi...

Poggi urodził się 16 lutego 1926 roku na Korsyce. Przez wiele lat był on prawą ręką Barthelemy'ego Guerini, szefa francuskiej mafii. W ciągu tego czasu tylko raz dorobił się jednego niewielkiego wyroku: za stręczycielstwo w Strasbourgu w roku 1950. Kiedy imperium Guertniego upadło, Poggi przeniósł się do Antibes i razem ze swoim bratem otworzył tam lokal pod nazwą Club 62. Cały czas jednak utrzymywał kontakty ze światkiem przestępczym. W roku 1972 płatny morderca Gavin Coppolani został aresztowany w tym właśnie klubie.

Coppolani znany był ze swego porywczego charakteru i kiedy trzy lata później uciekł z więzienia, próbował zemścić się na tych, którzy go wydali. Został wtedy zraniony w strzelaninie, jaka się wywiązała. Człowiek, który go. Postrzelił, został potem zamordowany w Nicei w roku 1976, na stopniach jego klubu nocnego.

Dobrze zbudowany, błyskający sprytem Poggi miał zarówno kontakty, jak i doświadczenie, by zorganizować grupę do przeprowadzenia takiego przedsięwzięcia jak napad stulecia. W oczach policji on właśnie był faworytem do miana Le Cerveau - Mózgu. Kiedy jednak zastukano do drzwi jego domu, Poggiego tam nie było...

Jakby tego było mało, doszły kolejne, jeszcze gorsze wieści: dwudziestu siedmiu spośród trzydziestu pięciu zatrzymanych okazało się "czystych" i przed końcem dnia zwolniono ich z aresztu.

Była to nieuchronna konsekwencja sposobu, w jaki zbierano dane o podejrzanych, gdzie z góry można było założyć, iż wielu z nich okaże się w istocie osobami zupełnie niewinnymi, które tylko przypadkowo spotkały się z głównym podejrzanym w czasie przeprowadzania jego inwigilacji. Jednak dwudziestu siedmiu na trzydziestu pięciu to były bardzo rozczarowujące, rażące wręcz proporcje. klasycznym przykładem była sprawa akwizytora instrumentów muzycznych z Beziers... Gdy żandarmi z posterunku w Plan du Var po raz pierwszy odwiedzili willę w Castagniers, zauważyli w garażu peugeota 504 w kolorze szary metalik i zanotowali jego numery rejestracyjne. Do wieczora, gdy wezwano ich tam po raz drugi i natknęli się na czterech mężczyzn oczekujących na kogoś na schodach domu, żandarmi sprawdzili już do kogo należy ten numer rejestracyjny auta i tym sposobem namierzono akwizytora instrumentów muzycznych. Mężczyzna został aresztowany o szóstej trzydzieści rano 26 października w Capestang. Był on faktycznie właścicielem peugeota 504, ale w kolorze białym, a nie szarym, i do tego jeszcze był w stanie udowodnić, że w dniu 9 lipca przebywał daleko od Castagniers. Peugeot stojący przy willi miał więc sfalszowane tablice rejestracyjne i tym samym przerażony akwizytor instrumentów muzycznych okazał się niewinną i do tego pechową ofiarą zbiegu okoliczności...

Ostatecznie, efekt w postaci zatrzymania ośmiu osób nie był powodem do dumy.

Emile Buisson dysponował alibi na czas weekendu, gdy miał miejsce skok na bank, ale w swym zdenerwowaniu przyznał się do zdefraudowania dziesięciu tysięcy franków z kasy jego szefa.

Homer Filippi okazał się synem Philippe'a Filippi, szkoleniowca bokserskiego i menadżera mistrza świata Marcela Cerdana. Homer był tuzinkowym sprzedawcą narkotyków, utrzymującym kontakty z czterema mężczyznami wylegitymowanymi przy willi w Castagniers. Formalnie jednak nie znaleziono nic, co łączyłoby go ze skokiem na bank, i został oskarżony jedynie o posiadanie broni bez wymaganego zezwolenia.

Huguette Cruchendeau była marsylską prostytutką, której jedynym wykroczeniem było utrzymywanie kontaktów towarzyskich z czwórką mężczyzn z willi w Castagniers. Ten związek nie był wystarczającym powodem do zatrzymania jej.

Henri Michelucci wypożyczył renaulta 17 widzianego przy willi w Castagniers, ale twierdził, że to jego brat Daniel dysponował tym samochodem przez cały czas. A ten z kolei był jednym z pięciu podejrzanych, którzy wymknęli się z sieci.

Alfred "Fred Jubiler" Aimar oraz Adrien Zeppi - człowiek, który oszukał własny bank sprzedając mu kradzione złoto, zostali formalnie zatrzymani, ale tylko pod zarzutem przeprowadzania nieuczciwych transakcji.

Te nazwiska zamykały listę sześciu spośród ośmiorga zatrzymanych osób.

Skończyło się na tym, że Mouray przyskrzynił tylko dwóch członków grupy określanej jako "Szczury Kanałowe": Francisa Pellegrina i Alaina Bournata.

Wszystko zdawało się przemawiać za tym, iż nie był to zbyt dobry dzień...

Policyjne przesłuchanie tej nocy skoncentrowało się na osobach Pellegrina i Bournata. Obaj mężczyźni nie grzeszyli zbyt dużą inteligencją, jak już to zaznaczano wcześniej, i to okazało się zbawienne dla policji.

Detektywi urzędujący przy Avenue Foch - jak przystało na starych wyjadaczy, ubrani w koszule z podwiniętymi rękawami - bez zbędnych ceremonii przystąpili do rzeczy:

- Wiemy już wszystko, a więc chyba lepiej będzie dla was, jeżeli przyznacie się sami... - zaczęli, zaznaczając wyraźnie: - Wasi przyjaciele złożyli już wyczerpujące zeznania, nie oszczędzając was przy tym, i raczej nie macie co robić sobie nadziei, że...

Wydawało się to wręcz nieprawdopodobne, ale tamci dali się nabrać! Jak wcześniej już wspomniano w tej opowieści, fakt że Spaggiari zwerbował raczej drobnych oszustów do pomocy w wykonaniu jego planu, mógł przyczynić się do jego klęski. I tak właśnie się stało...

Zarówno Pellegrin jak i Bournat złożyli kompletne zeznania i podali nazwisko tego, który był mózgiem całej operacji: Alberta Spaggiari.

To nazwisko znane już było przełożonemu Mourraya, komendantowi głównemu Claude'owi Bessonowi.

Ostatniego dnia lipca 1974 roku, gdy zegar wskazywał godzinę dziesiątą pięćdziesiąt, dobrze ubrany mężczyzna wszedł do budynku Banque de Paris przy Pays Bas w Nicei i poprosił o otwarcie jego skrytki depozytowej. Urzędnik grzecznie ruszył z nim do skarbcza. Tam czekał już na nich inny klient... z bronią w ręku. Obaj mężczyźni związali urzędnika, który akurat w tym momencie był jedynym pracownikiem w skarbcu, a następnie włamali się do jednej ze skrytek. Wiedzieli dokładnie, która skrytka stanie się obiektem ich zainteresowań: oznaczona numerem 199, zawierająca rezerwy bankowe w postaci złotych sztabek. Obaj mężczyźni umieścili złoto, ważące 165 funtów i warte ponad trzysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów, w torbie i ulotnili się.

W czasie późniejszego śledztwa dla Claude'a Bessona głównym podejrzanym był Albert Spaggiari, ale nie udało mu się nic udowodnić.. Jednakże jako kandydat do tytułu Mózgu przy ostatnim skoku wydawał się on całkowicie do przyjęcia...

Besson podniósł słuchawkę telefonu...

Była akurat godzina jedenasta w środę 25 października 1976 roku, gdy pewna blondynka w wieku około czterdziestu lat wkroczyła do sklepu fotograficznego La. Valliere przy 56 Route de Marseilles w Nicei i zapytała o Alberta Spaggiari.

Andre Devesa, kierownik sklepu, odpowiedział jej:

- Nie ma go tutaj. Czy mogę w czymś pomóc?

- To jest jego sklep, prawda?

- Jak najbardziej, szanowna pani, ale od sześciu miesięcy to ja dzierżawię go od pana Spaggiari-ego.

- Zapewne jednak znajdę go w mieszkaniu nad tym sklepem...

- Nie, proszę pani. Wyprowadził się stamtąd.
- A czy nie orientuje się pan, jak mogłabym złapać kontakt z nim?
- Teraz? W tej chwili? Nie bardzo... Ale on zjawia się tutaj regularnie. Oczekuję na niego właśnie dzisiaj, trochę później. Czy przekazać mu jakąś wiadomość?
- Nie, raczej wolałabym spotkać się z nim osobiście... Czy jego żona ciągle jest pielęgniarką?
- Tak. Jej też tu nie ma. Ma swoje towarzystwo.
- Rozumiem. Dziękuję panu.
- Nie ma za co.

Devosa nie zauważył nic nadzwyczajnego w tym zdarzeniu.

Nie widział jednak, jak kobieta wsiadła do błękitnego renaulta stojącego za sklepem, z trzema policjantami w środku.

Albert i Audi zjawili się w sklepie jakiś czas później tego dnia. Devosa opowiedział im o kobiecie, ale Albert odparł tylko zdawkowo:

- Nie za bardzo mogę skojarzyć, kto to mógł być...

Skorzystał jeszcze z telefonu w sklepie i złożył zamówienie na paszę dla kurczaków na jego farmie. Potem razem z żoną opuścili sklep i przeszli na drugą stronę ulicy na lunch da Roi du Yan, gdzie serwowano wyśmienite spaghetti.

Tam też wypili kawę w towarzystwie Jeana Yvesa Goutrona, starego kompana, z którym Albert służył razem w Wietnamie. Teraz utykał on lekko, co zostało mu jako pamiątka po tamtych dniach. Państwo Spaggiari podzielili się z nim wrażeniami z wyprawy na Daleki Wschód.

Albert opowiadał właśnie o targu w Hong Kongu, gdy do stolika podszedł kelner i przerwał mu relację mówiąc:

- Przepraszam, panie Spaggiari, ale tam w hallu jakaś pani chce się widzieć z panem...

Albert zmarszczył brwi, wzruszył ramionami i odłożył swoje cygaro na brzeg popielniczki.

- Może to jest ta tajemnicza nieznajoma z dzisiejszego poranka... Przepraszam was na chwilę.

Wyszedł z sali i zbliżył się do oczekującej go kobiety. W tym samym momencie niespodziewanie otoczyło go kilku detektywów i szybko wpakowało do środka stojącego obok samochodu. Trwało to zaledwie kilkanaście sekund.

Jego przyjaciel, który zauważył to zdarzenie, zdążył krzyknąć:

- Audi, ktoś właśnie porwał Berta!

Przeżona Audi zadzwoniła szybko na policję i złożyła doniesienie o porwaniu. Tam odpowiedziano jej, że mąż został właśnie aresztowany, a nie porwany. A skoro o tym mowa, policja byłaby jej wdzięczna, gdyby zechciała się zjawić i odpowiedzieć na kilka pytań...

Tego samego dnia, 27 października, o godzinie czternastej trzydzieści rozpoczęło się przesłuchanie Alberta Spaggiari.

W tym momencie zaczyna się najbardziej zadziwiająca część tej opowieści i tym samym pojawia się trzecia, najbardziej zagadkowa ze wszystkich tajemnic, jakie otaczają całą sprawę...

Policyjna akcja specjalna, w którą zaangażowanych było pięciuset umundurowanych policjantów dokonujących aresztowań trzydziestu pięciu osób w ośmiu miastach, nie mogła być zbyt długo utrzymana w ścisłej tajemnicy. We wtorkowy wieczór była głównym tematem rozmów w barach i restauracjach na Starym Mieście w Nicei, a środowy poranek przyniósł relację w dzienniku Nice - Matin.

Spółeczeństwo nie dowiedziało się jednak, że operacja zakończyła się bardzo ograniczonym sukcesem. Jak do tej pory Nicea żyła tym, że policja wyłapała "Szczyry Kanałowe".

Spaggiari musiał jednak wiedzieć o akcji specjalnej. Dzięki żonom, przyjaciółkom i znajomym aresztowanych osób od razu zrobiło się głośno o całej sprawie. Można przypuścić, że już po godzinie siódmej rano we wtorek te wieści dotarły do uszu Spaggiari.

On sam nie wykonał jednak żadnego ruchu. Mógł przecież spróbować wyjechać z kraju, w czym zapewne nikt by mu nie przeszkodził... A nawet jeśli takie posunięcie byłoby zbyt drastyczne, mógł zamieszkać w jakimś zacisznym hoteliku albo zaszyć się na jakiś czas w domu kogoś z przyjaciół...

On jednak przyjechał do Nicei, odwiedził swój sklep, a potem zabrał żonę do restauracji, gdzie był znany z częstych wizyt. W łatwiejszy sposób mógł oddać się w ręce policji tylko wtedy, gdyby przespacerował się na Avenue Foch osobiście. Możliwe, że nie wiedział dokładnie, kogo aresztowano, ale i w takim układzie powinien był zachować wszelkie środki ostrożności na wypadek "puszczenia farby" przez któregoś z uczestników skoku. Dotarły chyba jednak do niego informacje, że dwaj najbardziej tępi demf sets, Pellegrin i Bournat, zostali złapani. A to mogło przecież przysporzyć mu kłopotów... I nawet wtedy nie przygotował sobie alibi...

Może chciał, By go aresztowano...

Albo też sądził, z jakichś nieznanych przyczyn, że jest nie do pokonania?

Pierwsze przesłuchanie, bez żadnych przerw, trwało dokładnie trzydzieści siedem godzin.

I przez cały ten czas, na jakiegokolwiek pytanie o udział w skoku, odpowiedź Spaggiariego brzmiała: - Nie, nie przyznaję się do tego.

Przesłuchujący po kolei robili sobie przerwy na odpoczynek, łyk kawy czy drzemkę, a on ciągle musiał być w pogotowiu. Cierpliwie, ze spokojem zbywał ich pytania, lekcewał obietnice zmniejszenia wyroku w zamian za współpracę, śmiał się z kolejnych pogroźek.

- Ten człowiek jest zimny jak lód - stwierdził Claude Besson, najbardziej niezmordowany z ekipy kontynuującej przesłuchanie.

Nawet gdy w pewnym momencie pokazano mu akta z C.I.A z jego wyznaniem, odparł spokojnym głosem:

- Kłamałem.

Dwunastu policjantów w obecności Audi przeszukało posiadłość w Bezaudun. W domu nie znaleziono nic poza pudełkiem cygar marki Don Miguel i skrzynką wina Margnat Viliage. Poza domem, pośród klatek z hodowanymi kurczakami, odkryto schowek ze sporym arsenałem broni. Były tam pistolety, kompletne magazynki i spora ilość dynamitu. Policjanci przemierzali każdy skrawek ziemi z wykrywaczem metali, ale odkopali jedynie stare narzędzia, porzewiałe kraty i blaszane puszki. Nigdzie nie trafili na ślad złota.

Efekt nie był może taki, jakiego oczekiwali, ale to wystarczało, by oskarżyć Alberta o nielegalne posiadanie broni.

I wtedy właśnie, gdy piątkowy poranek budził miasto ze snu, ktoś wpadł na wyśmienity pomysł: trzeba oskarżyć Audi o współudział!

W tym momencie Albert pękł... Mając przed sobą obraz ukochanej Audi zamkniętej w więzieniu za jego czyny, przedstawił policji propozycję nie do odrzucenia: jeśli wypuszczą Audi i będą trzymać się od niej z daleka, on będzie zeznawał.

Ten układ nie obejmował jednak ani podania nazwisk współników, ani też kwestii zwrócenia zrabowanego łupu.

Niemniej jednak zarówno Albert Mouray jak i Claude Besson byli usatysfakcjonowani. To, co we wtorek było jeszcze totalną klapą, w ten piątkowy ranek obróciło się w wielką wygraną!

"Mózg" był w ich rękach!

Spaggiari został przewieziony przed oblicze głównego sędziego śledczego, Richarda Bouazisa, w sobotę 30 października. Tłumy zebrały się tego dnia przed Pałacem Sprawiedliwości w Nicei. Zarówno reporterzy, fotografowie, ekipy filmowe, kamerzyści telewizyjni, jak i żądne wrażeń społeczeństwo miasta.

Spaggiari był wniebowzięty. Delektował się wręcz otaczającym go rozgłosem. Elegancko ubrany, sprawiał wrażenie pewnego siebie, osoby nie żałującej popełnionego czynu, uśmiechając się i wymachując do tłumu przy okazji uwag rzucanych w stronę fotoreporterów. - Nie, nie żałuję! - oznajmił reporterowi do podstawionego mu mikrofonu.

Jeden z przyjaciół zdążył jeszcze złapać go za rękaw i wyszeptał w pośpiechu: - Nie martw się o Audi. Zapewnimy jej ochronę.

Wewnątrz gmachu sądu Spaggiari ciągle jeszcze udzielał wywiadów. Przechwalał się swoją błyskotliwością, opowiadał o koszmarnym wręcz przekopywaniu się przez kanały, wyolbrzymiał wartość skradzionego łupu. Cały czas jednak nie powiedział nic, co mogłoby zostać wykorzystane przez policję przeciw niemu.

- Nie zrobiłem tego dla własnych korzyści - tłumaczył. - To miało pójść na operacje militarne. Jestem dumny z faktu bycia członkiem "Cateny"!

"Catena" była oddziałem OAS specjalizującym się w organizowaniu ucieczek z policyjnych więzień. Jednak powszechnie wiadomo, że uległa ona rozproszeniu po okresie 1958-60.

- Nie wziąłem dla siebie nawet centa z tego łupu - wyjaśniał dalej Spaggiari. - Pieniądze zostaną przeznaczone na pomoc gwałtownym w Jugosławii, Portugalii i we Włoszech... Nie jesteście w stanie nawet sobie wyobrazić, co znaleźliśmy w skarbcu. Wartość samych kosztowności mocno przewyższa wartość złota, jak i gotówki... Przez cały czas trwania akcji byliśmy w kontakcie ze światem zewnętrznym. Dysponowaliśmy dwoma grupami obserwatorów: jedni pilnowali nas przed policją i dlatego też wiedzieliśmy dokładnie, kiedy przejeżdżały policyjne patrole, a z kolei druga grupa kontrolowała poziom wody w kanałach...

Policja była zdziwiona faktem, iż gang otworzył tylko nieliczne z depozytowych schowków. Przypuszczano, iż sztormowa pogoda w niedzielne popołudnie 18 lipca sprawiła, iż poziom wody w kanałach zwiększył się do tego stopnia, że włamywacze obawiali się zalania ich, i dlatego szybciej wynieśli się stamtąd.

Spaggiari zaprzeczył temu, wyjaśniając: - Wiedzieliśmy dokładnie, jak wysoko sięga woda i czy jesteśmy bezpieczni.

To, że nie otworzyliśmy większej ilości skrytek, wynika z prostego faktu: dłużej niż przewidywałem, zajęło nam przebicie się przez ścianę do skarbcza...

Dodał jeszcze, że gdy rozstawał się z członkami grupy po skoku, każdy z nich mówił do niego: "Dziękujemy, monsieur le directeur" - Wydawało się, że nigdy nie dokopujemy się do końca tego tunelu... - opowiadał dalej. - Pracowaliśmy tam każdej nocy do upadłego, nim śmieciarze nie wyszli na ulice.

Dosyć szybko stało się jasne, że niektóre kwestie Spaggiari pozostawi raczej niewyjaśnione. I tak też było...

Przez całą zimę 1976-77 roku stawał przed sędzią Bouazisem raz na tydzień, w czwartkowe popołudnia, odpowiadając na jego pytania. Sędzia przypominał mu, i to dosyć często, że przedmiotem tych spotkań jest podanie informacji, które mają być użyteczne dla policji. Mówił też, iż nie wierzy w tę historyjkę, jakoby rozdał on wszystkie zrabowane pieniądze. Ostrzegał go również, że odmowa ujawnienia nazwisk jego współników, nieuchronnie prowadzi do orzeczenia większego wyroku.

Spaggiari jednak wszelkie tego rodzaju uwagi zbywał mieszanią przechwałek, niezdecydowania, uników i kłamstw.

W międzyczasie administracji sądowej skończyły się pieniądze przeznaczone na prowadzenie tej sprawy. Na marginesie trzeba dodać, że sposób, w jaki finansowane jest francuskie sądownictwo, delikatnie mówiąc, jest bardzo specyficzny...

Pożyczka w wysokości dwóch i pół tysiąca dolarów - oczywiście z przeznaczeniem na ściśle określony cel - wpłynęła z Societe Generale.

Nastąpiły także kolejne aresztowania.

Marie Françoise Astolli pozbawiono wolności, opierając się na zwierzeniach odkrytych w jej pamiętniku.

Daniela Michelucci i Michele'a Seaglio również aresztowano. Obaj twierdzili, że byli gośćmi kasyna w Aix-en-Provence przez cały weekend, gdy dokonano skoku na bank, a Daniel tłumaczył się jeszcze, że sztabki złota kupił od nieznanego mu cudzoziemca z Włoch. Kilka kolejnych sztabek odnaleziono także podczas policyjnej obławy na pewien dom w Marsylii, gdzie znajdowała się drukarnia fałszywych pieniędzy.

Dominique Poggi, poszukiwany przez wszystkie oddziały policyjne na terenie Francji, oddał się w ręce policji 1 listopada, zuchwale wyznaczając ten termin telefonicznie dwa dni wcześniej. Seksowna blondynka ubrana w płaszcz z leopardziej skóry dowiozła go do policyjnego posterunku

przy Boulevard Albert swoją białą simką matra. Ciemnowłosa, z falującą czupryną mimo pięćdziesiątki na karku, Poggi ubrał się na tę okazję w beżowy, sztruksowy garnitur. Dziewczyna, rasowa szwajcarska socjalistka, wróciła do ich apartamentu w Juan les Pins samotnie.

Poggi kategorycznie zaprzeczał wszystkiemu:

- W ten weekend, kiedy dokonano napadu na bank, przebywałem w moim domu w Farinole, na Korsyce. Mam na to wielu świadków, którzy potwierdzą moje zeznanie. W tej willi w Castagniers byłem tylko na małej imprezie. Jeśli ten dom był nawet jakąś kwaterą główną tych "Szczerów Kanałowych", to ja dowiaduję się o tym od was... A Spaggiari? Nigdy wcześniej o nim nie słyszałem... Francis Pellegrin jednak oświadczył, iż to on właśnie przedstawił Dominique'a Poggi Spaggiariemu. To wystarczyło, by Poggi został oskarżony o współudział w napadzie i przewieziono go do więzienia w Nicei, gdzie trzymano pozostałych członków gangu.

Później jednak Pellegrin zmienił zeznanie, wyjaśniając swe poprzednie zachowanie w ten sposób:

- To policja wywierała na mnie presję. Poggi i Poggi, ciągle tylko Poggi szumiało mi w uszach. Tylko to potwierdź, mówili; potwierdź, że Poggi był jednym z nich... No to powiedziałem im to, co tak chcieli usłyszeć, żeby wreszcie zeszli ze mnie... A tak naprawdę to kogoś innego przedstawiłem wtedy Spaggiariemu. To był jakiś facet, którego spotkałem w barze...

Nie był jednak w stanie podać nazwiska tego człowieka.

Cała sprawa przeciągała się w nieskończoność.

Spaggiari w międzyczasie podpisał umowę z wydawcą, który niegdyś opublikował wyznania Papillona. Zgodził się spisać dla niego swoje wspomnienia.

Wcześniej jednak odrzucił ofertę agenta literackiego Clemensa von Bezarda, mimo iż ten zaofiarował mu dwieście tysięcy franków zaliczki w gotówce - tytułem wspólnego napisania książki i reprezentowania jego interesów - a cały kontrakt miał opiewać na sumę pięciuset tysięcy franków.

Adwokat Spaggiariego, Jacques Peyrat, tak odpowiedział agentowi:

- Jemu nie chodzi o pieniądze. Chce o wszystkim napisać sam - tak, jak on to widzi... Poza tym, kto wie, czy czasem nie będzie on już wolny, zanim książka się ukáže, i cała sprawa nie będzie już tak ekscytować ludzi. Niech pan się raczej cieszy, że nie chciał podpisać tej umowy...

W tej wypowiedzi pojawia się dosyć jednoznaczna wskazówka, dotycząca przyszłości Spaggiariego, padająca z ust jego adwokata w końcu listopada 1976 roku...

Przyjaciele Alberta powtarzali we wszelkich wywiadach, że Spaggiari nie dokonałby tego napadu tylko i wyłącznie dla własnych korzyści.

- Jego nigdy nie interesowały pieniądze - mówili. - To człowiek inteligentny, odważny, o stalowych wręcz nerwach. Odpowiedzialny w każdym calu, osobowość naprawdę warta wyróżnienia...

Jego matka twierdziła, że nie wierzy w to wszystko, co piszą o synu. Powtarzała ciągle, że jej mały Bert zawsze był takim dobrym dzieckiem.

Audi twierdziła, że nawet nie domyślała się, co jej mąż przygotowuje. Dodawała przy tym, że Albert nigdy by sobie nie pozwolił na wciągnięcie jej do tej sprawy.

Interesujące było też zeznanie kierownika grupy odpowiadającej za stan kanałów w mieście, pana Testana. Powiedział on, że swego czasu miał wykopać tunel podobny do tego, który wykonała grupa Spaggiariego, i była to - jego zdaniem - najtrudniejsza praca, z jaką kiedykolwiek miał do czynienia.

- Było nas tam pięciu - opowiadał - i dziennie udawało się nam pokonać najwyżej do metra przekopu. Każdy był w stanie kopać maksymalnie przez dziesięć minut jednorazowo. W tak małej przestrzeni z trudem można było ruszać przedramieniem, a do tego jeszcze narzędzia też nie mogły być zbyt duże. To naprawdę bardzo trudne zadanie do wykonania... - Gdy to mówił, w jego głosie dało się wyczuć nutkę uznania dla tych, którzy wykopali tunel.

Turyści towarzyszący Albertowi i Audi w czasie podróży do Japonii również byli zdumieni całą sprawą.

- Nikomu z nas by do głowy nie przyszło - powtarzali zgodnie - że taki miły, uprzejmy i zawsze skłonny do pomocy, a do tego wykształcony człowiek, jak pan Spaggiari, mógł dokonać takiego czynu?

Spaggiari, spędzając teraz cały czas w więziennej celi, ćwiczył dwa razy dziennie, aby utrzymać dobrą formę.

Jego obrońca, adwokat Jacques Peyrat, wyjaśniał sędziemu: - On odczuwa bardzo brak swojej żony, ale nie załamuje się na duchu. Tęskni za wolnością i to zaprzęta jego myśli przez cały czas. Odnoszę też wrażenie, że momentami zachowuje się jak małe dziecko...

Tym samym zmniejszono nadzór podczas popołudniowych czwartkowych przesłuchań. Teraz Spaggiari był pilnowany tylko przez dwóch policjantów. Ponadto za każdym razem mógł porozmawiać przez pięć minut z Audi, na korytarzu drugiego piętra gmachu - przed pokojem, w którym go przesłuchiowano.

Tam także spotkał się z nim ponownie Clemens von Bezard. Spaggiari raz jeszcze odrzucił jego ofertę wspólnego napisania książki, dodając: - Sam już zacząłem pisać moje wspomnienia i dalej też będę je pisał sam...

Policja była przekonana, że Spaggiari pęknie wreszcie któregoś dnia. Uważali, że tym sposobem przedłuża on tylko swoją nieuchronną agonię. W końcu i tak wyjawí całą prawdę, a wtedy oni będą mogli przyskrzynić resztę jego współników i zamknąć akta sprawy. Na razie nie musieli się nigdzie spieszyć.

Albert Mouray był nad wyraz cierpliwym człowiekiem.

Jednak w kolejne czwartkowe popołudnie 10 marca 1977 roku poczuł, jak wszelki grunt usuwa mu się spod nóg...

SPAGGIARI ŚWIADOMIE NISZCZY AUTO

QUE CACHE L'ETERNEL SOURIRE D'ALBERT SPAGGIARI?

Co kryje się za odwiecznym uśmiechem Alberta Spaggiari?. nagłówek z Nice Matin, 3 listopada 1976

Więzień wyglądał blado i nie chciał nawet tknąć posiłku.

Brak apetytu doskwierał mu już od kilku dni.

- Nie czuję się zbyt dobrze - zwierzył się strażnikowi. - Chyba za dużo pałę ostatnio...

Strażnik o nazwisku Verrauld traktował Spaggiariego zawsze z wielkim szacunkiem.

- A może mógłbym coś dla pana zrobić? - zapytał dobrodusznie.

- Nie, raczej nic, dziękuję.

Verrauld opuścił jego celę, a Spaggiari podniósł się i obejrzał dokładnie swoją fizjonomię w lustrze.

Tego dnia zachowywał się normalnie: uśmiechał się, żartował, wydawał się pewny siebie i pozabawiony wszelkich trosk.

Zbliżało się właśnie czwartkowe popołudnie i czas jego dwudziestej już sesji przed obliczem przesłuchującego sędziego, która miała wyglądać tak samo jak dziewiętnaście poprzednich, od samego początku do końca...

Załóżyl swój ulubiony czarny garnitur i białą jedwabną koszulę. Tak ubrany, z nieodłącznym cygarem marki Don Miguet tkwiącym w kąciku warg, oczekiwał na stróżów prawa. Kiedy policjanci przysli po niego dokładnie o godzinie czternastej trzydzieści, uśmiechnął się do nich, przywitał i zaczął, aż zostanie skuty kajdankami.

Następnie przewieziono go szarozielonym furgonem, specjalnie do tego przystosowanym, spod budynku więzienia do gmachu Pałacu Sprawiedliwości. Jak zwykle dwaj policjanci na motocyklach jechali w ślad za furgonem, a oprócz tego -o czym Spaggiari nie wiedział - dodatkowa eskorta zło-

żona z czterech detektywów siedzących w nieoznakowanym samochodzie. Sędzia Richard Bouazis wyznaczył tę dodatkową ochronę dwa tygodnie wcześniej.

Spaggiari opuścił furgon i przeszedł po marmurowych stopniach do gmachu sądu, połączony kajdankami z jednym z policjantów i podtrzymywany za ramię przez drugiego. Obaj strażnicy byli uzbrojeni.

Spaggiari brał po dwa stopnie na raz, chcąc tym samym pokazać obstawie swoją sprawność fizyczną. Strażnicy pokornie nadążali za nim, a Spaggiari tylko poufale uśmiechał się do nich.

Pokój przesłuchań był maleńki. Na podłodze leżało mocno wytarte linoleum, a ściany miały wypłowiwały żółtoszary kolor.

Okno nie miało żadnej zasłony. Całość pozbawiona była wszelkich ozdób. Brakowało nawet krat w oknach, ale z braku funduszy na ten cel kwestię tę odłożono na dalszy termin.

Na prawo od drzwi stało średniej wielkości biurko dla sędziego. Obok ustawiono stolik, na którym piętrzył się stos dokumentów. Do tego były jeszcze cztery krzesła i popielniczka.

Spaggiari wszedł do środka i podał rękę swemu obrońcy.

Adwokat Jacques Peyrat był dobrze zbudowanym, byłym członkiem Legii Cudzoziemskiej, a obecnie stawał do wyborów na radnych miasta. Był przyjacielem burmistrza Nicei Jacquesa Medecina. To właśnie Peyrat negocjował z wydawcami kwestie opublikowania wspomnień Spaggiariego.

W tym momencie sędzia Bouazis pojawił się w drzwiach.

Dwaj policyjni strażnicy zdjęli Spaggiariemu kajdanki i wyszli z pokoju przesłuchań, by stać na straży przy drzwiach na zewnątrz.

Teraz w środku pozostały cztery osoby: Spaggiari, Peyrat, Bouazis i pani Hoarau, kobieta zbliżająca się do czterdziestki, z głową mocno ufryzowaną, gotowa do pisania na maszynie kolejnych stron zeznań.

Rozpoczęło się kolejne przesłuchanie. Spaggiari nie przerywał palenia swojego cygara i jak zwykle odpowiadał wykrętnie na zadawane mu pytania.

Dochodziła właśnie godzina siedemnasta, gdy Bouazis przypomniał oskarżonemu, że w poprzednim tygodniu ten obiecał mu przedłożyć dokładny plan napadu. W odpowiedzi Spaggiari wolnym ruchem sięgnął do kieszeni swojej czarnej welwetowej marynarki i wyciągnął stamtąd kartkę papieru. Następnie podał ją sędziemu, mówiąc:

- Voila. Tu jest wszystko, co chciał pan wiedzieć... Bouazis rozwinął kartkę. Zapelniona była różnymi liniami, znakami i napisami. Studiował ją przez dłuższy czas z coraz mniejszym zrozumieniem. Wreszcie podniósł wzrok do góry.

- Nie za bardzo mogę się rozeznać w tym wszystkim... Gdzie tutaj są zaznaczone hale wystawowe...

Peyrat zerknął na swojego klienta w tym momencie i był zaskoczony wyglądem Spaggiariego. Jakiś czas później tak to przedstawiał reporterom: "On był niesamowicie błądy. Nigdy wcześniej nie widziałem go tak spiętego. Wyglądał prawie jak żywy trup. Bałem się o niego..."

Spaggiari podniósł się ze swojego miejsca.

- Nie widzę żadnego problemu - powiedział do sędziego.

Wolnym krokiem przeszedł przez ciasny pokój, minął stolik pani Hoarau i zatrzymał się przy biurku Bouazisa. Tam oparł się o ramię sędziego, palcem wskazał na coś na planie i dodał:

- Niech pan spojrzy tu...

I w tym samym momencie dopadł do okna, gwałtownym ruchem otworzył je i wyskoczył.

Adwokat Peyrat zdążył jeszcze krzyknąć za nim: - Nie, nie rób tego!

Jak później wyjaśniał, sądził w tym momencie, że Spaggiari chce popełnić samobójstwo.

Obaj przedstawiciele prawa zerwali się błyskawicznie na równe nogi ze swoich miejsc i podbiegli do okna.

Poniżej tego osobliwego okna, które znajdowało się na drugim piętrze budynku, był występ szeroki na ponad pół metra, dochodzący aż do wysokich drzwi wejściowych do gmachu.

Wejście to określano mianem serduice etrangers i tutaj właśnie każdego dnia ustawiali się w kolejce wszyscy cudzoziemcy, którzy chcieli dostać przedłużenie wizy czy też pozwolenie na pracę, a także osoby starające się o zezwolenie na pobyt stały.

Spaggiari skoczył właśnie na ten występ przy ścianie.

Stamtąd przeskoczył na dach zaparkowanego przed budynkiem renaulta 6, wgniatając mocno karoserię jego dachu.

Przekoziółkował po nim i wylądował na prostych nogach na ulicy.

Obok renaulta stał motocykl marki Kawasaki 900 w kolorze zielonego metaliku. Jego silnik pracował cały czas. Krępy właściciel pojazdu miał na głowie kask z przyciemnioną szybką. Spaggiari wskoczył na tylne siedzenie motocykla.

Z okna powyżej Richard Bouazis wrzeszczał na całe gardło:

- Arrêtez - le! Arrêtez - le! (Zatrzymajcie go!)

Spaggiari krzyknął jeszcze do niego: - Au revoir - pokazując przy tym znak V palcami.

Przechodnie słyszeli jeszcze jego śmiech, gdy motocykl zniknął za rogiem ulicy.

Uciekinierzy przeżyli mrozący krew w żyłach moment na Boulevard Jean Jaures, kiedy jakiś samochód wycofywał się właśnie z parkingu prosto na ulicę. Kierowca motocykla nie stracił jednak zimnej krwi i poradził sobie z niespodziewaną przeszkodą, mijając dosłownie o milimetry tył samochodu.

W tym czasie przed gmachem sądu policjant już wskakiwał na swój motocykl i ruszał w pościg za zbiegami. Spaggiari miał jednak spore wyprzedzenie i policjant bardzo szybko stracił go z oczu.

Policyjne oddziały błyskawicznie zareagowały na sytuację.

W ciągu kolejnych dziesięciu minut blokady drogowe rozmieszczono na wszystkich drogach wylotowych z Nicei. Zamknięto francuską granicę, a wszystkie pociągi i samoloty, które miały opuścić miasto, zostały odwołane. Prywatne linie otrzymały rozkazy natychmiastowego lądowania. Polowanie na Spaggiariego zaczęło się...

Nic to jednak nie przyniosło.

Spaggiari zniknął jak kamień w wodę...

Wiadomość od niego jednak nadeszła...

Beżowy renault 6, na którego dachu Spaggiari wylądował, został bardzo poważnie uszkodzony. Karoseria nadawała się tylko do wymiany. Właściciel auta, pan Gonzales, był kompletnie przybity. Jego samochód był prawie nowy!

Gonzales mieszkał przy rue de Pontin, w sąsiedztwie gmachu sądowego. Do jego auta, które ledwo zdążyło zjechać z fabrycznej taśmy, ktoś już raz próbował się dobierać i dlatego też Gonzales uznał, iż najlepiej będzie parkować je obok sądu, gdzie - jego zdaniem - było najbezpieczniej...

Koszt naprawy wyniósł ponad sześćset dolarów i gdy Gonzales zjawił się w tej sprawie w swoim towarzystwie ubezpieczeniowym, odmówiono mu wyrównania strat z powodu tak dziwacznej, ich zdaniem, reklamacji. Wszystko, co mógł w tym momencie zrobić, to złożyć skargę na policji tytułem zniszczenia jego samochodu przez niejakiego Alberta Spaggiariego, adres... nieznanym!

Cała historia stała się na tyle zabawna, że w Nice - Matin opisano ją szczegółowo. A kilka dni później Gonzales otrzymał przekaz pocztowy na sumę 625 dolarów z dopiskiem w formie przeprosin podpisanym przez Alberta Spaggiari.

Siedem butelek szampana pękło z hukiem w Roi du Yan - ulubionej restauracji Spaggiariego - w ten wieczór 10 marca.

Jego starzy przyjaciele mieli powód do świętowania.

Natomiast obrońca Spaggiariego, Jacques Peyrat, był poważnie zakłopotany zaistniałą sytuacją:

- On musiał zaplanować całą rzecz dużo wcześniej - tłumaczył. - Zarówno mnie, jak i sędziego Bouazisa, najzwyczajniej w świecie wyprowadził w pole...

Urządnicy sądowi także mieli powody do obaw. Rok wcześniej inny więzień uciekł przez to samo okno. Jednakże wtedy udało się go złapać chwilę później na Starym Mieście.

Policja w równym stopniu dostała za swoje, a władze miasta bynajmniej nie były uradowane tym obrotem spraw. Minister Spraw Wewnętrznych, Michael Poniatowski, osobiście dzwonił z Paryża odnośnie podjęcia dalszych kroków. Tysiąc osobowa obsada policjantów prowadziła przeszukiwa-

nia od domu do domu na Starym Mieście. Zorganizowano także obławę na farmie w Bezaudun, stwierdzając przy okazji, że Audi także gdzieś zniknęła...

Drzwi do domu na farmie były otwarte, okiennice także, jednak w domu nie zastano nikogo. Policja przesłuchiwała sąsiada Ange Goujona, który powiedział im:

- Ja miałem nakarmić tylko psy, Packę i Vestę, a potem jeszcze dołożyć karmy kurczakom. Sądziłem, że pani Spaggiari lada moment pojawi się z powrotem...

Koleżanka Audi, pielęgniarka Fabienne Nehr, oświadczyła tylko, że Audi jest na urlopie od trzeciego marca.

- Jakoś kiepsko wtedy wyglądała - wyjaśniała policjantom - i poradziłam jej, żeby wyjechała gdzieś, w góry... Wtedy też widziałam ją ostatni raz.

Tego dnia Audi zjawiała się też w sklepie przy Route de Marseilles, mając ze sobą małą walizeczkę. Andre Devosa, który rozmawiał z nią wtedy, zeznał potem:

- Powiedziała mi, że wyjeżdża i nie będzie jej do dwudziestego piątego marca. Wyglądała na bardzo zmęczoną...

Obrońca Spaggiariego, adwokat Jacques Peyrat, także wiedział, że Audi wyjechała z miasta:

- Ona była kompletnie wyczerpana po tych wszystkich przejściach. Nie chciała już dłużej zadreżać się tym wszystkim i zdecydowała, że wyjedzie na jakiś czas z Nicei. Miała też podobno jakieś anonimowe telefony z pogrózkami... Nie mówiła mi dokładnie, gdzie zamierza pojechać. Powiedziała tylko, że nie będzie jej przez kilka tygodni...

Audi była jedyną osobą poza Peyratem, która w trakcie trwania przesłuchań mogła kontaktować się ze Spaggiarim.

Wystarczy przypomnieć sobie te nieoficjalne pięciominutowe spotkania w korytarzu gmachu sądowego. To ona musiała zaaranżować wszelkie szczegóły związane z ucieczką. A teraz sama zniknęła bez wieści, podobnie jak jej mąż...

Policja skupiła się na przesłuchaniu świadków, którzy widzieli ucieczkę. Jak się okazało, motocyklista czekał przy rue de la Prefecture już od godziny trzynastej. Czyścił wtedy szprychy przy kołach swojej maszyny. Przez większość czasu miał na głowie swój kask z przyciemnioną szybką, ale był taki moment, kiedy zdjął go i kilku przechodniów zapamiętało jego twarz.

Komisarz Jacques Tholance, zwany "Colombo", na tę wieść wydał wręcz dziki okrzyk radości i wygrzebał z policyjnych akt zdjęcia osób znanych w kręgu Spaggiariego.

Kilku świadków bez wahania wybrało z nich twarz motocyklisty.

Okazało się, że mężczyzną tym jest Gerard Rang, lat dwadzieścia osiem, właściciel powszechnie znanego klubu nocnego Chi - Chi w Haut de Cagnes. Rang był blondynem o krępej budowie ciała. Publicznie podawał się za zwolennika prawicowych ekstremistów. Jednak w rzeczywistości Tholance bez wielkiego trudu zebrał o nim akta z policyjnych kartotek o objętości, która śmiało mogła konkurować z książką telefoniczną Manhattanu! Można z nich było wyczytać, iż to właśnie Rang razem ze Spaggiarim podejrzani byli o dwa przestępstwa: oszustwo na wielką skalę związane z książeczkami czekowymi, kiedy to Nicea została dosłownie zalana czekami bez pokrycia latem 1974 roku; a drugą sprawą był udany napad duetu na Banque de Paris et des Pays Bas w Nicei latem tego samego roku. Rang był także oskarżony o kierowanie oszukańczym konsorcjum, które "inwestowało" pieniądze swoich udziałowców w zakładach gwarantujących pewne zyski, a których nigdy nie ujrano...

Rang znał również adwokata Jacquesa Peyrata. Swego czasu był jego klientem.

Jacques Tholance pamiętał, że w czasie napadu na bank także występował człowiek na motocyklu, czuwający nad całą sytuacją przy wjeździe do podziemnej drogi.

W niedzielę 13 marca o godzinie dziesiątej komisarz Tholance z ekipą dwudziestu czterech oficerów otoczył luksusowy blok złożony z apartamentów, potocznie nazywany Arkadiq, położony na Mont Fabron, wzgórzu górującym nad Niceą.

Tholance wjechał windą na górę i stanął przed drzwiami do apartamentu oznaczonego jako 2F. Po chwili nacisnął guzik dzwonka.

Słyszając głosy dochodzące ze środka, zadzwonił ponownie.

- Otwieraj, Rang - zawołał przy tym. - Będzie lepiej, jak sam wyjdiesz. Nie masz szans na ucieczkę!

W końcu otrzymał odpowiedź zza drzwi: - W porządku.

Dajcie mi tylko pięć minut i już schodzę.

Tholance bez trudu rozpoznał głos Ranga. Zdecydował, że poczeka na niego.

Pięć minut później Rang pojawił się w otwartych drzwiach.

Ubrany był w czarny blezer od samego Yves St. Laurenta, do tego miał szare flanelowe spodnie i czarne wysokie buty. Założył jeszcze na nos słoneczne okulary i tak stanął przed komisarzem. Wydawał się bardzo pewny siebie mówiąc:

- Jeżeli chcecie mnie aresztować, to od razu wam mówię, że popełniacie wielki błąd...

Tholance zbył milczeniem tę kwestię. Będzie jeszcze sporo czasu na wyjaśnienie wszystkiego.

Taktyka, jaką przyjął Rang na swoją obronę, była aż zaskakująco słaba.

Najpierw podał, że on jeździ 525-tką, i nie posługiwał się nigdy Kawasaki 900-tką. To wyjaśnienie nie zrobiło jednak na nikim żadnego wrażenia.

Następnie przedstawił swoje alibi na czas zdarzeń:

- W tym czasie grałem akurat w tenisa, w klubie znajdującym się obok Arkadii.

- Z kim grałeś?,

- Sam ze sobą.

- A jak to się gra samemu ze sobą w tenisa?

- Odbija się piłki o ścianę...

Znalazły się nawet dowody na potwierdzenie tego alibi.

Jedna z koleżanek Peyrata zjawiała się z czterema dziewczynami z Arkadu, które zgodnie poświadczły, iż widziały Ranga odbijającego piłkę o ścianę w danym czasie.

Na marginesie warto dodać, że koleżanką tą była Martine Wolf, która: po pierwsze, była zastępcą Peyrata w czasie przesłuchań Spaggiariego; po drugie, była przyjaciółką Ranga; i po trzecie, była lokatorką mieszkania przy rue de la Prefecture, znajdującego się dokładnie naprzeciw okna, z którego wykonał swój skok Spaggiari...

Jak sprawdzono, Rang faktycznie opłacił członkostwo w klubie tenisowym, ale nikt nie potrafił sobie przypomnieć, by korzystał on z tych praw w przeciągu minionych dwunastu miesięcy. W tej sytuacji komisarz Tholance uznał, iż należy dokonać konfrontacji ze świadkami i wtedy okazało się, iż żadna z dziewczyn nie potrafi jednak rozpoznać Ranga spośród ustawionych osób. Przyznały wtedy, że faktycznie widziały kogoś samotnie grającego w tenisa, ale ich okno było zbyt daleko od kortu, by mogły przysiąc, iż tym graczem był nie kto inny jak Gerard Rang.

Tholance uznał więc, że należy zorganizować jeszcze jedną konfrontację ze świadkami. Tym razem uczestniczyły w niej dwie osoby, które widziały ucieczkę spod gmachu sądu. Rang został ustawiony w rzędzie razem z czterema innymi krępyimi blondynami z policyjnych oddziałów. Każdy ze świadków bez wahania wskazał na Ranga w tej grupie.

Na tej podstawie oskarżono go o pomoc i współudział w zorganizowaniu ucieczki Albertowi Spaggiari.

Kilka dni potem, 19 marca tego samego roku, towarzysze Spaggiariego z czasów OAS wyznali dziennikarzom: "To my zorganizowaliśmy to wszystko. On jest już poza krajem..."

Dzień później, 20 marca Jacques Peyrat został wybrany radnym miasta Nicei.

EPILOG

Bien le bonjour d'Albert! kartka od Spaggiariego z kwietnia 1972 roku

Z całego łupu, jaki padł ofiarą złodziei, udało się odzyskać około jednego miliona franków (dwieście czternaście tysięcy dolarów). Była to suma wynikająca z odzyskanych sztabek złota: tych, które próbował sprzedać Bournat, tych odkrytych w skrytce depozytowej w Brukseli na nazwisko Daniela Michelluci i tych znalezionych w domu w Marsylii.

Bank Societe Generale zażądał trzydziestu milionów franków od swoich ubezpieczycieli, przedstawicieli Lloyda z Londynu. Jak łatwo się domyśleć, była to kwota maksymalna, na jaką bank został ubezpieczony. Jacques Guenet, dyrektor oddziału, zaprzeczał oczywiście takim pogłoskom.

Trzeba jednak pamiętać, że żaden prawdziwy bankier nie może przyznać się oficjalnie do tego, nawet jeśli jest to najczystsza prawda.

Z drugiej strony patrząc, przegrani nie mogą żądać zbyt wiele... Jednym z powodów zakładania skrytek depozytowych przez ludzi jest przecież ukrycie swojego bogactwa przed urzędami podatkowymi czy policją. Siedem osób odmówiło przedłożenia spisu zawartości ich skrytek i tym samym ich strat nie włączono do sumy tych trzydziestu milionów franków. Inni z kolei mogli domagać się tylko części tego, co im skradziono z obawy przed przyznaniem się do posiadania kosztowności, które mogły pochodzić z nieoficjalnych źródeł, czy też gotówki nie zadeklarowanej w zeznaniach podatkowych.

Na marginesie można dodać, iż pewien mieszkaniec Nicei opowiadał każdemu, kto tylko chciał go wysłuchać, że ten napad stulecia kosztował tylko jego samego pół miliona franków z przytoczonych wyżej powodów. Tym osobnikiem był nie kto inny, jak sam... Gerard Rang.

W końcu roku 1981 w Rio de Janeiro miało miejsce niecodzienne spotkanie samego Ronalda Biggsa - niesławnego autora pamiętnego napadu stulecia na pociąg pocztowy - z Albertem Spaggiarim. Popijając whisky i pociągając hawańskie cygara obaj panowie dysputowali nad tym, który z nich dokonał większego napadu wszechczasów. Spaggiari przypisywał sobie, że na skoku na bank zarobił na czysto sto milionów franków, co w przeliczeniu dawało dwadzieścia milionów dolarów. Podczas Wielkiego Napadu na Pociąg skradziono niewiele ponad siedem milionów dolarów, po przeliczeniu całej sumy z funtów szterlingów. Nawet jeśli skok w Nicei przyniósł "tylko" czterdzieści milionów franków (osiem milionów dolarów), to i tak okazuje się, że był to bez wątpienia napad stulecia. Ciągle jednak spędzają sen z powiek pytania dotyczące trzech kwestii związanych z tą historią:

Dlaczego policja w Nicei nie wiedziała wcześniej absolutnie nic na temat planowanego napadu?

Dlaczego nie podjęto żadnych kroków w momencie, kiedy C.I.A poinformowała ich o tym, co wyznał sam Spaggiari?

I wreszcie: dlaczego Albert Spaggiari nie szukał w żaden sposób ucieczki przed policją, dając się aresztować bez problemu?

To trzecie pytanie można spróbować rozjaśnić, uznając, iż Spaggiari zawsze był megalomanem i - podobnie jak wiele osób dotkniętych tą przywarą - uznał, że nic złego mu się nie przytrafi w jego czarownym życiu, skoro sami bogowie mają go pod opieką. Problem zaczyna się wtedy, gdy uznamy, iż mógł on takie życie prowadzić, biorąc pod uwagę dwa wcześniejsze pytania.

W tym układzie pojawia się nieuchronna wręcz spekulacja, iż faktycznie był on pod czyjąś protekcją. Ale czyją? I dlaczego jego protektorzy ostatecznie opuścili go, ułatwiając mu tylko ponowne wymknięcie się z siideł prawa?

W tym miejscu warto zwrócić uwagę na polityczne aspekty całej sprawy.

Nicea jest ośrodkiem konserwatyzmu, z prawicowo nastawioną radą miasta. Wszystkie dramans personae tej opowieści mają poglądy prawicowe, mniej lub bardziej określone ale jednak, i to począwszy od samego burmistrza miasta, a skończywszy na osobie Gerarda Ranga. Te postacie tworzą urzekający wręcz krąg powiązań: burmistrz zna Spaggiariego, który z kolei jest kolegą Ranga, a jego przyjaciółką - Martine Wolf jest koleżanką po fachu Jacquesa Peyrata, który jest bardzo bliskim przyjacielem samego burmistrza! Związki burmistrza Jacquesa Medecina z Albertem Spaggiari mogą się wydać tutaj słabe czy wręcz bez znaczenia, chociaż warto zaznaczyć, iż w historii takie przypadki były powodem dymisji niejednego polityka... "klan Medecinów" jest jednak bardzo mocno zakorzenioną rodziną w Nicei, która dała miastu większość burmistrzów - Avenue Jean Medecin została tak nazwana na pamiątkę jednego z nich - i stąd też pozycja Jacquesa Medecina w mieście jest na tyle mocna, by oprzeć się jakimkolwiek pomówieniom czy skandalom o lokalnym charakterze.

Przede wszystkim jednak to OAS wystawiła sobie fatalną notę. To jej nazwa pojawia się ciągle w tej historii. Spaggiari był jej członkiem, podobnie jak inne osoby z grupy ochrzczonej mianem "Szczyrów Kanałowych". To Spaggiari zawsze twierdził, że oddał swoją część łupu w ręce OAS. I to właśnie OAS przypisywała sobie wydostanie Spaggiariego z Francji po jego brawurowej ucieczce... Czyżby więc sympatycy tej Organizacji, będący na wysokich stanowiskach, nie obawiali się żadnych indagacji ze strony policji? W tym miejscu nie możemy zrobić nic więcej ponad to, że postawimy takie pytanie...

Jeżeli Spaggiari miał taką protekcję, zagadką pozostaje jednak to, dlaczego pozwolił się on aresztować, a potem uciekł?

Przez całe swoje życie Albert Spaggiari żył wielkimi ideami, ale przecież nikt nigdy nie dał mu możliwości - szansy wypróbowania ich w praktyce. Tak więc może w końcu on sam stworzył sobie taką szansę i udowodnił tym samym, iż znakomicie się z niej wywiązał... Wszelkie przesłanki kierują nas w tę stronę i taki też kierunek obraliśmy my, jako autorzy tej opowieści, przy relacjonowaniu całej historii. Trzeba jednak zwrócić uwagę i na taki wariant, iż Spaggiari mógł być tylko maską, osobą osłaniającą kogoś, prawdziwe oblicze Mózgu tej operacji, kogoś w rodzaju króla czarnych charakterów, czy też może fanatycznego polityka... Pozwalając się zaaresztować, Spaggiari mógł tym samym ochraniać swoją osobą faktycznego pomysłodawcę tego skoku. Jeśli tak było, to z pewnością odniosło to skutek. Policja w Nicei nie musiała dalej szukać tajemniczego człowieka, który zorganizował ten skok, teraz ich zadaniem było odnaleźć zbiegłego Alberta Spaggiari...

Te hipotezy, jeśli są poprawne, mogą wyjaśnić nam przynajmniej jedną zagadkę: dokładną kopię napadu na bank Ile St. Louis w Paryżu. Rozwijając to, dochodzimy do pewnych spostrzeżeń: po pierwsze, raczej mało prawdopodobne było, by te same osoby zechciały podejmować ryzyko po raz drugi, w chwili kiedy nie miały jeszcze możliwości wydania kwoty ponad sześciu milionów dolarów ze skoku w Nicei; a po drugie, równie nieprawdopodobne było to, że dwie kompletnie nie znające się ekipy przestępców w tym samym czasie wpadły na pomysł zastosowania podobnej metody przy obrabowaniu bankowego skarbcza. Bardziej prawdopodobne wydaje się, że to jeden mózg o przestępczych skłonnościach wymyślił ten pomysł i zorganizował jego realizację w praktyce "przy użyciu" dwóch osobnych ekip, w dwóch oddalonych od siebie miejscach, w tym samym czasie...

Podsumujmy na koniec te hipotezy, pamiętając, że przez cały czas poruszaliśmy się po gruncie dalekim od zaistniałych faktów i zagłębiiliśmy się w sfery zwykłych przypuszczeń...

Prawdziwy mózg tej operacji zaplanował skok na bank wykorzystując Alberta Spaggiari i zapewniając mu ochronę w kręgach wyższych sfer. Tym samym mógł on formalnie odwrócić uwagę od swojej osoby i dostarczyć zarówno wzburzonej opinii publicznej, jak i dociekliwym organom śledczym bardzo wiarygodnego kozła ofiarnego. I to on właśnie pozwolił, by zaaresztowano Spaggiariego. Nie był jednak pewny do końca, czy Spaggiari przetrzyma te ciągłe przesłuchania, i zorganizował mu wybawienie z opresji. Cóż więc mógł zrobić dla ratowania własnej skóry?

Mógł. Mógł zabić Alberta Spaggiari...

Przez jakiś czas po Nicei krążyła plotka, że tak naprawdę to policja zamordowała Spaggiariego i teraz chowa głowę w piasek. Jednakże kolejne dowody, iż on żyje i ma się dobrze, przeczyły temu...

Na adres dziennikarza z Nice - *Matin* nadeszła ciekawa pocztówka. Przedstawiała ona Alberta Spaggiari ubranego w ciężkie palto z głową okrytą beretem - miało to zapewne ukryć zmienione oblicze autora kartki. Zdanie na odwrocie brzmiało: *Bien le bonjour dAIBERT*. Grafolog, który otrzymał do zbadania tę kartkę, porównał jej pismo z charakterem pisma Spaggiariego i stwierdził z całą pewnością, że są identyczne.

Do redakcji *Nice - Matin* Spaggiari wysłał natomiast list, gdzie twierdził, iż Gerard Rang nie był tym motocyklistą, który dopomógł mu przy ucieczce.

Zarówno kartka pocztowa, list, jak i gotówka wysłana właścicielowi zniszczonego renaulta, miały stempel pocztowy Nicei, co zapewne nie ma większego znaczenia w tym momencie... Starzy przyjaciele odwiedzający restaurację *Roi du Yan*, gdzie króluje spaghetti, powtarzali, że znają dobrze miejsce pobytu Alberta: "To my sprawiliśmy, że wy dostał się z tego kraju, korzystając z pomocy naszych włoskich przyjaciół."

Proces tych, których oskarżono o udział w napadzie stulecia, trwał dokładnie trzy dni. Na ławie oskarżonych zasiadło czterech mężczyzn. Na żadnego z nich nie wydano wyroku większego niż dwa lata pobytu w więzieniu. Wszyscy zostali jednak zwolnieni warunkowo po sześciu miesiącach odsiadki.

Audi Spaggiari wróciła do Francji po dwumiesięcznej nieobecności. Ani ona, ani Dominique Poggi nie byli wzywani na salę rozpraw podczas procesu.

Audi Spaggiari aktualnie żyje skromnie ze swojej pensji pielęgniarki pracując w szpitalu przy Route de Marseille. Weekendy spędza przeważnie na swojej farmie w Bezaudun i tam rozpamiętuje te dni, kiedy byli razem z Albertem. Stroni od wszelkich kontaktów z mediami i nie skarży się nikomu, że jej Albert wybrał nowe życie.

Albert Spaggiari prowadzi natomiast takie życie, jak przystało na multimilionera i playboya. W swojej hacjendzie w Ameryce Południowej - jak wyznał reporterom - żyje w otoczeniu pięknych kobiet i dniami i nocami upija się szampanem!

POSTSCRIPTUM

Tout me fait rire.

To wszystko napawa mnie śmiechem.

Minęła właśnie godzina piąta w ten sobotni poranek 10 czerwca 1989 roku, kiedy czarny peugeot z przyciemnionymi szybami z dużą prędkością mijał uliczki miasteczka Hyeres we Francji.

Mimo iż samochód zdawał się pędzić, nie zwracał jednak niczyjej uwagi, bo był przecież typowym francuskim produktem, podobnym do wielu innych aut używanych przez obywateli tego kraju. Przypominał też bardzo tego peugeota w kolorze szary metalik, jaki trzynaście lat wcześniej odegrał kluczową rolę w akcji, po której wielu klientów w pechowy sposób pozbyło się swoich kosztowności ze schowków depozytowych w banku Societe Generale w Nicei.

Peugeot krążył po uliczkach, nie zwracając uwagi policji w tym mroku przedświt, aż wreszcie hamując z piskiem opon zatrzymał się przed domkiem sędziwej pani Juliet Glement. To właśnie tutaj miały się rozegrać bardzo dziwne i tajemnicze sprawy tego ranka.

Kierowca peugeota i jego pasażer prawie równocześnie otworzyli drzwi auta ze swoich stron. Obaj mężczyźni, nawiasem mówiąc, przybyli tutaj raczej nie zapowiedziani... Każdy z nich ubrany był w czarny strój, a twarze mieli okryte maskami, przypominając tym samym bohaterów z filmów o przygodach Jamesa Bonda. Trzeba przyznać, iż te przebrania dosyć skutecznie osłaniały ich przed ewentualnym rozpoznaniem.

Obaj przybysze byli bardzo bliskimi i wysoce zaufanymi współpracownikami trzeciego pasażera tego auta, który znajdował się w... bagażniku.

Po szybkiej wymianie zdań rzucanych szeptem w języku włoskim, mężczyźni otworzyli bagażnik, pochylili się nad nim i ostrożnie wyciągnęli trzeciego mężczyznę z auta.

Ten osobnik nie paradował jednak w stroju przypominającym ninja, jak jego dwaj przyjaciele, przywożący go tutaj w najgłębszej tajemnicy. Nie potrzebował on żadnego specjalnego przebrania, ponieważ - nawet gdyby policja chciała wziąć odwet na nim tego poranka - nikt już nie miał jakiegokolwiek wpływu na jego życie.

Ten człowiek był po prostu martwy. I nazywał się Albert Spaggiari.

Oczywiście, nawet gdyby żył, i tak było mało prawdopodobne, aby chciał on użyć takich środków ostrożności do ukrycia swojej obecności w tym miejscu. Zarówno jego arogancja, jak i umiejętność skrywania się przed światem, przeczły takim sposobom.

Poza tym Spaggiari nie był ani zamachowcem, ani rządowym wrogiem; był jedynie złodziejem, który okradł bank, choć - co trzeba przyznać - bardzo sławnym. Lata minęły od czasu, gdy ten człowiek w młodzieńczym ferworze wymarzył sobie, a potem przygotował, zamach na Charlesa de Gaulle'a, podobnie jak i inne późniejsze działania w imieniu prawicowych terrorystów. Jednak mimo iż Spaggiari powstrzymał się przed plunięciem władzy prosto w twarz, to i tak na każdym kroku nie przestawał się z niej wyśmiewać...

Zamaskowani osobnicy razem dźwignęli ciało, wysuwając je z bagażnika, i przenieśli pod wejście do wiekowego domku pani Juliet Clement.

Właścicielka i jedyna mieszkanka tego domu, pani Clement, była matką Alberta Spaggiari. Mieszkała tutaj już od pięćdziesięciu pięciu lat - od czasu, gdy Albert skończył dwa lata.

W ten czerwcowy poranek leżała w swoim łóżku pogrążona we śnie, gdy tajemniczy samochód podjechał pod jej domek.

Dwaj nieznajomi nie mieli większych problemów z dostaniem się do środka domu. Cały czas podtrzymując ciało zmarłego, przeszli wzdłuż ściany i nie chcąc zapalać światła rzucali ukradkowe spojrzenia szukając stołu w kuchni. Na koniec udało im się to, bez zbędnych hałasów.

Ostrożnie złożyli zwłoki na kuchennym stole, tak jakby miała to być ceremonia pogrzebowa, ale bez trumny i kwiatów. Następnie bezszelestnie opuścili kuchnię, a potem cały dom.

Drzwi peugeota trzasnęły jeszcze przy zamykaniu i już po chwili samochód opuszczał Hyeres. Staruszka obudziła się na niktący dźwięk silnika peugeota dodającego gazu w dole uliczki i nie minęło zbyt dużo czasu, jak odkryła w kuchni zwłoki. Sędziwa pani Clement nie widziała swojego syna od wielu lat, a teraz miała go tu, przy sobie, leżącego na kuchennym stole...

Przez cały dzień aż do samego wieczora miejscowa policja i inne publiczne autorytety z całej Francji przesiadywały w kuchni pani Clement, przygotowując wszystko do wyniesienia zwłok Alberta Spaggiari po wykonaniu kompletnej dokumentacji zdjęciowej, pobraniu odcisków palców i innych proceduralnych badaniach.

Minęło ponad dwanaście lat, od czasu kiedy francuska policja była tak blisko tego człowieka. Teraz dostali wreszcie Alberta Spaggiari, przywódcę "Szczurów Kanałowych" i organizatora Napadu Stulecia na Bank.

Mieli przed sobą tego, który w szaleńczy wręcz sposób przedarł się tunelem wykonanym pod ulicami Nicei razem ze swoją grupą w pamiętnym 1976 roku. Mieli tego, który ukradł jakieś osiem do dziesięciu milionów dolarów w gotówce, złocie i różnych kosztownościach z jednego tylko skarbcza w jednym banku; człowieka, który doprowadził do wściekłości różne autorytety, a latami zachwycał wręcz społeczność europejską, by ostatecznie wymknąć się spod oka policji.

W wieku pięćdziesięciu siedmiu lat pokonał go rak płuc i dopiero wtedy Albert Spaggiari pozwolił, by policja przyszła do niego, dostając jedynie odpowiedź na nieliczne spośród wielu pytań otaczających jego osobę.

Jednak biorąc pod uwagę fakt, iż cały czas pilnował on, by ani lokalna policja, ani międzynarodowe służby specjalne nie zbliżały się zbyt blisko do niego przez tyle lat, mało prawdopodobne wydało się, aby jego śmierć mogła sprawić, że łatwiej będzie teraz zrozumieć jego życie... W swej ekstrawagancji nie potrafił on przecież powstrzymać się od ciągłego naśmiewania się z nich przez cały czas, przy wydatnej pomocy żądnych wrażeń massmediów.

Chociaż było wręcz oczywiste, że człowiek, który ukradł tak dużą sumę pieniędzy, powinien być oddany w ręce sprawiedliwości, to jednak sprawa Spaggiariego okazała się przypadkiem specjalnym.

Był on osobą na tyle egocentryczną, że media nie mogły się powstrzymać przed jego nieprzeartym urokiem. I mimo iż był on człowiekiem skazanym na życie więzienne w całkowitym zapomnieniu, odmówił chowania głowy w piasek przed opinią publiczną. Spaggiari używał stron wszelkich możliwych europejskich gazet do kontynuowania swej roli: ośmieszania działań policji poprzez udzielanie wywiadów i okazjonalne "docinki" - jak chociażby słynna pocztówka "z pozdrowieniami od, Alberta" wysłana w miesiąc po brawurowym skoku z okna gmachu sądu miejskiego.

Policja mogła dowiedzieć się, że Spaggiari - wdziękając zręczne przebrania w czasie kontaktów z prasą - naprawdę żyje i ma się dobrze, opływając w luksusy gdzieś w Ameryce Południowej. To wiedzieli tylko z mediów, a nie dzięki staraniom własnych służb.

Za swój "talent" w zadowalaniu europejskich dzienników, Spaggiari był sownie wynagradzany, co jeszcze bardziej zachęcało go do dalszej współpracy...

Kiedy Spaggiari uciekł z nicejskiego Pałacu Sprawiedliwości w słoneczne piątkowe popołudnie pamiętnego marca 1977 roku, policja straciła go z oczu dosłownie w ciągu dziesięciu minut od momentu jego skoku z okna. Był tak niesamowicie szybki, że zniknął im z najbliższego terenu działań operacyjnych, zanim ustawiono jakiegokolwiek blokady drogowe!

Pierwszym miejscem jego pobytu były Włochy. Stamtąd przedostał się do Ameryki Południowej. Gdy dotarł do Paragwaju, u miejscowych władz poprosił o azyl i w końcu uszczęśliwiony otrzymał go.

Ten południowo amerykański kraj przez 35 lat był pod rządami prawicowego dyktatora, generała Alfredo Stroessnera, którego obalono dopiero w lutym 1989 roku. Jego władza była powszechnie

postrzegana jako przerażająco okrutna i represyjna. Gdy jego zwolennicy i oprawcy siłą wślazali w naród swoje ideologie i niszczyli przeciwników politycznych, zamożny dyktator żył w olśniewającym przepychu bogactwa w swym pałacu prezydenckim w Asuncian.

W Paragwaju Spaggiari nabył rancho i tam odpoczywał od wszelkich spraw otaczającego go świata. Z czasem stał się bliskim przyjacielem generała Stroessnera. Obaj dzielili się swymi prawniczymi poglądami i politycznymi opiniami. Spaggiari czuł się tutaj bezpiecznie; termin "policja" oznaczał w Paragwaju niewiele do czasu przewrotu i obalenia Stroessnera.

Dlatego też wszelkie międzynarodowe organizacje miały nikłe szanse, by wytropić tutaj miejsce pobytu ściganego osobnika.

Niektórzy przysięgali, iż rozpoznali Spaggiariego baraszującego na wybrzeżu Północnego Atlantyku - tak zrelaksowanego jak jego pierwowzór, twórca napadu stulecia, Ronald Biggs, wygrzewający się pośród piasków tętniącej życiem plaży Copacabana w Rio de Janeiro.

Inni byli święcie przekonani, że cały czas przebywa w Europie, a dowodem na jego obecność w Nicei był trudny inaczej do wytłumaczenia stempel pocztowy na odwrocie słynnej kartki "z pozdrowieniami od Alberta".

Z pewnością to sam Spaggiari napisał tę zabawną wiadomość, a zdjęcie było autentyczne. Ktośkolwiek jednak wysłał tę kartkę z Nicei, nie był to na pewno Albert Spaggiari.

To, że sentymentalizm wygrał w nim nad nakazem pozostania w ukryciu, jasno dowodzi, że Spaggiari nie przestraszył się organów ścigania.

Poddał się operacji plastycznej, aby uniknąć rozpoznania go i nigdy nie ukazywał się przed obcymi bez swego rodzaju zamaskowania, mimo swojego nowego oblicza. Jeden z jego znajomych mówił nawet, że nie pokazywał się on publicznie po raz drugi w raz już użytym przebraniu.

Jego błazeństwa nie skończyły się równocześnie ze zniknięciem. Kontynuował swoje dzieło drażnienia policji przy współudziale massmediów i ku uciechu opinii publicznej. Otrzymywał wysokie honoraria za wywiady udzielane europejskim magazynom, chociaż w Stanach Zjednoczonych jego postać była mniej znana.

Ciągle niezaspokojony i zarozumiały podtrzymywał w sobie ten głód przypominania się w niezliczonych wywiadach przez kolejne lata, jakie upłynęły zarówno od skoku na bank, jak i jego brawurowej ucieczki. Cały czas jednak robił to z rozwagą: musiał być pewny, że zostanie w ukryciu. I tym samym nie da się policji naprowadzić na swój trop.

To w zupełności wystarczało Spaggiariemu. Wywiady stawały się ponadto źródłem jego "dodatkowych" dochodów. Płatny rozgłos był doskonałym sposobem na pozostawanie "bohatera" w cieniu.

Spaggiari przy tym wszystkim nie starał się powiększać swej fortuny poprzez wchodzenie w kolejne ryzykowne interesy na wzór tamtego skoku na bank w 1976 roku, chociaż niektórzy sądzili, iż zdarzyło się to niedługo potem.

Przed wszystkim chodziło tutaj o włamanie do oddziału banku Societe Generale przy Ile St. Louis w Paryżu, które miało miejsce w miesiąc po skoku Spaggiariego w Nicei. Jednoznacznie wskazywano wtedy na robotę tej samej grupy, uznając, iż minęło zbyt mało czasu, by inni - nawet wysoko kwalifikowani - złodzieje mogli dokonać tego czynu.

Wiele prasowych źródeł nadstawiło też uszu na wieść o kradzieży około dwunastu milionów dolarów w gotówce, jakie zniknęły z depozytowych schowków bankowego skarbcza Caisse d'Epargne w Paryżu w listopadzie 1980 roku.

To wydarzenie w natrętny wręcz sposób kojarzyło się z tamtym, jakie miało miejsce cztery lata wcześniej w Nicei...

Kosztowności. Sztabki złota i stosy różnych akcji, podobnie jak tam, walały się porozrzucane po całej podłodze. Zniknęła tylko cała zgromadzona gotówka. Do tego jeszcze złodzieje pozostawili po sobie nabazgrane na ścianie hasło: Bez karabinów, bez nienawiści, bez gwałtu...

Spaggiari nie przypisywał sobie żadnego udziału w tym paryskim skoku na bank, chociaż od samego początku był on oczywistym podejrzanym o kierowanie tą operacją.

Wręcz nie do uwierzenia, ale w roku 1983 - tym razem w Hiszpanii - miał miejsce kolejny napad, dokonany identyczną metodą. I znowu Spaggiari oznajmił opinii publicznej, iż nie ma on nic wspólnego z tym zdarzeniem.

W tym czasie Albert Spaggiari interesował się jedynie swoim życiem prywatnym. Podobnie jak jego eks - żona Marcele Audi...

Bezpośrednio po ucieczce Alberta policja podejrzewała, że to właśnie Audi, która niespodziewanie wyjechała do Afryki Północnej na miesiąc przed tym wydarzeniem, przygotowała mężowi kryjówkę. Jeśli nawet tak było, to Spaggiari nie skorzystał z niej. Z Włoch wybrał się on do Ameryki Południowej, a nie Afryki Północnej. Jeżeli jednak obecność Audi tam miała na celu zmylenie policji, to ten zamiar się powiódł.

Audi nie była specjalnie nękana przez policję i w krótkim czasie jej życie znowu stało się tak samo prozaiczne jak dawniej, zanim jeszcze spotkała na swej drodze przyszłego ekstrawaganckiego męża.

Małżonkowie rozdzielili się w tamtym pamiętnym 1977 roku i od tej pory tempo zwariowanego i globtroterskiego wręcz życia Audi natychmiast zwolniło swój bieg. Wróciła do pracy na etacie pielęgniarki w szpitalu w Nicei. Stała się osobą jeszcze bardziej zamkniętą w sobie. Włosy jej posiwiały... Związek z Albertem był już tylko przeszłością. Nie wspominała nigdy o byłym mężu przy swoich przyjaciółach czy znajomych.

Wszelkie więzi łączące ją ze Spaggiarim zerwała kompletnie. Nie zobaczyła się z nim już nigdy po jego zniknięciu z gmachu sądowego w marcu 1977 roku. Nie zjawiała się nawet na jego pogrzebie w czerwcu 1989 roku.

Trzy dni przed śmiercią Albert Spaggiari dzwonił do swej matki w Hyeres, jakby żegnając się z nią na zawsze. Telefonował z Włoch wyznając, że już od dłuższego czasu cierpi strasznie na raka płuc. Pragnął jeszcze spotkać się z matką i próbował zaaranżować jakąś wizytę w jej domu. Niestety, nie wiedział wtedy, że to telefoniczne połączenie jest jego ostatnim kontaktem z matką...

Dwóch oddanych mu ludzi miało już ustalone, że dostarczą go do domu matki w Hyeres bez względu na okoliczności.

I tak też się stało: Spaggiari ostatecznie znalazł się przed własną matką... a także, chociaż pozornie, stanął przed obliczem policji. Odnalazł się teraz tym wszystkim, których opuścił i którym był drogi od tylu lat... W ten czerwcowy dzień 1989 roku każdy wiedział jednak, że na wyjaśnianie czegokolwiek jest już za późno. Wszelkie pytania miały pozostać bez odpowiedzi...

Tego pamiętnego czerwca 1989 roku świat zdał sobie sprawę, że Albert Spaggiari posiadał tę nieprawdopodobną umiejętność zabrania do grobu wszystkich tajemnic dotyczących jego życia, a nawet i śmierci. Nie chodził on zbyt długo po tej ziemi, ale zdążył jednak zrazić do siebie wszelkie władze, w najbardziej beztroski sposób kłując ich czułe punkty.

Po jego śmierci trafiono do rezydencji we Włoszech. Na drzwiach odkryto wtedy wyryte hasło, które zwięźle podsumowywało życiową postawę Alberta Spaggiari i prowadziło go przez długie lata od chwili ucieczki z francuskiego więzienia:

Tout et me fait rire.

To wszystko napawa mnie śmiechem.